



Przeszłość nie musi dzielić na zawsze

Przeszłość, najbardziej nawet dramatyczna, nie musi dzielić na zawsze. Uczciwie potraktowana może służyć pojednaniu i współpracy naszych narodów i naszych dwóch niepodległych państw – powiedział prezydent RP Bronisław Komorowski w Łucku, na Ukrainie podczas uroczystości upamiętniających ofiary zbrodni wołyńskiej.

Prezydent Bronisław Komorowski wziął udział we mszy świętej w intencji ofiar zbrodni wołyńskiej, która została odprawiona w katedrze pod wezwaniem Apostołów Piotra i Pawła w Łucku.

- Pojednanie oparte na prawdzie pozwoli stawiać to, co jednoczy, o wiele wyżej niż to, co jest źródłem podziałów i nieufności. Warto pamiętać, że z konfliktów polsko-ukraińskich zawsze korzystał ktoś trzeci, ktoś kto zawsze czyhał na naszą niepodległość, na naszą wolność – zaznaczył prezydent RP.

- Razem oddajemy hołd wszystkim pomordowanym. Razem przepraszamy Boga za zbrodnie i krzywdy prostymi słowami: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” – mówił Bronisław Komorowski. – Jesteśmy tu razem w odpowiedzi na wezwanie skierowane do wszystkich Polaków i do wszystkich Ukraińców o chrześcijańskie dzieło pojednania – dodał.

Prezydent wspominał o niedawno podpisanej deklaracji arcybiskupa czterech Kościołów: rzymskokatolickiego i grekokatolickiego w Polsce, Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego i Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie.

- Ta wspólna deklaracja o pojednaniu polsko – ukraińskim na gruncie Kościołów jest wydarzeniem niezwykle ważnym, a może stać się przełomowym wydarzeniem, o ile jego treść dotrze do szerokich rzesz wiernych na Ukrainie i w Polsce - ocenił Bronisław Komorowski.

- Jeśli zostanie głęboko przeżyta i głęboko przemyślana, jest tego warta - podkreślił. Zaznaczył, że deklaracja otwarcie i prawdziwie mówi o zbrodniach na Wołyniu; przywołuje wydarzenia z 11 lipca 1943 roku i głosi jednoznacznie, że ofiarami „zbrodni i czystek etnicznych stały się dziesiątki tysięcy niewinnych osób, w tym kobiet, dzieci i starców, przede wszystkim Polaków, ale także Ukraińców oraz tych, którzy ratowali zagrożonych sąsiadów i krewnych”.

Prezydent mówił, że dzisiaj niezbędne jest godne upamiętnienie ofiar w miejscach ich śmierci i cierpienia. Wyrzucił wdzięczność tym, którzy już upamiętnili miejsca kaźni na Wołyniu i w Polsce, upamiętnili z potrzeby serca, z potrzeby polskiego i ukraińskiego serca. – Wciąż jednak – dodał Bronisław Komorowski – wiele ofiar spoczywa w niezidentyfikowanych, bezimiennych dołach śmierci. Wciąż czekają tam na chrześcijański pochówek. Czekają też ich rodziny, by móc nareszcie modlić się nad mogiłami najbliższych o spójność ich duszy.

Prezydent wskazywał, że szczególnym szacunkiem trzeba otoczyć pamięć tych Ukraińców i tych Polaków, którzy ryzykując życie, ratowali



Prezydent RP Bronisław Komorowski i metropolita lwowski Mieczysław Mokrzycki

od zagłady sąsiadów, pomimo szalejącej wokół narodowej nienawiści. – To prawdziwi bohaterowie. To prawdziwi wielcy ludzie. Ich postawa powinna być dla nas inspiracją i drogowskazem. Tak, byśmy z odwagą otworzyli: umysły – na prawdę, a serca – na przebaczenie – podkreślił.

Bronisław Komorowski dodał, że we wspólnej modlitwie trzeba też pamiętać o tych Ukraińcach, którzy w ramach zbiorowej odpowiedzialności za cudze zbrodnie padli ofiarą strasznego wojennego prawa odwetu z rąk polskich na całym obszarze objętym konfliktem i walką narodów.

Prezydent podkreślał, że Polacy i Ukraińcy są sobie potrzebni. – Wspólnota celów i interesów jest najlepszą gwarancją naszej ścisłej współpracy. Wymaga ona jednak szczerego pojednania, także trudnego przebaczenia krzywd wyrządzonych dawniej. Wymaga wybaczenia i pojednania na fundamencie bolesnej i smutnej prawdy! Musimy jednak udźwignąć ciężar tej prawdy i my Polacy, i Wy Ukraińcy. Muszą ją udźwignąć wszyscy, którzy pragną dobrego sąsiedztwa, bezpiecznej i pomyślnej przyszłości naszych narodów – akcentował.

Niedzielną mszę św. w intencji ofiar zbrodni wołyńskiej odprawił nuncjusz apostolski na Ukrainie Thomas Edward Gullickson. Homilię wygłosił metropolita lwowski Mieczysław Mokrzycki.

Uroczystość zorganizował Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie. Zostali na nią zaproszeni także przedstawiciele innych Kościołów działających na Wołyniu. Obecni byli przedstawiciele Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego.

W polskiej delegacji byli m.in. podsekretarz Stanu w Kancelarii Pre-

zydenta Jaromir Sokołowski, doradcy prezydenta Tomasz Nałęcz i Henryk Wujec, a także wicemarszałek Sejmu Cezary Grabarczyk, wiceminister spraw zagranicznych Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Krzysztof Kunert, senatorowie, krewni ofiar i żołnierze 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

Władze ukraińskie reprezentował wicepremier Ukrainy Kostiantyn Hryszczenko.

Prezydent Bronisław Komorowski, wraz z wicepremierem Ukrainy Kostiantynem Hryszczenko, odwiedził w niedzielę po południu Kisielin na Ukrainie, by oddać hołd zamordowanym tam Polakom. Obaj politycy złożyli wieńce na mogile zamordowanych przez oddział UPA 11 lipca 1943 roku ok. 90 Polaków, w tym kobiet i dzieci. Odwiedzili również ruiny kościoła, w którym Polacy zostali zabici.

- To miejsce przemawia swoim wyglądem, jest związane z dramatem zbrodni 11 lipca 1943 roku, której ofiarą padli tu, w tym kościele bardzo liczni Polacy – mówił Bronisław Komorowski dziennikarzom.

- To dobre miejsce, aby powiedzieć, że ta nieszczęsna ziemia wołyńska przeżyła tyle dramatów, tyle strasznych rzeczy, tyle zbrodni, tyle nieszczęścia ludzkiego, także ludzkiej nienawiści do siebie. W tym miejscu powinniśmy wszyscy w sposób bardzo głęboki przeżyć te wszystkie doświadczenia i sobie nawzajem obiecać, że potrafimy przejść nad tymi dramatami – nie poprzez zapomnienie, ale przez głęboką refleksję, głębokie zakorzenienie w prawdzie, które zawsze boli, ale jednak ludzi wyzwala – do tego etapu w relacjach polsko-ukraińskich, gdzie jest dzisiaj

tyle dobrych intencji o bliskiej współpracy między narodami i niepodległymi państwami – podkreślił.

Wspominał, że przed II wojną światową Kisielin był ciekawą miejscowością, w której żyło ok. 1200 ludzi. – Życie toczyło się tu ciekawie i czasami bardzo pogodnie. Dzisiaj zniknęła cała społeczność, zniknął cały dorobek wielu, wielu pokoleń. Dzisiaj mamy nie miasteczko, a resztki wspomnień po okresie tamtej świetności – powiedział.

Prezydent zaznaczył, że o zbrodni wołyńskiej powinno się mówić językiem biskupów. – W sercach różne rzeczy grają i różne myśli się kłębią, a rozum podpowiada, aby mówić językiem biskupów. I radziłbym wszystkim naśladować ten język i na Ukrainie, i w Polsce. To nie sztuka wzajemnie się ranić słowami, sztuką jest po najcięższych doświadczeniach zbrodni działać na rzecz lepszej przyszłości – powiedział.

W delegacji był także kompozytor Krzesimir Dębski, którego kilkunastu członków rodziny zginęło w Kisielinie.

Prezydent poinformował, że rozmawiał z przedstawicielami władz Ukrainy, aby w tym miejscu w przyszłości odbył się koncert żałobny w wykonaniu Krzesimira Dębskiego. – Koncert, który byłby skierowany w stronę pamięci o tych, którzy zginęli, ale też w stronę tych, którzy chcą dzisiaj – ponad tą zbrodnią – budować lepszą przyszłość naszych narodów – zaznaczył Bronisław Komorowski.

W Kisielinie Bronisław Komorowski złożył też kwiaty na mogile Ukraińców i Żydów zabitych przez niemieckich okupantów. Prezydent upamiętnił też ofiary ukraińskich nacjonalistów w nieistniejącej już dziś miejscowości Rudnia.

Wystąpienie prezydenta RP Bronisława Komorowskiego na uroczystościach w Łucku

Drogie Rodziny Ofiar Zbrodni Wołyńskiej! Księżę Nuncjuszu, Księża Arcybiskupi, Biskupi, Wszyscy Duchowni wyznania katolickiego i grekokatolickiego! Wszyscy Szanowni Państwo! Panie Premierze! Przedstawiciele Władz Państwa Ukraińskiego Niepodległej Ukrainy!

Z prawdziwym wzruszeniem patrzę na Katedrę w Łucku i myślę, że ona sama w sobie jest niezwykle symbolem ważnego procesu zachodzącego na naszych oczach, dziejącego się także w naszych sercach. Bo przecież w Łucku wszyscy jeszcze dobrze pamiętają, że tu, gdzie dzisiaj jest Katedra przez wiele lat było muzeum ateizmu.

Jeszcze widać tutaj ślady zniszczeń, widać to, co zostało zniszczone bezpowrotnie. Ale widać jednocześnie, jak upłył czas, ale i praca, konkretne działania w imię wiary, w imię woli służenia nowej rzeczywistości tę świątynię przywracając do jej pełnego blasku i chwały. Widać, że ta ciężka praca przynosi dobre owoce w postaci przewyciężenia złego, paskudnego czasu i budowania normalności, gdzie Kościół, gdzie Katedra służy modlitwie, służy ludziom, którzy chcą swoją modlitwą okazać wiarę w to, że świat Boży idzie w dobrą stronę.

Patrzę na tę katedrę ze wzruszeniem i nadzieją. Z nadzieją, że także i te przerwane 11 lipca 1943 roku msze w kościołach katolickich zostaną w jakiejś mierze ukończone szczęśliwie przywracając nam wiarę w samych siebie, przywracając nam wiarę w świat.

Zgromadziliśmy się tutaj na modlitwie za dusze ofiar Zbrodni Wołyńskiej. Jesteśmy tutaj razem – Polacy i Ukraińcy. I myślą wracamy do tamtego dramatu, do tamtej zbrodni, która rozegrała się na tej umęczonej ziemi 70 lat temu.

Razem oddajemy hold wszystkim pomordowanym. Razem przepraszamy Boga za zbrodnie i krzywdy prostymi słowami: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Jesteśmy tu razem w odpowiedzi na wezwanie skierowane do wszystkich Polaków i do wszystkich Ukraińców o chrześcijańskie dzieło pojednania.

Niedawno podpisali je arcybiskupi czterech Kościołów: rzymskokatolickiego i grekokatolickiego w Polsce, Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego i Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie.

Ta wspólna deklaracja o pojednaniu polsko-ukraińskim na gruncie Ko-

ściołów jest wydarzeniem niezwykle ważnym, a może stać się przełomowym wydarzeniem, o ile jego treść dotrze do szerokich rzesz wiernych na Ukrainie i w Polsce. Jeśli zostanie głęboko przeżyta i głęboko przemyślana. Jest tego warta. Bo deklaracja otwarcie i prawdziwie mówi o zbrodniach na Wołyniu. Przywołuje wydarzenia z 11 lipca 1943 roku.

Głosi jednoznacznie, że ofiarami „zbrodni i czystek etnicznych stały się dziesiątki tysięcy niewinnych osób, w tym kobiet, dzieci i starców, przede wszystkim Polaków, ale także Ukraińców oraz tych, którzy ratowali zagrożonych sąsiadów i krewnych”.

Takie słowa zapewne nie zyskają poklasku wśród tych, którzy chcą zbrodnie dokonane na Wołyniu pomniejszać lub usprawiedliwiać. Nie zostaną też przeżyte i przyjęte przez tych, którzy chcą utrzymania wzajemnej polsko-ukraińskiej wrogości.

Mogą jednak być zacznem dla dobrych myśli i dobrych działań tych wszystkich, którzy dążą do polsko-ukraińskiego pojednania budowanego na fundamencie prawdy, bolesnej prawdy, ale prawdy skutecznej.

Dla tych zbrodni nie ma usprawiedliwienia. Bratobójcza walka zawsze jest złem. Pragnienie wolności



Konstanty Czawaga

w imię patriotyzmu jest zbrodnią nie tylko przeciwko Bogu, ale i przeciw własnemu społeczeństwu”.

Podobnie oceniają dzisiaj tę zbrodnię ukraińscy i polscy biskupi. Jestem pełen szacunku dla ich postawy wyrażonej w słowach: „Wiemy, że chrześcijańska ocena zbrodni wołyńskiej domaga się od nas jednoznacznego potępienia i przeproszenia za nią. Uważamy bowiem, że ani przemoc, ani czystki etniczne nigdy nie mogą być metodą rozwiązywania konfliktów między sąsiadującymi ludami czy narodami, ani usprawiedli-

woywali i polscy, i ukraińscy historycy. Długo będziemy wszyscy razem dźwigali ciężar tego bolesnego, dramatycznego doświadczenia.

Wiemy, jak straszne czyny miały tutaj, na Wołyniu miejsce przed wielu już laty, przed 70 laty. Ale chcemy, aby to bolesne doświadczenie, ta pamięć zblizniła się nie w wyniku upływu lat, upływu czasu, ale pod wpływem naszych świadomych działań, naszego przemyślenia, naszej refleksji nad zbrodnią.

Dzisiaj niezbędne jest godne upamiętnienie ofiar w miejscach ich

też ich rodziny, by móc nareszcie modlić się nad mogiłami najbliższych o spokój ich duszy.

Szczególnym szacunkiem winniśmy razem otoczyć pamięć tych Ukraińców i tych Polaków, którzy ryzykując życie, ratowali od zagłady sąsiadów, pomimo szalejącej wokół narodowej nienawiści. To prawdziwi bohaterowie. To prawdziwi wielcy ludzie. Ich postawa powinna być dla nas inspiracją i drogowskazem. Tak, byśmy z odwagą otworzyli: umysły – na prawdę, a serca – na przebaczenie.

We wspólnej modlitwie powinniśmy także pamiętać o tych Ukraińcach, którzy w ramach zbiorowej odpowiedzialności za cudze zbrodnie padli ofiarą strasznego wojennego prawa odwetu z rąk polskich na całym obszarze objętym konfliktem i walką narodów.

Szanowni Państwo!

Przeszłość, najbardziej nawet dramatyczna, nie musi dzielić na zawsze. Uczciwie potraktowana może służyć pojednaniu i współpracy naszych narodów i naszych dwóch niepodległych państw.

Pojednanie oparte na prawdzie pozwoli stawiać to, co jednoczy, o wiele wyżej niż to, co jest źródłem podziałów i nieufności.

Warto pamiętać, że z konfliktów polsko-ukraińskich zawsze korzystał ktoś trzeci, ktoś kto także zawsze czyhał na naszą niepodległość i na naszą wolność.

Warto też pamiętać o tym, że przecież tak wiele nas łączy. Nieprzypadkowo to Polska jako pierwsze państwo na świecie uznała w grudniu 1991 roku ukraińską proklamację niepodległości. I nie ma też drugiego kraju, który bardziej niż Polska doceniałby rolę niepodległej Ukrainy w Europie i życzliwiej wspierał jej proeuropejskie dążenia.

My, Polacy i Ukraińcy, jesteśmy sobie potrzebni. Wspólnota celów i interesów jest najlepszą gwarancją naszej ścisłej współpracy. Wymaga ona jednak szczerego pojednania, także trudnego przebaczenia krzywd wyrządzonych dawniej. Wymaga wybaczenia i pojednania na fundamencie bolesnej i smutnej prawdy! Musimy jednak udźwignąć ciężar tej prawdy i my Polacy, i Wy Ukraińcy. Muszą ją udźwignąć wszyscy, którzy pragną dobrego sąsiedztwa, bezpiecznej i pomyślnej przyszłości naszych narodów.

Niech dobry Pan Bóg pomaga nam w tej trudnej pracy, w tym wielkim ważnym wysiłku, w tym potwierdzeniu naszego człowieczeństwa, naszego chrześcijaństwa i naszego politycznego rozumienia.

prezydent.pl



Konstanty Czawaga

i suwerenności nie usprawiedliwiają ani czystek etnicznych ani masowych zbrodni.

Historia Europy, szczególnie XX-wiecznej Europy, pokazuje, że zło, zbrodnie i nienawiść utrudniają osiągnięcie każdego celu i prowadzi narody do zgorznięcia.

Dlatego wielki ukraiński patriota Grekokatolicki Metropolita Andrej Szeptycki przestrzegał w tamtym dramatycznym czasie: „Zbrodnie nie służy narodowi, zbrodnie popelniona

wione racją polityczną, ekonomiczną, czy religijną”.

Skrajny nacjonalizm i szowinizm nie służą narodom! Zatrują bowiem ich rozumy i serca. Warto więc pamiętać, że nacjonalizm zniszczył także polsko – ukraińskie relacje w najtrudniejszym okresie XX wieku, właśnie wtedy, gdy nasze narody najbardziej potrzebowały wzajemnego wsparcia.

Jestem pewien, że długo jeszcze będą się nad tym zastanawiali i

śmierci i cierpienia. To zadanie dla nas wszystkich, obywateli i polityków Polski i Ukrainy.

Są wśród nas ci, którzy już upamiętnili miejsca kaźni na Wołyniu i w Polsce, upamiętnili z potrzeby serca, z potrzeby polskiego i ukraińskiego serca. Jesteśmy im wszystkim winni naszą ogromną wdzięczność. Wciąż jednak wiele ofiar spoczywa w niezidentyfikowanych, bezimiennych dolach śmierci. Wciąż czekają tam na chrześcijański pochówek. Czekają

Abp Mokrzycki o Wołyniu: Czy można zapomnieć ludobójstwo?

Czyż można zapomnieć ludobójstwo? Nie można takich plam przykryć milczeniem lub zamalować kłamstwem – powiedział arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki w Łucku podczas uroczystości w 70. rocznicę zbrodni wołyńskiej.

W Łucku na Ukrainie, z udziałem m.in. prezydenta Bronisława Komorowskiego oraz ukraińskiego wicepremiera Kostiantyna Hryszczyńki, została odprawiona msza św. w intencji ofiar UPA.

Podczas homilii abp Mokrzycki mówił m.in., że w Polsce i na Ukrainie wiele jest „śladów rzezi, której nie sposób zapomnieć”. – Znaczą one wspomnienia wielu, którzy jako dzieci byli świadkami nienawiści prowadzącej do zbrodni. Nie można takich plam przykryć milczeniem lub zamalować kłamstwem. Są ciągle zbyt bolesne, ciągle świeże, obecne w wielu domach ofiar polskich, ukraińskich, żydowskich i ormiańskich. Bo czyż można zapomnieć ludobójstwo? – pytał metropolita lwowski.

Podkreślał, że każde zło wymaga zadośćuczynienia, naprawienia tego, co możliwe, wynagrodzenia zła. – A czyż formą zadośćuczynienia nie powinno być upamiętnienie ofiar rzezi z 1943 roku? Bo nadal oczekują na właściwe groby, na upamiętnienie, postawienie krzyży w miejscach kaźni, odnalezienie śladów ich życia, ocalenie nazwisk i imion. Mają oni prawo do naszej pełnej pamięci o



Konstanty Czawaga

nich, tak jak mają prawo do naszej modlitwy – powiedział.

Abp Mokrzycki podkreślił, że często „zapomina się o sumieniu tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do zbrodni”. – Ale jak żyć, gdy ktoś odebrał życie swoim sąsiadom, dzieciom, kobietom, palił domostwa czy okradał z dobytku. Można udawać, że nic się nie stało wierząc, że zamilkły groby, a zgłiszczą porosły zielskiem i chwastami, a świadkowie odcho-

dzą. Nie można jednak żyć krzykiem sumienia, które każde zło wypomina i oskarża – mówił.

- Gdy toczy się walka, nikt nie zwraca uwagi na jej ofiary, a później częściej broni się dobrego samopoczucia katów niż prawdy i pamięci o zabitych, wypędzonych, skrzywdzonych. Opamiętanie i żal oprawców przychodzi zdecydowanie za późno dla ofiar, często po latach kłamstw – mówił.

PAP

Polska w hołdzie ofiarom

W Polsce i na Ukrainie zakończyły się kilkudniowe obchody w 70 rocznicę zagłady Polaków, zamordowanych na terenie wschodnich województw II Rzeczypospolitej w latach II wojny światowej przez ukraińskich nacjonalistów. Punktem kulminacyjnym obchodów były uroczystości w dniu 11 lipca 2013 roku na Skwerze Wołyńskim na warszawskim Żoliborzu. W uroczystościach wziął udział prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski.

„Zbrodnią o znamionach ludobójstwa, jednym z najbardziej bolesnych doświadczeń Polaków podczas II wojny światowej” – nazwał prezydent tragiczne wydarzenia, które rozegrały się 70. lat temu na Wołyniu (tekst przemówienia prezydenta na str. 9).

Podczas uroczystości odsłonięto pomnik Rzezi Wołyńskiej autorstwa rzeźbiarza Marka Moderaua. Pomnik – siedmiometrowy krzyż z figurą Chrystusa bez rąk – stanowi centralny element monumentu. Pod krzyżem umieszczono 18 tablic. Wymieniono na nich nazwy miejscowości z siedmiu województw II Rzeczypospolitej, w których zginęli Polacy. Pod krzyżem znajduje się sarkofag, w którym będzie gromadzona ziemia z 2136 miejscowości, o których wiadomo, że doszło tam do mordów. Napis na pomniku głosi: „W hołdzie obywatelom Polskim, ofiarom maso-

wej zbrodni o znamionach ludobójstwa dokonanych przez OUN-UPA w latach 1942-1947 na terenach byłych siedmiu województw II Rzeczypospolitej”.

Po mszy w kościele św. Aleksandra, w stolicy odbył się niemy marsz zadedykowany pamięci ofiar. „Marsz Jedności i Solidarności Kresów”. Uczestnicy Marszu – politycy, parlamentarzyści, duchowni, działacze organizacji kresowych, kombatan ci oraz rodziny zamordowanych i świadkowie zbrodni na Polakach przeszli na trasie pl. Trzech Krzyży - Trakt Królewski - pl. Zamkowy. Kontynuacją uroczystości był apel poległych i koncert na Placu Zamkowym w Warszawie. Uroczystości, marsze, spotkania, wystawy odbyły się w wielu miastach Polski.

Dzień później polski Sejm podjął 12 lipca uchwałę w sprawie zbrodni wołyńskiej, którą określił jako „czystkę etniczną o znamionach ludobójstwa”. Sejm nie ustanowił dnia pamięci ofiar zbrodni wołyńskiej. Wołyńskie uroczystości odbywają się każdego roku 11 lipca – w rocznicę tzw. Krawieży Niedzieli. Tego dnia w wyniku zorganizowanego ataku na polskie wsie, na terenie kilku powiatów zginęło łącznie ok. 10-11 tysięcy Polaków.

TVN24, IPN, PAP

KRZYŻ WSCHODNI – BĘDZIE NOWE ODZNACZENIE?

W ubiegłym tygodniu złożony został w Sejmie projekt ustawy „O ustanowieniu Krzyża Wschodniego”. Miałoby to być odznaczenie nadawane osobom, które niosły pomoc Polakom na Wschodzie prześladowanym ze względu na ich narodowość w latach 1937-59. Pierwsza cezura to rok rozpoczęcia w Związku Sowieckim tzw. „Operacji Polskiej”. Zamordowano w niej ponad 110 tysięcy Polaków. Rok 1959 to data zakończenia tzw. „drugiej repatriacji”, w ramach której z byłych Kresów zmuszono do wyjazdu kolejne blisko ćwierć miliona naszych Rodaków.

Zło, którego doświadczył nasz naród w XX wieku, zostało wywołane przez niemiecki i rosyjski totalitaryzm – miało brunatno-czerwone barwy – czytamy w uzasadnieniu. – Ale Polacy na Wschodzie padali także ofiarą innych zbrodni, których sprawcami byli zamieszkujący z nami od wieków pod wspólnym niebem sąsiedzi. To zło miało charakter prywatny, przychodziło nie ze strony odległej, ale jakże często od znajomego. Było niemal „rodzinne”, a przez to wyjątkowo bolesne.

Takie było właśnie ludobójstwo Polaków na Wołyniu, którego 70-tą rocznicę właśnie wspominamy. Echa tych wydarzeń trwają do dziś, a dawne zbrodnie nadal żyją własnym życiem, utrudniając współpracę naturalnie bliskich sobie narodów. Nazywając Zbrodnię Wołyńską – zgodnie z prawdą – mianem ludobójstwa powinniśmy również pamiętać, że w tym mroku zezwierzęcenia zdarzały się postawy prawdziwie heroiczne – ludzie, którzy z narażeniem życia własnego i swoich rodzin ratowali Polaków(...) XX wiek to czas znaczony upokorzeniem, cierpieniem i śmiercią, a okres 1937-1959 był znaczący najtragiczniejszymi w historii doświadczeniami naszych Rodaków na Wschodzie. Wspomniana zbrodnia ludobójstwa jakim była „Operacja Polska” NKWD, deportacje, masowe mordy w Kuropatach pod Mińskiem, mordy z lat 1939-1941, Zbrodnia Katyńska, masowe egzekucje Polaków

w podwileńskich Ponarach w latach 1941-44, ludobójstwo i tortury dokonane na Polakach przez integralny nacjonalizm ukraiński na Wołyniu, ziemi łanowskiej, lwowskiej i stanisławowskiej – to wydarzenia, o których nie wolno nam zapomnieć. Dramat trwał także później, wraz z ustanowieniem władzy komunistycznej w Polsce i wprowadzaniem władzy sowieckiej na byłych Kresach, połączonym z kolejną falą zbrodni i wywózki Polaków w głąb Rosji. (...)

Nie znamy dokładnej liczby polskich ofiar tego okresu. Możemy tylko dokonywać szacunkowych obliczeń. I nawet przy zachowaniu maksymalnej powściągliwości budzą one przerażenie. Głogota Wschodu – tak mówił o tym doświadczeniu śp. ksiądz Zdzisław Peszkowski, sam cudem uratowany z Katynia. Jaką więc – w świetle tych doświadczeń – mamy dziś przyjąć postawę wobec historii własnej i historii naszych sąsiadów?

Myszę, że tylko wtedy będziemy mieć poczucie, że opieramy się na prawdzie i moralności, kiedy z jednej strony nazwiemy zbrodnię zbrodnią, z drugiej jednak – godnie uhonorujemy tych, którzy w obliczu zła mieli odwagę nieść pomoc naszym Rodakom. Wnoszony projekt ustawy „O ustanowieniu Krzyża Wschodniego” łączy więc w sobie perspektywę polityczno-historyczną z imperatywem moralnym. Ci, którym ma on być przyznawany, obronili postawę chrześcijańską w pogańskich czasach. Wybrali miłość bliźniego, pomoc bezbronnemu, solidarność z prześladowanymi... Takie osoby i dokonane przez nie wybory powinny być drogowskazem pojednania i fundamentem historycznego porozumienia z naszymi sąsiadami, bez którego niemożliwe jest realizowanie skutecznej polskiej polityki wschodniej.

Projekt został złożony przez Klub Polskiej partii Prawo i Sprawiedliwość. Tekst uzasadnienia na podstawie listu Jarosława Kaczyńskiego zamieszczonego w tygodniku „W Sieci”.

Modlitwa za Wołyń



prezydent.pl

Prezydent RP odwiedza ruiny kościoła w Kisielinie, na Ukrainie

Bracie, za krzywdę Tobie wyrządzoną, za Twój ból i ból twoich krewnych, przebac mi.

Za przelaną krew niewinną na Wołyniu i w Galicji, za niewiarę, przebac mi, Bracie.

Nie z powodu polityki i dobrego sąsiedztwa, nie dla dobrego imienia narodu mojego, przebac mi, Bracie. Wstyd pali moje serce, wstrzymuje oddech w piersiach, kiedy myślę o Twoim bólu, o zabitych Twoich braciach i siostrach na Wołyniu i w Galicji. Przebac mi za nasz grzech.

Przebac za głuchotę mojego serca, za skamieniałą duszę moją, za wyschnięte oczy Twoich bliskich.

Wesprzyj mnie, Bracie, w bólu mojej pokuty. Przebac za tych, którzy nie chcą wraz ze mną wziąć ciężaru odpowiedzialności za zbrodnię wołyńską, przebac za długie milczenie moich braci. Przebac za tych, którzy nie widzą w tym grzechu. Przebac za tych, którzy nie mogą uznać tej zbrodni za zbrodnię. Proszę o pobłażliwość i pokorę dla serc, zaślepionych własnym nieszczęściem i obrazą historyczną. Bądź ze mną, Bracie, w mojej szczerzej pokucie.

Siostró, przebac mi za brak czujności, za pogardę, za nieotarte lzy matki Twojej. Za Twój strach i moją pychę. Za niepochowanych braci i ojca. Za zabite dzieci. Za gwałty i kradzieże. Za nienasyconą wściekłość. Za popioły rozsiane wiatrem. Za nocne przerażenie. Za ciemność w oczach. Za czarne drogi i serca z kamienia. Przebac mi, Siostró.

Wysłuchajcie nas, Bracia! Nie tylko ze względu na pokój między naszymi domami. Dla zachowania prawdy. Dla miłości. Dla Światła w sercach naszych dzieci. Proszę, podajcie nam rękę swojego szczerzego wybaczenia. Bądźcie wrażliwi na naszą pokutę.

Panie, przebac nam i obejmij nas. Nie zostawiaj nas samotnie, Ojczy, i bądź z nami, grzesznikami.

Kto chce i czuje potrzebę może się podpisać: www.petycjeonline.com/wolyn

NIE ZABIJAJ!

W dniach 13-16 lipca w Lublinie i Łucku odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa poświęcona 70-leciu ludobójstwa na Wołyniu „Nie zabijaj. Kościół wobec ludobójstwa”. Patronat honorowy nad konferencją objął metropolita lwowski obrządku łacińskiego Mieczysław Mokrzycki. Konferencja odbyła się z udziałem polskich i ukraińskich badaczy wydarzeń oraz duchowieństwa katolickiego, została zorganizowana przez Centrum Ucrainicum Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Instytut Pamięci Narodowej, Region Środkowoschodni NSZZ „Solidarność”, Polski Związek Katolicko-Społeczny, Stowarzyszenie „Wspólne Korzenie”, Ośrodek Badań nad Historią i Tradycją Metropolii Lwowskiej Obrządku Łacińskiego, Instytut Badań Kościelnych w Łucku, Towarzystwo Kultury Polskiej na Wołyniu im. Tadeusza Kościuszki. Patronat medialny objęły media z Polski, a także „Kurier Galicyjski” i „Wołanie z Wołynia”.

KONSTANTY CZAWAGA

13 lipca, po przekroczeniu granicy w Dorohusku-Jahodynne uczestnicy konferencji razem z rodzinami byłych mieszkańców Polaków z Wołynia udali się do memoriału w Ostrówkach. W ciągu całego dnia pielgrzymowali do miejsc masowych mordów z 1943 roku – polskich miasteczek, wiosek i osad, oddając cześć męczennikom. Wieczorem tego dnia uczestniczyli w koncercie-requiem w katedrze łuckiej p.w. św. Apostołów Piotra i Pawła, w niedzielę – w żałobnej Mszy św. w intencji ofiar ludobójstwa na Wołyniu pod przewodnictwem metropolity lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego. Wracając do Lublina odwiedzili Kisielin, gdzie pomodlili się w ruinach kościoła.

Prof. Andrzej Gil: „Chcemy po chrześcijańsku oddać cześć tym, którzy zginęli za to, że byli Polakami”

Znany polski historyk i politolog dr hab. prof. Andrzej Gil, zastępca dyrektora Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie i kierownik Katedry Studiów Wschodnich Instytutu Nauk Politycznych i Spraw Międzynarodowych KUL od lat zajmuje się analizą sytuacji na obszarze państw bloku postsowieckiego oraz historią Cerkwi prawosławnej i unickiej w Rzeczypospolitej:

„Po siedemdziesięciu latach od tragicznego lipca 1943 roku odnieść można wrażenie, że tak naprawdę w stosunkach polsko-ukraińskich nic się nie zmieniło. Dalej są dwie strony – „my” i „oni”, a między nami przepaść niezrozumienia i morze niechęci. Wrażenie to wzmacniane jest przez dochodzące z Ukrainy głosy, które nie tylko negują fakt wołyńskiej zbrodni, ale wręcz zrzucają całe odium zła w naszych wzajemnych relacjach na Polaków – mieszkańców województwa wołyńskiego, rządu przedwojennej Rzeczypospolitej i polskie społeczeństwo jako takie.

Co charakterystyczne, poglądy takie głoszą ci, którzy w sposób niekiedy bezpośredni nawiązują do ideologii ukraińskiego integralnego nacjonalizmu i jego wyrazieli – Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i jej zbrojnego ramienia – Ukraińskiej Powstańczej Armii. Nikt

nie zaprzecza, że OUN walczyła o Ukrainę. Nie ma jednak usprawiedliwienia dla tego, że dążyła ona do realizacji swych zamierzeń drogą zaplanowanego i zrealizowanego ludobójstwa, czego dobitnym przykładem jest zbrodnia wołyńska sprzed siedemdziesięciu lat. Nie da się przykryć bezmiaru tej zbrodni. Można próbować wyrugować ją z pamięci, ale krzyk niewinnych ofiar zawsze będzie wracał i przypominał o ich tragedii.

Nie przyjeżdżamy dziś na Wołyń po to, by jątrzyć i rozdrapywać rany. Chcemy po chrześcijańsku oddać cześć tym, którzy zginęli za to, że byli Polakami. Chcemy, by mieli oni godne miejsca pochówku, by stały na nich krzyże, i by można było być spokojnym o dalsze losy ich doczesnych szczątków. Jeśli gospodarze tych ziem zadbają o to, wyciągną w ten sposób rękę do prawdziwego pojednania między naszymi narodami. Że jest tych miejsc tysiące, jest to powód do zadumy...

Dzisiejsi apologety OUN i UPA powinni się zastanowić, czy rzeczywiście chcą być postrzegani jako spadkobiercy dzieciobójców. Niewinnie przelana krew zawsze będzie towarzyszyć tym, którzy ją przelali, bez względu na to, jak wielka popłynie rzeka nieprawdy i zakłamania. Mitologizacja przeszłości jest cechą narodów słabych i bezwolnych, budujących swe dobre samopoczucie na fałszu i kłamstwie. Narody wielkie potrafią pamiętać i o dobrym, i o złym. Warto więc zadać sobie pytanie – kim jesteśmy, i kim chcemy być?

Przed II wojną światową na Wołyniu mieszkali popołu Ukraińcy, Polacy, Żydzi, Czesi, Niemcy, Rosjanie i inni. Niemal każde miasteczko i każda wieś rozbrzmiewały głosami ludzi mówiących w różnych językach i chwalać Pana Boga po swojemu. Dzisiaj, w niepodległej Ukrainie, Wołyń jest najbardziej jednorodnym regionem, zamieszkałym prawie w stu procentach przez Ukraińców. Po Polakach, Żydach i przedstawicielach innych narodów i religii niekiedy nie pozostał żaden widzialny ślad. Można więc zadać dzisiaj tym, którzy twierdzą, że na Wołyniu nie doszło do żadnej zbrodni, pytanie: gdzie jest twój brat?”

Prof. Jan Kłos: „Ludobójstwo – czyli zbrodnia, której nie ma”

Zdaniem kierownika Katedry Etyki Społecznej i Politycznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II dr. hab. prof. Jana Kłosa dobro i zło idą ramię w ramię poprzez ludzkie dzieje.

„Obok maszeruje człowiek, który ma możliwość wyboru – zaznaczył. – Nikt nie jest pozbawiony szansy zrealizowania dobra, nikt nie jest zmuszony do popełniania zła. I dobro, i zło są na wyciągnięcie ręki – i to jest największe, w wielu wypadkach najtrudniejsze, wyzwanie człowieka. Dobro i zło jak pradawny Abel i Kain symbolizują dwa rodzaje wyborów. Abel jest ścieżką szlachetności, prawości, uczciwości; Kain znaczy drogę podstępności, zawiści, zbrodni. Ludobójstwo to droga Kaina, to pocalunki Judasza. O tym ostatnim przekonałem się, gdy przy okazji lektury okropności, jakie działy się w 1943 roku na Wołyniu, przeczytałem o kobiecie, która powierzyła swoje dwie córki i wnuka sąsiadowi Ukraińcowi. Miał te osoby przewieźć w bezpieczne miejsce. On jednak, gdy tylko się nieco oddalił, wszystkich zamordował. Kobieta, matka i babcia zarazem, w jednym momencie straciła mowę i nigdy już jej nie odzyskała.

Niech nam pomoże wyobraźnia. To był ciepły i przyjazny lipiec, bociany przechadzały się po łąkach, nad polami rozlegały trele skowronków. I nagle w ten sielski pejzaż wdzierają się krzyk mordowanych, płacz dzieci, śwąd płonących domów i stodół. Potem już tylko cisza rozbitych szyb, roztrzaskanych drzwi, cisza martwych ciał, nienaturalnie wygiętych w zastygłym pragnieniu życia, z grymasem bólu i niezrozumienia na twarzy, i jeszcze zieleń traw pomazana krwią. Potem już tylko nieutulony lament tych, którym życie darowano.

Ale przecież pośród pól Wołynia widać było i cień przechodzącego Abła. To on z narażeniem życia ratował uciekających. Był na przykład ojcem, któremu kazano zabić swoją żonę Polkę i swoje dziecko. Ponieważ tego nie uczynił, sam został zamordowany.

Ten kontrast pomiędzy przyrodą nasyconą słońcem, zielenią, życiem a zbrodnią człowieka nie pozwala nam zapomnieć o tajemnicy natury człowieka. O dobro trzeba się troszczyć,

nad dobrem trzeba pracować. Droga do dobra, którym jest przebaczenie, prowadzi przez uznanie zła. Uznanie zbrodni, która jest zawsze możliwością. Kain już nie opuści Abła”.

Prof. dr hab. Włodzimierz Osadczy o zadaniu Forum Lubelskiego, główny organizator konferencji, dyrektor Centrum Ucrainicum KUL i Ośrodka Badań nad Historią i Tradycją Metropolii Lwowskiej Obrządku Łacińskiego

„Międzynarodowa konferencja poświęcona 70-leciu ludobójstwa na Wołyniu „Nie zabijaj. Kościół wobec ludobójstwa”, która została rozpoczęta pielgrzymką po miejscach męczeństwa i udziałem we Mszy św. w katedrze w Łucku, będzie jednym z wielu forów poświęconych zbrodni wołyńskiej. Specyfika jej jednak będzie polegała na tym, że problem ludobójstwa, który wzbudza w tej chwili tyle emocji i kontrowersji, zostanie skonfrontowany z rzeczywistością kościelną – nauczaniem i doświadczeniami historycznymi.

Zbrodnia ludobójstwa – jest zuchwałym i zdecydowanym zaprzeczeniem V przykazania Bożego – „Nie zabijaj”. Z racji na jej masowy charakter a także okrucieństwo z jakim jest urzeczywistniana zasługuje na bezwzględne potępienie. Jeżeli dla polityków, czy też zaangażowanych w polityczną działalność historyków

papieski dokumentacji i spisywania świadectw martyrologii Kościoła niszczonego w wirze ludobójstwa, symbolem którego stała się „Krwawa Niedziela” 11 lipca 1943 r. A papież przecież tak dobitnie sformułował swą prośbę skierowaną do wszystkich episkopatów – „Nasz wiek XX, nasze stulecie ma swoje szczególne martyrologium w wielu krajach, w wielu rejonach ziemi, jeszcze nie w pełni spisane. Trzeba je zbadać, trzeba je stwierdzić, trzeba je spisać, tak jak spisały martyrologia pierwsze wieki Kościoła i to jest do dzisiaj naszą siłą – tamto świadectwo męczenników z pierwszych stuleci. Proszę wszystkie episkopaty, ażeby do tej sprawy przywiązały należyłą wagę. Trzeba, ażebyśmy przechodząc do trzeciego tysiąclecia, spełnili obowiązek, powinność wobec tych, którzy dali wielkie świadectwo Chrystusowi w naszym stuleciu”. W tym kontekście jakże rażąco wygląda zaniedbanie Kościoła na Ukrainie i w Polsce.

Chętnie powielając tezę o jakiejś enigmatycznej „wojnie polsko-ukraińskiej” wstydliwie zapomina się fakt eskalacji zbrodni zaplanowanej w dniu pańskim, ataki na kościoły, niszczenia wieńców i kapłanów sprawujących Msze św. Dziw, że te fakty zostały przeoczone nawet w deklaracji pojednania, podpisywanej z tak wielkim medialnym rozgłosem. Nie chce się wierzyć, że „ludzie Kościoła”, uczeni i autorytety moralne nie



Konstanty Czawaga

ta oczywista sytuacja nie zawsze jest do przyjęcia, to w środowisku ludzi Kościoła nie powinno być żadnego dylematu. Rzeź wołyńska powinna wzbudzać przede wszystkim niepokój nie w kontekście stosunków międzynarodowych, ale jako sprzeniewierzenie się podstawowym zasadom etycznym. Bezwzględne potępienie zasługuje ideologia, która wywołała tak wielkie zło, i organizacje realizujące zbrodniczy plan.

Niestety ta, tak oczywista sytuacja w kontekście rozliczania nazizmu i komunizmu, nie przekłada się na ludobójstwo dokonane przez integralnych nacjonalistów. Jesteśmy świadkami „wyścigów” akcji pojednawczych, w których używa się nadzwyczaj zawilonych logicznych konstrukcji, sięga się po mistrzowskie kazuistyczne formuły, a wszystko po to, by tak się wypowiedzieć, żeby nic nie powiedzieć. Dość często w tym duchu wypowiadają się autorytety nawiązujące do środowisk kościelnych, uczelni katolickich.

Przy czym w żadnej publicznej wypowiedzi nie były wymieniane doświadczenia Kościoła. Autorytety, które chętnie przywołują słowa bł. Jana Pawła II o potrzebie oczyszczenia pamięci, zupełnie ignorują nakaz

posiadają wiedzy na temat okrutnej śmierci ponad 200 kapłanów rzymskokatolickich, kilkudziesięciu grekokatolickich i prawosławnych w toku ludobójczych akcji! Przeszła istnieć cała diecezja łucka, wszystkie świątynie wiejskie na jej terenie zostały zniszczone, jednak fakt ten nie przyciąga zainteresowania pojedynczych happeningów odwołujących się do retoryki chrześcijańskiej.

Lubelskie forum będzie obradowało w kilku obszarach: kościelnego i państwowego rozpoznania i oceny ludobójstwa; stwierdzenie faktów terroru wobec Kościoła, przypomnienie przemilczanego martyrologium XX wieku, o co prosił bł. Papież. Osobnym zagadnieniem będzie kwestia rozważenia możliwości beatyfikacji męczenników. Niezwykle ważną będzie ocena ideologii nacjonalizmu, która doprowadziła do tragedii, a także postawy Kościoła, hierarchów wobec zagrożenia dechrystianizacji wynikającego z szerzącej się indoktrynacji wiernych w duchu neopogaństwa. Ważną jest projekcja tych dylematów na współczesność, gdyż instrumentalne podejście do historii, naginanie imperatywów etycznych do potrzeb sytuacji dyskredytuje środowiska dążące do pojedna-

nia i odwołujących się do wartości chrześcijańskich. Do podjęcia się trudu stanięcia w prawdzie i wkroczenia na drogę pojednania zachęca nas list rzymskokatolickiej Konferencji Episkopatu Ukrainy, która objęła swym honorowym patronatem konferencję: „Żaden rachunek sumienia nie jest łatwy, a rozliczanie się z bolesnych a zarazem wstydlivych win przeszłości, także rodziców, dziadków, sąsiadów, czy dalekich krewnych jest szczególnie skomplikowane. Ale uświadomienie sobie grzechu i nazwanie go po imieniu jest zawsze początkiem pojednania. Wymaga to pokory i wiąże się z pewną ofiarą, ale bez tego pojednania jest niemożliwe”.

Z listu abp Mieczysława Mokrzyckiego, Przewodni-



Włodzimierz Osadczy

czego Konferencji Rzymskokatolickiego Episkopatu Ukrainy do organizatorów i uczestników konferencji naukowej

Tereny, na których rozgrywały się tamte tragiczne wydarzenia, należą do metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego i w wiernych tegoż obrządku było wymierzone w głównej mierze zbrodnicze działanie. Dziś, kiedy po długim okresie przemilczania bolesnej prawdy po raz pierwszy tak otwarcie mówi się o tamtych wydarzeniach, pragnę wyrazić moje gorące podziękowania Organizatorom Konferencji. Ufam, że jej rezultatem będzie pomoc w zrozumieniu głębokiego sensu Cyceronowego stwierdzenia: „Historia magistra vitae”. Tylko wówczas jednak historia okazuje się nauczycielką życia, kiedy jest stawianiem w pełnej prawdzie, zwłaszcza wówczas gdy wymaga ona odwagi. W przeciwnym razie może się okazać, że jest ona „magistra mortis”.

My, chrześcijanie jesteśmy powołani do życia w miłości. Ufam więc, że Konferencja, którą poprzedził udział w katedrze w Łucku we Mszy św. w intencji pomordowanych na Wołyniu oraz pielgrzymka do miejsc męczeństwa, pozwoli odsłonić prawdę i podzielić się nią z miłością, także z tymi, dla których może okazać się ona bolesna. Życzę wszystkim uczestnikom Konferencji, aby rzetelność badań, której domaga się pamięć ofiar, była jednocześnie wyrazem czci, jaką pragniemy im oddać.

Wyrażając organizatorom uznanie za wieloaspektowość podejmowanej tematyki oraz międzynarodowy zasięg Konferencji pragnę zapewnić o wdzięczności całej metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego za to niezwykle pożyteczne dzieło. Z serca też błogosławię wszystkim, którzy w duchu chrześcijańskiej miłości przy-

czyniają się do odkrywania i propagowania prawdy o udziale naszych wiernych w krzyżu naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Na tle ostatnich konferencji naukowych o tragicznych wydarzeniach na Wołyniu z udziałem prawie tych samych polskich i ukraińskich historyków oraz polityków i działaczy społecznych Forum Lubelskie na KUL wyróżnia różnorodność środowisk i klarowne zdefiniowanie tematów. Prof. Jacek Nowakowski z Lublina akcentował na kwalifikacji prawnej zbrodni nacjonalistów ukraińskich na Wołyniu i historii śledztw prowadzonych w tej sprawie przez polskie instytucje. Ewa Siemaszko zaproponowała temat: „Przeciw sacrum. Specyficzne okoliczności ludobójczych akcji

OUN-UPA”, a ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski przedstawił referat o Ludobójstwie Ormian w I i II wojnie światowej. Ks. prof. Krzysztof Grzesiak przybliżył poglądy polityczne duchowieństwa prawosławnego międzywojennej Lubelszczyzny. Prof. dr hab. Andrzej Zięba opowiedział o postawie metropolity Andrzeja Szeptyckiego wobec ideologii nacjonalizmu i akcji ludobójstwa, dr Adam Kulczycki z Rzeszowa mówił o Kościele greckokatolickim wobec masowego ludobójstwa Polaków dokonanego przez OUN-UPA na Kresach Wschodnich. Materiały archiwalne i świadectwa o duchownych katolickich obrządku łacińskiego zamordowanych z rąk nacjonalistów ukraińskich prezentowali ks. prof. Józef Marecki z Krakowa i dr Wacław Szetelnicki z Legnicy. O postaciach polskich karmelitów bosych zamordowanych w Wiśniowcu w 1944 roku mówił o. dr Szczepan T. Praśkiewicz OCD z Lublina. Wspominano też duchownych obrządku wschodniego – neunitów, grekokatolików, prawosławnych, których zamordowano podczas akcji antypolskich. Czy są oni ofiarami rzezi czy męczennikami za wiarę? O możliwości prowadzenia procesów beatyfikacyjnych mówił o. prof. dr hab. Wiesław Bar OFMConv z Lublina. Naukowców z Ukrainy reprezentowali dr Oleksandr Zajcew i dr Nazar Kiś ze Lwowa oraz dr Oleh Sawczuk z Łucka.

Czystki etniczne pozostawiły swój ślad nie tylko na Wołyniu. Kilka refleksji na temat kościoła a nacjonalizmu w Europie Środkowo-Wschodniej (XIX – pocz. XX wieku) przedstawił dr Matteo Piccin z Wenecji. O stanowisku Stolicy Apostolskiej wobec ludobójstw XX wieku mówił prof. dr hab. Marco Jačov z Rzymu. Na zakończenie konferencji została odprawiona msza św. w kościele św. Józefa oo. karmelitów bosych w Lublinie.

KG

Muzyczne epitafium w katedrze łuckiej

„Epitafium Wołyńskie 1943” skomponowałem dla upamiętnienia tragedii Polaków na Wołyniu. Być może to muzyczne epitafium pozwoli choć na chwilę ukoić ból tych, którzy pamiętają, choć minęło już 70 lat” – powiedział kompozytor Marcin Mirowski. Jego kompozycję, jak również „Dolorosa Wołyń 1943” organisty i kompozytora Roberta Grudnia, a także 3 Symfonię Henryka Mikołaja Góreckiego wykonano wieczorem 13 lipca w łuckiej katedrze łacińskiej z okazji 70. rocznicy Rzezi Wołyńskiej.

**KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie**

Obecnych w świątyni wzruszyło wykonanie przez autora „Dolorosa Wołyń 1943”. Robert Grudzień wyjaśnił, że ten utwór został skomponowany z okazji 65. rocznicy tragedii na Kresach II Rzeczypospolitej. „Nie było łatwo zmierzyć się z tym tematem, gdyż współpracuję z Ukraińcami, ale mam też przyjaciół, którzy w masakrach stracili swoich krewnych – zaznaczył. – Nieraz całe rodziny. „Dolorosa” to hold ich pamięci”.

„Epitafium Wołyńskie 1943” Marcina Mirowskiego jest darem przygotowanym przez filharmoników lubelskich dla mieszkającej tutaj społeczności. Nie tylko polskiej, ale również Ukraińców - sympatyków kultury polskiej, ludzi, którzy chcą zbliżenia z Polską, zbliżenia z Europą. Chcą po prostu zbliżenia między dwoma słowiańskimi narodami” - powiedział dr Jan Sęk, dyrektor Filharmonii im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie i prezes Fundacji Willa Polonia. Zaznaczył, że projekt koncertu z udziałem Orkiestry Filharmonii Lubelskiej pod batutą Wojciecha Rodka i solistki Ewy Vesin z Wrocławia został zrealizowany dzięki wsparciu konsulatu generalnego RP w Łucku.

„Myślę, że idea tego koncertu dojrzała długo – mówił dalej dr Jan Sęk. – Byliśmy tutaj rok temu jako filharmonia, prezentując 13 Symfonię Szostakowicza „Babij jar”. Symfonię, która przełamała myślenie inteligencji, zwłaszcza w bloku wschodnim, komunistycznym. Wówczas pokazała beznadziejność drogi związanej z totalitaryzmem wschodnim, z totalitaryzmem zachodnim, upadanie kobiet, upadanie prostych ludzi i upadanie przede wszystkim inteligencji. Ta rzecz, z którą przyjechaliśmy rok temu została bardzo dobrze przyjęta. Razem z pracownikami i władzami konsulatu RP w Łucku szukaliśmy czegoś, co było by wskazane i adekwatne do tego wielkiego wydarzenia z którym mieliśmy dzisiaj. Bezmiar ludzkiej tragedii, który miał miejsce 70 lat temu wbrew pozorom trudno jest opisać słowem. Trudno jest opi-

sać by jednakowo nawet to słowo odebrali wszyscy. Do prawdy trzeba dorastać, trzeba dojrzeć. Społeczeństwa polskie i ukraińskie są w tym dążeniu do poznania kardynalnych podstaw społeczeństwa obywatelskiego na różnych etapach drogi. Rzecz naturalna: Polska wybiła się na niepodległość wcześniej, wiosna nadziei ogarnęła Ukrainę później. I musimy to też szanować i to widzieć. Trzeba też z całą otwartością powiedzieć, że takie rzeczy straszliwe, które nie powinny się zdarzyć w Europie, w środku, w sercu Europy, zdarzyły się. Tragiczniesze może jak te, które były w Katyniu i jak te, które były w niejednym obozie hitlerowskim, niemieckim. Ale trzeba po-

polityków i muzyka wśród ludzi kultury winna jednoczyć okaleczone przeszłością narody” – powiedział dr Jan Sęk.

Koncert pod tytułem „Epitafium Wołyńskie 1943” w łuckiej katedrze św. Apostołów Piotra i Pawła zaszczylił swoją obecnością, polscy dyplomaci z placówek w Kijowie, Lwowie, Winnicy i Łucku na czele z ambasadorem RP na Ukrainie Henrykiem Litwinem, duchowieństwo katolickie dwóch obrządków i prawosławni. Wśród słuchaczy było też wielu pielgrzymów z Polski.

Po zakończeniu „Epitafium Wołyńskiego 1943” zastępcą przewodniczącego sekcji krajowej oświaty i wychowania NSZZ „Solidarność”



dr Jan Sęk (od lewej) i dyrygent Wojciech Rodek

wiedzieć, że to nie narody są winne. Ani Polacy wówczas nie mieli własnego państwa, ani własnej władzy, ani Ukraińcy tym bardziej byli jej pozbawieni i struktur państwowych, i struktur rządowych. Trzeba widzieć konkretnych sprawców, konkretne grupy, konkretne partie polityczne, konkretne ideologie. I nawet po części konkretne hierarchie duchowne. Też nie w całości.” – zauważył prezes Fundacji Willa Polonia.

„Musimy po prostu trzymać się prawdy, jak mówił wielki człowiek papież-słowianin, zwiastun nadziei bł. Jan Paweł II: prawda nas wyzwoli. Ale na to trzeba czasu. A myślę, że dzisiaj najważniejszym językiem, który powinniśmy sobie uświadomić, który jest potrzebny, to jest język bez słów. Może cisza w wykonaniu

Teresa Misiuk powiedziała dla Kuriera: „Jestem bardzo szczęśliwa, że mogłam posłuchać tego koncertu, szczególnie po całym dniu naszej pielgrzymki do wielu miejsc gdzie spoczywają wymordowani Polacy. Tak to jest, kiedy brakuje słów wobec dramatu. My żyjący teraz, po tylu latach, odwiedzający te miejsca, trudno wyrazić nam słowami nasze emocje, za to wybrzmiały one na tym koncercie. Koncert był pięknym zakończeniem dnia. Dzięki niemu łatwiej nam sobie poradzić z wszystkimi emocjami, z tym, czego doświadczyliśmy dzisiaj – a zaczęliśmy o świecie od Mszy św. na jednym z cmentarzy wołyńskich. Osobiście nie mam żadnych związków z tragedią wołyńską, ale ci, którzy je mają, przeżywają, to jeszcze bardziej”.

Papież Franciszek o 70. rocznicy rzezi wołyńskiej

Podczas spotkania papieża Franciszka z wiernymi na modlitwie Anioł Pański w rezydencji Castel Gandolfo, papież zwrócił się do uczestników uroczystości odbywających się w 70. rocznicę zbrodni wołyńskiej w Łucku na Ukrainie.

14 lipca po modlitwie Anioł Pański ojciec święty Franciszek zaapelował do Polaków i Ukraińców podczas

spotkania z wiernymi: „Łączę się w modlitwie z biskupami i wiernymi Kościoła na Ukrainie, zgromadzonymi w katedrze w Łucku na mszy św. żałobnej, z okazji 70. rocznicy masakry na Wołyniu. „Czyni te, wywołane przez nacjonalistyczną ideologię w czasie II wojny światowej, spowodowały dziesiątki tysięcy ofiar śmiertelnych i zadały ranę braterstwu dwóch

narodów, polskiego i ukraińskiego. Wraz z pasterzami Kościoła na Ukrainie i w Polsce powierzam Bożemu miłosierdziu dusze tych ofiar, a dla obojdwóch narodów proszę o łaskę głębokiego pojednania i pokojowej przyszłości w nadziei i szczerzej współpracy na rzecz wspólnego budowania Królestwa Bożego”.

RW

19. Światowy Zjazd i Pielgrzymka Kresowian na Jasnej Górze

Dawni mieszkańcy Kresów Wschodnich II RP i ich rodziny przybyli z 19. pielgrzymką swego środowiska na Jasną Górę. Podczas spotkania pod hasłem „Niedokończona Msza Wołyńska” apelowali m.in. o pamięć o ofiarach „ideologii banderowskiej”.



Mszę dla uczestników pielgrzymki odprawiono w jasnogórskiej kaplicy Cudownego Obrazu. Homilię wygłosił ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski – duszpasterz Ormian, historyk, autor książki „Przemilczane ludobójstwo na Kresach”, honorowy członek Światowego Kongresu Kresowian. Nawiązał m.in. do zbliżającej się 70. rocznicy „krwawej niedzieli” na Wołyniu 11 lipca 1943. r., kiedy – jak mówił – doszło do apogeum ludobójstwa dokonanego tam przez ukraińskich nacjonalistów.

Ks. Isakowicz-Zaleski podkreślił, że zbrodnię tę popełniono na Kresach – miejscu słynącym niegdyś ze wzajemnego szacunku, tolerancji, życzliwości. Wymieniał i opisywał niektóre akty ludobójstwa dokonywanego często przez sąsiadów ofiar. Wskazał, że prócz Polaków z rąk nacjonalistów ginęli Ormianie, Żydzi, Czesi, a także „sprawiedliwi Ukraińcy, którzy ratowali Polaków, ratowali Żydów i nie popierali Stefana Bandery”.

Zaznaczył, że na rozprawę z Polakami w lipcu 1943 r., gdy zaatakowano 99 osad, celowo wybrano właśnie niedzielę. – Stuszenie nasze spotkanie nosi nazwę „Niedokończonych mszy wołyńskich”. Albowiem te msze święte rozpoczęte w tę niedzielę nigdy nie skończyły się – bo kapłanów zamordowano w czasie mszy świętych siekierami czy w inny barbarzyński sposób, mordowano ludzi w kościołach – mówił.

Choć 95 proc. ofiar stanowili chłopcy, ginęli też przedstawiciele inteligencji – nauczyciele, lekarze, a także łącznie ok. 180 duchownych; wśród nich księża, którzy często byli przywódcami nie tylko duchowymi, ale też społecznymi. Ks. Isakowicz-Zaleski określił ich „apostołami” – przekazywali bowiem wszystkim, niezależnie od wyznania, podstawowe prawdy wiary. – Za to właśnie zostali zamordowani – są męczennikami. Do dzisiaj władze kościelne nie chcą przeprowadzić ich procesów beatyfikacyjnych – powiedział.

Oceniał też, że mimo, iż minęło 70 lat od tej zbrodni, III Rzeczpospolita „ciągle nie chce powiedzieć prawdy”. – Ciągłe politycy mają ten ogromny problem czy powiedzieć

prawdę, czy nie – czy pozwala na to Bruksela, czy z Kijowa też jest jakaś zgoda. Ciągłe mówi się: „tak, był KL Auschwitz, tak, był Katyń”, ale milczy się w sprawie Wołynia – mówił.

W tym kontekście skrytykował m.in. odnosząc się do 70. rocznicy zbrodni wołyńskiej uchwałę senatu z 20 czerwca, nazywając ją „ucieczką w jakieś pokrętne półprawdy, ćwierć prawdy”. Oceniał też, że również podpisana 28 czerwca deklaracja zwierzchników Kościołów z Polski i Ukrainy w tej sprawie „nie zawiera prawdy o ludobójstwie”.

– Nie mówi się, kto kogo zabił i dlaczego. Są eufemizmy – tragedia wołyńska, czystki etniczne. Wyczyścić to sobie można ubranie, jak jest pobrudzone, ale zabijanie kobiet, dzieci i starców, to nie jest czystka, to jest ludobójstwo – mówił, dodając, że do dzisiaj na zachodniej Ukrainie nie ma pomników ofiar, są natomiast pomniki Stefana Bandery i wielu przywódców UPA. – Na obecnej Ukrainie zachodniej jest to możliwe, bo nie ma prawdy – stwierdził.

Ks. Isakowicz-Zaleski wymienił trzy wnioski związane z wydarzeniami sprzed 70 lat: pierwszy to moralny obowiązek pamięci o ofiarach. – Dopóki jest pamięć, o tych ludziach się mówi, zamawiane są za nich msze święte. Najgorszą rzeczą jest wytarście ludzi z pamięci – powiedział.

Drugi wniosek to potrzeba zgody, pojednania i przebaczenia, choć – jak zaznaczył – nie chodzi o skłócenie z Ukraińcami. – Naszym wrogiem nie był naród ukraiński, była ideologia banderowska – podkreślił. Jako trzeci, ogólniejszy, wniosek wskazał konieczność wierności piątemu przykazaniu – jako fundamentowi religii chrześcijańskiej. – Nie zabijaj – to jest ta dewiza, którą wnoszą Kresowianie. Nie wolno niszczyć: na tym się nie zbuduje ani wolnego państwa, ani zgody, ani przyjaźni – podkreślił.

– Nasze działanie powinno iść w kierunku życzliwości, przyjaźni i pojednania. Módlmy się bardzo, żeby z krwi męczenników wołyńskich, kresowych, wyrosła prawda, miłość i zgoda – zaapelował na Jasnej Górze ks. Isakowicz-Zaleski.

PAP

Prasa polska o Ukrainie

Opracował
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

pap W Wiśle z prezydentem Ukrainy spotkali się prezydenci Grupy Wyszehradzkiej. – Grupa Wyszehradzka jest zainteresowana powodzeniem Ukrainy na drodze ku integracji świata zachodniego – powiedział prezydent Bronisław Komorowski, a prezydent Wiktor Janukowycz zapewnił, że Ukraina chce spełnić wymogi stawiane przez UE: przyjąć niezbędne ustawy i rozwiązać problem Julii Tymoszenko.

– Grupa Wyszehradzka (...) jest zainteresowana powodzeniem Ukrainy na nielatywnej, ale obiecującej na przyszłość drodze ku integracji świata zachodniego. (...) Zachęcamy Ukrainę do kontynuowania wysiłków i likwidowania przeszkód na tej drodze. Zachęcamy inne kraje, by doceniły ukraiński wysiłek. Liczymy wszyscy na sukces szczytu Partnerstwa Wschodniego w Wilnie – powiedział Bronisław Komorowski po spotkaniu prezydentów grupy V4 i Ukrainy.

Komorowski poinformował, że „... z satysfakcją odnotowujemy, że pan prezydent Janukowycz mówił o poszukiwaniu drogi na rozwiązanie tego problemu w zgodzie z prawem ukraińskim, czyli albo na bazie obecnego prawa, albo poprzez ewentualną korektę, przez działania parlamentu. Wiążemy z tą deklaracją bardzo daleko idące nadzieje – oświadczył polski prezydent.

Także ukraiński przywódca zapewnił, że jego kraj jest nastawiony na wypełnienie wszystkich wymogów stawianych przez Unię przed podpisaniem umowy stowarzyszeniowej z UE. Janukowycz podkreślił też, że poparcie dążeń eurointegracyjnych ze strony czwórki wyszehradzkiej, które jego kraj odczuwa, jest dla Kijowa bardzo ważne.

Grupa Wyszehradzka zainteresowana europejską integracją Ukrainy. pmaj
03-07-2013

pap Jeśli w listopadzie nie uda się podpisać umowy stowarzyszeniowej między UE a Ukrainą, cały program Partnerstwa Wschodniego poważnie ucierpi – oceniła prezydent Litwy Dalia Grybauskaitė. Litwa objęła w lipcu półroczne przewodnictwo w UE, a Partnerstwo Wschodnie jest jednym z priorytetów prezydencji.

Na spotkaniu z grupą unijnych korespondentów w Wilnie Grybauskaitė podkreśliła, że Ukraina „musi rozwiązać sprawę Tymoszenko”.

– To absolutnie konieczne. Bez tego większość krajów (UE) nie będzie w stanie zgodzić się na podpisanie umowy – powiedziała litewska prezydent.

Także szef litewskiej dyplomacji Linas Linkevičius ocenił, że niepowodzenie starań o podpisanie umowy stowarzyszeniowej z Kijowem „podważy program Partnerstwa Wschodniego”. – Ten projekt bez Ukrainy byłby możliwy, ale nie byłby prze-

nujący – powiedział. Dodał, że wierzy jednak w optymistyczny scenariusz wydarzeń.

Zdaniem eksperta z wileńskiego Centrum Studiów Wschodnioeuropejskich Laurynasa Kascziunasa coraz bardziej prawdopodobne wydaje się, że prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz zgodzi się na wyjazd Tymoszenko na leczenie zagranicę, co pozwoli mu zachować twarz. Niemcy zaoferowały, że gotowe są przyjąć byłą premier na leczenie.

Litwa: Los Partnerstwa Wschodniego zależy od umowy z Ukrainą.
04-07-2013

gazeta Polscy i ukraińscy intelektualni upamiętnili w sobotę polskie ofiary zbrodni w dawnym Porycku, a dziś Pawliwce na Wołyniu, będącej jednym z symboli konfliktu między dwoma narodami w latach II wojny światowej.

Po ekumenicznej mszy świętej na miejscowym cmentarzu, którą wspólnie celebrowali przedstawiciele wołyńskich kościołów, na uniwersytecie w Łucku odczytano deklarację, nawołującą do przebaczenia wzajemnych krzywd przeszłości. „Nie z powodu polityki i dobrego sąsiedztwa, nie dla dobrego imienia narodu mojego, przebac mi, Bracie. Wstyd pali moje serce, wstrzymuje oddech w piersiach, kiedy myślę o Twoim bólu, o zabitych Twoich braciach i siostrach na Wołyniu i w Galicji. Przebac mi za nasz grzech” – czytamy w dokumencie wygłoszonym w imieniu przedstawicieli obu narodowości.

Zdaniem obecnego na uroczystościach doradcy prezydenta Polski Henryka Wujca pojednanie wobec wydarzeń z przeszłości nie jest procesem jednorazowym, lecz długotrwałym. „Nie wszystko na raz się powie, nie wszystko da się powiedzieć. Do pojednania prowadzą kroki stopniowe. Dziś o tym rozmawiamy, zdajemy sobie sprawę z tego, co się wtedy wydarzyło. Dobrze, że nie godzimy się z milczeniem, tylko uświadamiamy sobie tę zbrodnię i wiemy, że jeśli na nowo tego nie przemyślimy, nie podamy sobie dłoni, to nie można wykluczyć, że to się może powtórzyć” – powiedział.

Ukraiński uczony, więzień polityczny czasów ZSRS Myrosław Marynowycz ocenił, iż dyskusjom historycznym między Ukraińcami i Polakami brakuje dziś wzajemnego zrozumienia. „Emocje rodzą się wówczas, gdy jedna ze stron sądzi, że jej prawda nie jest uszanowana. Rozumując w kategoriach narodowych uważamy, że to my jesteśmy niewinni, pokrzywdzeni, że to oni zawinili. Dyskutując w kategoriach chrześcijańskich, stajemy przed Bogiem z odczuciem własnego przewinienia. Chcę powiedzieć Polakom, że odczuwam wyrządzoną wam krzywdę, rozumiem wasz ból. Rozumiem też jednak ból mojej strony” – podkreślił.

Modlitwa nad ofiarami zbrodni wołyńskiej w Porycku.
06.07.2013



Byli prezydenci Polski i Ukrainy: Aleksander Kwaśniewski i Leonid

Kuczma – w związku z 70. rocznicą tragedii Wołyńskiej – zaapelowali we wspólnym oświadczeniu o pojednanie i niezaoeganie wzajemnych stosunków między Polakami i Ukraińcami.

– W przeddzień 70. rocznicy tragicznych wydarzeń na Wołyniu prosimy naszych rodaków, aby zrobili wszystko, aby uczczenie pamięci ofiar dawnych konfliktów nie stało się narzędziem do zoagnienia stosunków i zmarnotrawienia dotychczasowych zdobyczy procesu pojednania między naszymi narodami – napisali byli prezydenci.

Politycy napisali, że przyczyny tragedii miały zarówno historyczny, jak i współczesny, polityczny charakter. – Nasi przodkowie zapłacili wysoką cenę za zrozumienie, że narody ukraiński i polski powinny żyć w pokoju i przyjaźni – zaznaczyli.

– Chylimy głowy przed ofiarami okrucieństwa i wszystkich tragicznych wydarzeń, które miały miejsce w naszej historii; ciągle wyrażamy przekonanie, że wzajemne przebaczenie to droga do pełnego pojednania obecnych i przyszłych pokoleń Polaków i Ukraińców – oświadczyli prezydenci.

Zaznaczyli, że „silna i niezależna Polska i Ukraina, złączone wspólną wizją przyszłości i dobrego sąsiedztwa, są najlepszym sposobem oddania szacunku naszym przodkom i najważniejszym dziedzictwem dla przyszłych pokoleń”. Wyrazili oczekiwania, że kolejne lata przyniosą „dalszy postęp” w dialogu pomiędzy Polakami i Ukraińcami. – Dlatego z wielkim szacunkiem i nadzieją powitaliśmy Wspólną Deklarację Kościołów Polski i Ukrainy w 70. rocznicę zbrodni wołyńskiej, jako ważny moralny głos wsparcia dla polsko-ukraińskiego pojednania – podkreślił.

Kwaśniewski i Kuczma apelują o pojednanie między Polakami i Ukraińcami.
mp, 09-07-2013



Zamiast pieniędzy za nadpłacony VAT dostaną weksle. Wykup za 5 lat. Kijów przeżywa kłopoty gospodarcze i chce w ten sposób zmusić przedsiębiorców, wśród nich inwestorów z Polski, do kredytowania budżetu. Biznesmeni w dodatku nie mogą być pewni, czy po pięcioletnim terminie państwo faktycznie odkupi od nich weksle. Ale jeśli nawet, to pięcioletni zator dla wielu z nich oznacza kłopoty, jeśli nie bankructwo.

Polacy w sumie zainwestowali nad Dnieprem 520 mln dol. Dla przykładu w październiku ubiegłego roku za nadpłacony VAT państwo ukraińskie było winne tylko produkującemu panele podłogowe Barlinkowi 24 mln zł. Proponowane weksle są bezgotówkową zamianą jednej formy długu na inną.

Skąd termin pięciu lat dla weksli? – Będą wybory, może się zdarzyć dewaluacja hrywny albo i bankructwo kraju. Władze liczą, że zanim spłacą weksle, albo same padną, albo padną posiadacze papierów – komentuje DGP ukraiński ekonomista

Wołodimir Dubrowski. Teoretycznie nowe regulacje nie wyglądają groźnie. Jeśli przedsiębiorca zapłacił zbyt wysoki VAT, zostanie jego zwrot w postaci pięcioletnich weksli skarbowych. Będą one oprocentowane na 5 proc., z możliwością swobodnego obracania. Gdyby firma w kolejnym roku zapłaciła zbyt niski podatek, będzie mogła za ich pomocą rozliczyć się z fiskusem. Weksle mają być rozdawane na zasadzie dobrowolności. Kto się boi, może zażądać pieniędzy.

Tyle teoria. W praktyce nikt nie może zagwarantować, że po pięciu latach te pieniądze da się odzyskać. A i perspektywa zwrotu VAT w tym roku jest mizerna. – Jedyne plus jest taki, że jeśli ktoś już stracił wiarę w zwrot podatku, może przyjąć weksle i szybko je odsprzedać za pewien procent na rynku wtórnym, który się z pewnością pojawi – mówi Dubrowski. Papierów lepiej nie trzymać, zwłaszcza że ukraiński system gospodarczy nie wygląda pewnie. Osiągnięcie założonego przez rząd wzrostu PKB na poziomie 3,4 proc. jest już niemożliwe. Niewykluczone jest recesja. Ci, którzy chcieli tam inwestować, teraz się wycofują. Choćby Mokate.

Ukraina uderza w nasze firmy. Pięcioletni zator skończy się bankrutem?
Michał Potocki
11.07.2013

Zbrodnią o znamionach ludobójstwa nazwał prezydent Bronisław Komorowski rzeź wołyńską podczas uroczystości 70. rocznicy kulminacji tragedii. Wczoraj minęło 70 lat od tzw. krwawej niedzieli, kiedy UPA wymordowała ok. 11 tys. ludzi. Tego dnia i w kolejnych Ukraińcy dokonali skoordynowanych ataków na Polaków w 150 miejscowościach w powiatach włodzimierskim, horochowskim, kowelskim oraz łuckim. IPN szacuje, że zginęło wówczas 100 tys. ludzi. – Jestem wdzięczny, że razem mogliśmy modlić się po chrześcijańsku, mówiąc i przypominając światu, ale także samym sobie, modląc się słowami: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” – mówił prezydent Bronisław Komorowski podczas oficjalnych uroczystości na skwerze Wołyńskim na warszawskim Żoliborzu. – Zbrodnia była jednym z najbardziej bolesnych doświadczeń Polaków w czasie II wojny światowej – stwierdził. W obchodach wzięli udział m.in.: były premier Tadeusz Mazowiecki, ambasador Izraela w Polsce Zvi Rav-Ner, minister obrony narodowej Tomasz Siemonek, prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, wojewoda mazowiecki Jacek Kozłowski oraz prezes Instytutu Pamięci Narodowej Łukasz Kamiński. Zabrakło zaproszonego ambasadora Ukrainy Markijana Malskyja. Europosel PO Paweł Zalewski, który dużo uwagi poświęca stosunkom polsko-ukraińskim, próbuje tę kwestię bagatelizować. – Nie widzę żadnej głębszej myśli w nieobecności ambasadora, który z całą pewnością dostał zakaz od ukraińskich władz. Prawdopodobnie ktoś w otoczeniu prezydenta Wiktora Janukowycza doszedł do wniosku, że w tym momencie taka postawa dyplomacji będzie wygod-

na – mówi „Rz” Zalewski. Jednocześnie wskazuje, że rządząca na Ukrainie Partia Regionów wykorzystuje zbrodnię wołyńską do kreowania wydarzeń na rodzimej scenie politycznej.

– Zachowanie ukraińskiego rządu jest pełne sprzeczności. Z jednej strony mamy list deputowanych partii rządzącej, którzy zachęcają polski Sejm do nazwania zbrodni ludobójstwem, z drugiej strony ambasador nie uczestniczy w obchodach – zauważa. Prezydent Komorowski dziękował Rodzinom Kresowym za pamięć i dopominanie się prawdy. – Ocaliliście państwo od zapomnienia i przekłamania ważną kartę narodowej historii – mówił. Jednak nie wszyscy przedstawiciele Kresowian brali udział w państwowych obchodach. Społeczny Komitet Organizacyjny Obchodów Rocznicy 11 Lipca przygotował alternatywny program. – Wiele rodzin, które są w Komitecie, nie wiedziało o obchodach z udziałem prezydenta. On na nasz list z zaproszeniem nie odpowiedział – mówi „Rz” ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski z komitetu organizacyjnego. W południe na placu Trzech Krzyży została odprawiona msza święta w intencji ofiar, po niej ulicami przeszedł Marsz Pamięci. Wzięło w nim udział kilku polityków PO. Uroczystości zakończyły się na placu Teatralnym koncertem, który poprowadził znany publicysta Jan Pospieszalski.

Pamięć bez Ukraińców. Paweł Majewski 12-07-2013

Mieszkańcy dawnego Przebraża, dziś wsi Hajowe na Wołyniu, przygotowują się do wizyty prezydenta Bronisława Komorowskiego, który – jak oczekują – w niedzielę może oddać hołd ofiarom zbrodni wołyńskiej, spoczywającym na miejscowym polskim cmentarzu wojskowym.

W latach 1943-1944 Przebraże było jednym z największych ośrodków polskiej samoobrony przed oddziałami nacjonalistów ukraińskich na Wołyniu. Dziś mieszkają tu głównie ukraińscy przesiedleńcy z terenów obecnej Polski, którzy porządkują cmentarz wraz z przyjeżdżającymi Polakami. Założony jeszcze w 1943 r. cmentarz został zrekonstruowany w 2001 r. Jest tu dwujęzyczna tablica z polskim godłem i napisem: „Tu spoczywają żołnierze Armii Krajowej oraz mieszkańcy Przebraża i okolicznych miejscowości polegli, zmarli i pomordowani w czasie drugiej wojny światowej”.

„W kulminacyjnym momencie działania samoobrony w Przebrażu, który był niewielką wsią, mieszkało ponad 10 tysięcy ludzi. Sprowadzano ich tutaj z okolicznych polskich osad pod eskortą. Ci ludzie ocalali z rzezi. Przebraże było fortecą, w której Polacy odnieśli zwycięstwo, jednak takich miejsc jest na Wołyniu niewiele” – opowiada o wydarzeniach sprzed 70 lat. Jarosław Przybyło z Bochni.

Wraz z Polakami z Bochni na cmentarzu pracuje grupa ukraińskiej młodzieży szkolnej. Nadzór nad nimi sprawuje sołtys Jurij Bedeniuk: „Opiekujemy się cmentarzem cały czas, a w tym roku w szczególności, bo przecież mija 70. rocznica tych wydarzeń. Żyjących świadków

tego, co się tu działo w 1943 r., jest już niewielu. Wydaje mi się, że dziś mamy uściśnić sobie nawzajem ręce i współpracować. To już się stało i niech pozostanie w historii, a my musimy robić wszystko, by to się już nigdy nie powtórzyło” – powiedział.

Przebraże na Wołyniu w oczekiwaniu na wizytę Komorowskiego.
Jarosław Junko
11.07.2013

Rzeź wołyńska była „czystką etniczną o znamionach ludobójstwa” uznali posłowie, przyjmując w głosowaniu uchwałę w kształcie zaakceptowanym wcześniej przez komisję kultury. Za przyjęciem uchwały głosowało 263 posłów, 33 było przeciw, a 146 wstrzymało się od głosu.

Przeciwko uchwale głosował klub Ruchu Palikota. – Sejm nie jest miejscem ustalania prawdy historycznej i nie powinien się tym zajmować. Jeśli w ogóle z Sejmu miałyby wyjść jakakolwiek uchwała dotycząca przeszłości, powinna ona zawierać jedno proste zdanie: „wybaczymy i prosimy o wybaczenie” – argumentował Janusz Palikot.

Głosowanie poprzedziła debata, podczas której do poparcia zapisu o „czystce etnicznej o znamionach ludobójstwa” przekonywał minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Przywoływał on opinie kilku historyków, którzy również nie określają rzezi wołyńskiej mianem ludobójstwa, a właśnie czystki etnicznej. Powoływał się także na misję Aleksandra Kwaśniewskiego i słowa Lecha Kaczyńskiego, który mówił: „Nasza obecność, prezydenta Polski i Ukrainy przed tymi pomnikami świadczy, że z obu stron jest gotowość do kontynuowania tego dzieła, na drodze do pojednania”. Sikorski apelował, by „nie upokarzać Ukrainy” zastrzeżeniem treści uchwały w sprawie rzezi wołyńskiej. Przypomniał też, że pięć lat wcześniej Sejm przyjął jednogłośnie uchwałę mówiącą o „zbrodni noszącej znamiona ludobójstwa” i pytał retorycznie, co się zmieniło od tego czasu.

Z argumentacją ministra nie zgadzali się posłowie opozycji. – Jeśli rzeź wołyńska nie była ludobójstwem, to co nim było? Jeżeli wmaciemy nam, że nie możemy wpisać słowa „ludobójstwo” do uchwały, bo Ukraina nie zostanie przez to przyjęta do UE, to macie o nas niskie zdanie.

W kolejnym głosowaniu posłowie odrzucili też poprawkę, zgodnie z którą dzień 11 lipca miał zostać ustanowiony Dniem Pamięci Ofiar Zbrodni Wołyńskiej. Prezydent Bronisław Komorowski, podczas uroczystości 70. rocznicy kulminacji tragedii, rzeź wołyńską nazwał zbrodnią o znamionach ludobójstwa. – Zbrodnia była jednym z najbardziej bolesnych doświadczeń Polaków w czasie II wojny światowej – mówił prezydent Bronisław Komorowski podczas oficjalnych uroczystości na skwerze Wołyńskim na warszawskim Żoliborzu.

Sejm zdecydował: Rzeź wołyńska „czystką etniczną o znamionach ludobójstwa”.
Marcin Pieńkowski
12-07-2013

Historyczny wybór Ukrainy

Ukraina ma jeszcze kilka tygodni do historycznego wyboru swojej dalszej drogi. Wybór ten odcisnie się piętnem na wiele lat państwowości Ukrainy. Obserwując aktywność (a raczej jej brak) polityków ukraińskich, odnoszę wrażenie, że nie do końca zdają sobie z tego sprawę. Bierna postawa jest przeciwieństwem poczynań polityków europejskich, w szczególności polskich.



JAN WLOBART

Należy przypomnieć najświeższe zabiegi o przygotowanie podwalin do podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską [UE] oraz usunięcie przeszkód będących warunkiem jej podpisania w listopadzie br. w Wilnie.

Na ostatnim szczycie państw Grupy Wyszehradzkiej [Węgry, Czechy, Słowacja i Polska] Prezydent Bronisław Komorowski, w obecności przewodniczącego Rady Europejskiej, Hermana Von Rompuyea, oświadczył, że w sprawie przyszłości Ukrainy toczy się gra o najwyższą stawkę.

W Waszyngtonie minister spraw zagranicznych RP Radosław Sikorski stwierdził, iż „Ukraina znajdzie się na politycznym rozdrożu, jeżeli do końca wakacji nie spełni warunków postawionych przez UE”. Dla przypomnienia tymi warunkami jest reforma systemu prawnego, prawa wyborczego oraz sprawa Julii Tymoszenko. Nie spełnienie tych warunków uniemożliwi podpisanie umowy stowarzyszeniowej, ponieważ granica starań Polski w tej sprawie została już osiągnięta i teraz wszystko zależy od Ukrainy. Równoległe od kilkunastu miesięcy były prezydent RP Aleksander Kwaśniewski wspólnie z byłym przewodniczącym Parlamentu Europejskiego Patem Coxem prowadzą zakulisowe rozmowy z prezydentem Wiktorem Janukowyczem celem znalezienia kompromisu w sprawie Julii Tymoszenko. Pozosta-

ły ostatnie dwa miesiące decydujące o dalszym położeniu politycznym Ukrainy. Przekroczenie tego terminu nie jest możliwe ze względu na ramy czasowe procedur w UE i jakiegokolwiek dalsze poczynania Ukrainy nie będą miały wpływu na podjętą decyzję. W tej sytuacji dziwi postawa polityków ukraińskich, a tym bardziej niezrozumiałe jest podpisanie przez premiera Mykołę Azarowa w Mińsku memorandum dającego Ukrainie rolę obserwatora w Euroazjatyckiej Unii Celnej [EUC – Rosja, Białoruś, Kazachstan].

Uczestniczenie równoległe w strukturach UE i EUC wzajemnie się wyklucza. Rodzi się pytanie, czy politycy ukraińscy przypadkiem nie podjęli już decyzji, tylko do końca grają na dwa fronty? Logika przedstawionych wydarzeń daje podstawy do takich spekulacji. Wiele inicjatyw i działań władz wojewódzkich lwano-Frankiwska, Tarnopola Łucka czy Lwowa, zacieśniających współpracę regionalną z Polską, Słowacją czy Węgrami, nie koreluje w żaden sposób z polityką Kijowa. Może to świadczyć o braku jakiegokolwiek przejrzystej polityki tego kraju. Jest to szczególnie niezrozumiałe, bo kraj ten nie budzi większego zainteresowania w Europie i ma niewielu ambasadorów.

Mam nadzieję, że w ostatniej chwili w politykach ukraińskich przeważą rozsądek i realna ocena perspektyw rozwoju Ukrainy. Inaczej skutki błędnej decyzji będą boleśnie ciągnęły się latami.

Wołyń i pojednanie

Obchodom 70. rocznicy wydarzeń na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943-1944 towarzyszą liczne debaty, seminaria i konferencje. Niejednokrotnie towarzyszą im pytania o chwilę obecną, o stan relacji polsko-ukraińskich, pojednanie a nierzadko pytania o Polskę i Ukrainę w ogóle. Jedno z takich spotkań, z udziałem profesorów Katolickiego Uniwersytetu we Lwowie Jarosława Hrycaka i Myrosława Marynowycza oraz Bogumiły Berdychowskiej z redakcji kwartalnika „Więź” i Łukasza Kamińskiego, prezesa Instytutu Pamięci Narodowej odbyło się 26 czerwca w warszawskiej Fundacji Batorego, w przeddzień panichidy odprawionej przez abpa Światosława w intencji ofiar zbrodni wołyńskiej.

TOMASZ HORBOWSKI,
PAWEŁ PIENIAŻEK teksty
PIOTR KOSIEWSKI zdjęcia

Dyskusję otworzyła wypowiedź prezesa IPN Łukasza Kamińskiego, który stwierdził, że w ostatnich latach nie udało się wykonać zbyt wielu kroków ku pojednaniu. W rezultacie dialog polsko-ukraiński znajduje się w tym samym miejscu, co dziesięć lat temu, kiedy to Leonid Kuczma i Aleksander Kwaśniewski wspólnie odsłaniał pomnik poświęcony zamordowanym w Porycu (dziś Pawliwka). Stało się tak, ponieważ po ważnych politycznych i religijnych deklaracjach nie było zbyt wiele realnych działań. Dlatego konieczne jest wspólne przebycie trudnej i bolesnej drogi. Nie uda się pominąć najtragiczniejszych spraw z przeszłości – przekonywał. Drodze ku pojednaniu nie pomagają też bardzo niski poziom wiedzy Polaków o tych wydarzeniach, co pokazują badania z lat 2003 i 2008. „Jeśli nie brać pod uwagę elit, środowisk intelektualnych, politycznych i religijnych – mówił Kamiński – to w przypadku zbrodni wołyńskiej panuje raczej niepamięć. Jak można doprowadzić do pojednania, jeśli tak naprawdę oba społeczeństwa nie wiedzą, co mają sobie wzajemnie przebaczać?”

Z tezą o polskiej niepamięci nie zgadzała się Bogumiła Berdychowska. Przypomniała badania przeprowadzone w 2009 roku dla Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, z których wynika, że największymi wrogami Polaków podczas wojny byli Ukraińcy. Oni w tym badaniu wyprzedzili zarówno Niemców jak i Związek Radziecki. „Oznacza to, że pamięć o tragedii w relacjach polsko-ukraińskich jest mocno zakorzeniona”. Ponadto – w porównaniu z innymi wydarzeniami historycznymi – o Wołyniu wie stosunkowo wielu respondentów. Łukasz Kamiński prostował: nie chodzi tu jedynie o wiedzę na temat wydarzeń, ale także o symbole ich dotyczące (upamiętnienia, obrazy filmowe...), a tych w przypadku tragedii wołyńskiej jest niezwykle mało.

Mówiąc o dialogu polsko-ukraińskim Łukasz Kamiński zwracał uwagę na dwie kwestie. Konieczne jest odpowiedzenie sobie na pytanie, jakie miejsce zajmuje w naszej historii zbrodnia wołyńska, nie tylko wspólnej – polsko-ukraińskiej, ale także każdego z tych społeczeństw z osobna. Potrzebne jest także podjęcie wspólnych działań, które mogą prowadzić do zbliżenia, np. wspólnych badań



Paneliści

mających na celu ustalenie liczby ofiar i sporządzenie ich imiennej listy. „Ta wspólna pamięć o ofiarach mogłaby stać się przedmiotem naszej wspólnej polsko-ukraińskiej troski. Razem moglibyśmy dbać o miejsca pochówku” – przekonywał szef IPN. Ten dialog jest jednak utrudniony między innymi przez brak woli politycznej. Nie pomagają również brak równowagi w stanie badań po stronie polskiej i ukraińskiej.

Po części zgodził się z tym Jarosław Hrycak. „Oczywiste jest, że ogólnie w kwestii wołyńskiej na Ukrainie panuje niewiedza” – przyznał. Dodał również, że „ukraińscy politycy stroną od tego tematu, bo jest to kwestia bardzo drażliwa, a zajmując się nią można łatwo narazić się na utratę wyborców”. To powoduje, że kapitał polityczny na tragedii wołyńskiej zbija ją środowiska radykalne – nacjonalistyczna Swoboda, a także ta część rządzącej Partii Regionów, której bliskie są wartości prorosyjskie. „Ale paradoksalnie – stwierdził Hrycak – niska świadomość Ukraińców o wydarzeniach na Wołyniu nie musi być zjawiskiem negatywnym. Brak wiedzy albo częściowa amnezja niekoniecznie jest czymś złym. Może działać na rzecz pojednania”. Jako przykład Jarosław Hrycak podał Hiszpanię, w której przyjęto pakt o amnezji. Takie działania pomagają społeczeństwom, które mają za sobą traumę totalitarnego albo autorytarnego reżimu. Niestety, trudno wyobrazić sobie taki pakt na Ukrainie, chociaż podejmowano pewne próby jego wprowadzenia za prezydentur Leonida Krawczuka i Leonida Kuczmy. „Nie ułatwiają nam też tego nasi sąsiedzi” – podsumował.

„Czy pojednanie oparte na amnezji będzie prawdziwym pojednaniem?” – pytał retorycznie Łukasz Kamiński. I tłumaczył: „dyskusja o tragicznej historii musi wywoływać

ból. Nie da się go uniknąć. Ta dyskusja jest niezbędna. Są tacy, którzy zarzucają, że prowadzi ona do eskalacji konfliktu. Ale jestem przekonany, że ona nie tyle wywołuje konflikt, co raczej pozwala uniknąć go w przyszłości”. Zwrócił również uwagę, że we współczesnym świecie trudno mówić o amnezji, bo nie sposób wymazać świadectwa ofiar. Pamięć o traumatycznych wydarzeniach i prędzej czy później powrócą, i wtedy może zostać przejęta przez środowiska radykalne.

Z kolei Bogumiła Berdychowska mówiła o kwestionowaniu w ostatnich latach, zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie, dorobku dialogu między obydwojoma krajami. Okazało się, że można podważyć dotychczasowe działania wokół np. Wołynia, które przecież doczekało się wielu książek, artykułów, filmów. Były także gesty najwyższych urzędników państwowych. Takie postawy po polskiej stronie prezentuje przynajmniej część środowisk kresowych. O podobnym zjawisku na Ukrainie mówił Jarosław Hrycak, stwierdzając jednoznacznie, że ukraińska dyskusja o Wołyniu zastrzyła się, a głos środowisk radykalnych jest w niej coraz mocniejszy. Jako przykład podał kontrowersyjną publikację Wołodymyra Wiatrowycza, w której rzeź wołyńska została przedstawiona jako druga wojna polsko-ukraińska. „Uważam tę książkę za skandaliczną, bo ona wprost relatywizuje Wołyń. I nie chodzi jedynie o to, że ta książka się pojawiła, ale również o to, że Wiatrowycz – mimo jednoznacznej krytyki niektórych środowisk – stał się gwiazdą ukraińskiej sfery publicznej. Co prawda, sprawiła ona również, że na Ukrainie o Wołyniu mówi się więcej. Ale nie jestem do końca przekonany, czy właśnie o to nam chodziło”.

Książka Wiatrowycza – podkreślała z kolei Bogumiła Berdychowska – pokazuje, jak bardzo potrzeba wspólnej pracy nad ustaleniem

wszystkich faktów dotyczących tej zbrodni. Rok 2013 różni się tym od 2003, że dziś w ukraińskiej debacie publicznej może pojawić się historyk, który deklaruje: na Wołyniu nic specjalnego się nie wydarzyło. „Jest to dla mnie wyjątkowo smutne”. Dlatego do działania, o których mówił prezes Kamiński, jak wspólne policzenie ofiar ma „wyjątkowy sens, bo może ograniczyć tego typu praktyki”.

Z kolei Myrosław Marynowycz tłumaczył, że „z dyskusją o Wołyniu spóźniliśmy się. Dlatego przejęły ją środowiska radykalne. Zaraz zobaczymy morze radykalizmu jaki rozleje się po Ukrainie” – konstatował ze smutkiem. Marynowycz starał się również spojrzeć ze zrozumieniem na to, co robią w Polsce środowiska kresowe. „Są to ludzie, którym zabraniano pamiętać i mówić o ich bólu. Oni ten ból muszą dziś po prostu wykrzyzczeć. Mówienie o bólu jest ich prawem” – stwierdził. Ale jednocześnie dodał, że nie można pomylić bólu z nienawiścią. „Rozumiem, że one często idą w parze, ale wtedy trzeba rozumieć, że ból wymaga naszej empatii, miłości i szacunku. Ale nie można wymagać, żebyśmy szanowali nienawiść”. Na tej ostatniej nie zbuduje się pojednania. W tym kontekście przypomniał słowa Benedykta XVI, który nauczał, że prawda zawsze związana jest z miłością. Prawda bez miłości, przestaje być prawdą.

„O Wołyniu nie można mówić bez bólu” – podkreślała też Bogumiła Berdychowska. Ale trzeba zastanowić się, jak unikać w tej dyskusji zbędnych emocji, jak na przykład fałszywe zdjęcie dzieci opasanych drutem kolczastym wokół drzewa, które przez wiele lat było główną ilustracją tej zbrodni. „Czy rzeczywiście chodzi o oddanie hołdu tym, których zamordowano, czy o wzbudzenie jak najgorszych emocji wobec Ukraińców?” – pytała. W naszym mówieniu o Wołyniu w ostatnich latach nastąpiła też „dewaluacja słów i pojęć”, na

co w Polsce wpływ ma najbardziej radykalna część środowisk kresowych. Dla nich jedynym właściwym określeniem na wydarzenia na Wołyniu stało się „ludobójstwo”. Ponadto część tego środowiska jest przekonana, że mimo licznych dyskusji i publikacji na ten temat, „ich cierpienie jest ciągle niedocenione”. Z kolei część Ukraińców uważa, że Polacy za pomocą Wołynia chcą „rzucić Ukrainę na kolana, zakładają złą wolę, a także próbę zbitcia kapitału politycznego na tych wydarzeniach”. I zaapelowała do Ukraińców: „trzeba przyjąć do wiadomości, że Polacy pamiętają i będą pamiętać o Wołyniu, niekoniecznie naturalnie, bo jest to elementarna powinność żywych wobec umarłych”.

Do tych słów nawiązał, zabierając głos z publiczności, Konstanty Gebert, który przywołał przykład relacji polsko-żydowskich. Fundamentalna zmiana w dialogu Polaków z Żydami nastąpiła wówczas, gdy przyjęto założenie dobrej woli tej drugiej strony. „Bez założenia dobrej woli po drugiej stronie dialog nie jest możliwy” – podkreślał Gebert. „Założenie, że tamci ze swojego punktu widzenia mają prawo do swojej narracji, jak my ze swojego punktu widzenia. Oni się mylą, to my mamy rację. Ale mylą się niejako niewinnie”. Jak sprawić, by ta dobra wola się pojawiła? „Postaw nie zmieniają informację, postawy zmieniają się – i to niechętnie – pod wpływem faktów” – mówił Gebert. I dodawał: „Ilość aktów dobrej woli po stronie polskiej zmieniła obraz Polski w oczach znacznej części Żydów. Ilość aktów dobrej woli po stronie żydowskiej, zmieniła obraz Żydów u Polaków. Dzisiaj założenie dobrej woli w dialogu polsko-żydowskim stało się czymś oczywistym. Nadal się kłócimy, i to dziko. Ale kłócimy się zakładając, że tamci nie mają racji, ale mogą tak uważać”.

Zgodzono się, że tym aktem dobrej woli może pomóc „uspołecznienie” 70. rocznicy tragedii wołyńskiej, co jest zjawiskiem pozytywnym. Dziś znacznie większe jest poczucie obywatelskiej odpowiedzialności niż to było dziesięć lat temu. „Niezwykle pozytywną rolę odgrywają tu nasze Kościoły, w tym szczególnie zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego abp Szewczuk” – mówiła Berdychowska. „To rzecz wyjątkowa – wszystkie najważniejsze ukraińskie Kościoły wystąpiły wspólnie. Na Ukrainie dzieje się tak niezwykle rzadko” – wtórował jej Jarosław Hry-

cał. Jednak z tego procesu nie można wyłączyć polityków. „Szanując zarówno inicjatywy społeczne jak i aktywność kościołów – nie można zwolnić z myślenia o kształcie dialogu polsko-ukraińskiego świat polityki” – podkreśla Berdychowska. Przypomniała również, że w ostatnim czasie pojawiło się wiele tekstów ukraińskich intelektualistów, jak chociażby Antina Borkowskiego czy Wasyla Rasewycza, które są „nowym otwarciem”. „I to jest znaczący postęp w stosunku do 2003 roku” – mówiła Berdychowska.

Jarosław Hrycak zwrócił uwagę na jeszcze jedną rzecz odróżniającą rok 2003 i dzień dzisiejszy. Gdy dzień lat temu w Pawliwce odbywały się oficjalne uroczystości z udziałem prezydentów Polski i Ukrainy, byliśmy jeszcze przed pomarańczową rewolucją. „Dziś jesteśmy po doświadczeniu tej porażki. A „porażka” – to słowo klucz” – podkreślił Hrycak. Mniej więcej połowa Ukraińców żyje w wielkim rozczarowaniu, ponieważ nie udało się zrealizować nawet części marzeń tej rewolucji, również tych związanych z pamięcią historyczną. Jednym z podstawowych priorytetów prezydentury Juszczenki było upamiętnienie Wielkiego Głodu z lat 1932-1933. Jego następca, Wiktor Janukowycz zrobił wszystko, aby tę

do kompromisu”. W tym kontekście przywołał książkę Timothy’ego Snydera „Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem”, którą – jak stwierdził – „wszyscy przeczytali, ale mało kto zrozumiał”. Amerykański historyk proponuje w niej inny model spojrzenia na region, gdzie w bardzo krótkim czasie doszło do kilku ludobójstw. „Ukraińcy widzą ukraińskie ludobójstwo, Polacy – polskie. Natomiast Snyder pokazuje, że były one ze sobą powiązane” – mówił Hrycak. Dlatego, aby zrozumieć wydarzenia na Wołyniu, nie wystarczy znajomość polskiej czy ukraińskiej historii – trzeba widzieć tę zbrodnię w szerszym kontekście.

O spojrzeniu z innej perspektywy mówił też Myrośław Marynowycz, który rozmowy o naszej tragicznej historii porównał do patrzenia na ryty z Nacza. Ich sens można dostrzec tylko, gdy spojrzymy na nie z góry. Patrząc z bliska, widzimy jedynie kamienie. Każdy widzi swój mały fragment i nie dostrzega sensu całości. W tym kontekście ważne są działania Kościołów. Udało się im zaproponować inną perspektywę mówienia o tej tragedii, niejako z góry. „W moim przekonaniu – kontynuował Marynowycz – to jedyna perspektywa, która może pogodzić różne sposoby patrzenia i doprowadzić do porozu-



Bogumiła Berdychowska i Łukasz Kamiński

pamięć zatrzeć. „Nasze społeczeństwo czuje się dziwnie. Z jednej strony, świat nie chce uznać, że Wielki Głód był ludobójstwem. (...) Z drugiej, wymaga się od nas – i to właśnie tak jest odczuwane – że mamy uznać Wołyń za ludobójstwo, któremu winni są Ukraińcy” – tłumaczył postawy na Ukrainie Hrycak. To zaostrza dyskusję o Wołyniu. A także pozwala przynajmniej po części zrozumieć, skąd bierze się popularność takich partii jak nacjonalistyczna Swoboda.

Szansą na wyjście z tej pułapki jest zmiana ukraińskiego rządu i danie Ukrainie szansy na europejską perspektywę. Powołał się przy tym na amerykańskiego historyka Timothy’ego Snydera, który stwierdził, że w Polsce dyskusja na temat Holokaustu może być łatwiejsza, bo Polacy znajdują się w komfortowej sytuacji – są w Unii Europejskiej, nikt im nie zagraża, więc mogą zdobyć się na rozmowę o trudnej przeszłości. „Ukraińcy takiego komfortu nie mają” – zauważył. Hrycak zachęcał również do spojrzenia na stosunki polsko-ukraińskie w nieco szerszej perspektywie. „Konflikt polsko-ukraiński nie jest konfliktem wyjątkowym. W historii podobnych przypadków było wiele. I udawało się doprowadzić do pojednania, istnieje więc pewna praktyka dochodzenia

mienia między naszymi narodowymi spojrzeniami”. Zachęcał również by nie ulegać „jak to dzieje się dzisiaj, logice Starego Testamentu”. Zamiast mówić za Ewangelią o grzesznikach, wśród których pierwszy jestem ja, najczęściej wołamy: oko za oko, ząb za ząb”. „Kiedy jesteśmy pojednani, kiedy stoimy przed Bogiem i spowiadamy się, wtedy nasze prawdy wzajemnie się uzupełniają” – mówił. Dojść do prawdy można tylko wtedy, gdy nie uznaje się wyłącznie swoich argumentów za jedyne słuszne.

„Polska od początku niepodległości Ukrainy dbała o jej interes” – podkreślał także Myrośław Marynowycz. „Niejednokrotnie bardziej niż sama Ukraina”. Polska odniosła sukces, którym może się pochwalić, a Ukraina jest sfrustrowana – dodawał Jarosław Hrycak. „To może sprawić, że odrodzą się stare stereotypy”. Dlatego trzeba być bardzo ostrożnym, nie zaostrzać sytuacji. A Bogumiła Berdychowska, apelowała do wszystkich, którzy biorą dziś udział w dyskusji na temat Wołynia: „musimy pamiętać, że po 70. rocznicy antypolskiej akcji na Wołyniu będzie dzień następny. I powinniśmy roztropnie ważyć słowa, żeby się nie okazało, że nazajutrz nie będziemy mogli ze sobą rozmawiać”.

Wystąpienie prezydenta RP Bronisława Komorowskiego z okazji odsłonięcia pomnika poświęconego Ofiarom Zbrodni Wołyńskiej



Bronisław Komorowski przemawia przed pomnikiem Ofiar Zbrodni Wołyńskiej, otwartym na warszawskim Żoliborzu

Drogie Rodziny Ofiar Zbrodni Wołyńskiej! Księża Biskupi! Czcigodni Kombatanci! Wszyscy Szanowni Państwo!

Jestem wzruszony, mogąc spotkać się tutaj dzisiaj z Państwem na wspólnej modlitwie za dusze ofiar Zbrodni Wołyńskiej, która była zbrodnią o znamionach ludobójstwa. Jestem wdzięczny, że razem mogliśmy modlić się po chrześcijańsku, mówiąc i przypominając światu, ale także i samym sobie, modląc się słowami: „I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Jest co odpuszczać. Jest o co prosić dobrego Pana Boga, aby darował ludziom zbrodnie, bo ta zbrodnia była jednym z najbardziej bolesnych doświadczeń Polaków w czasie II wojny światowej. Mówią o tym te tablice, zawierające nazwy ponad dwóch tysięcy wsi, miejscowości na dawnych kresach Drugiej Rzeczypospolitej, gdzie zginęło co najmniej pięciu Polaków. Mówią o tragedii Polaków, aczkolwiek wiemy, że dramat, tragedia, zbrodnia, tragedia strasznych czynów dotyczyła i innych nacji. Był to straszny czas, był to rejon szczególnie podatny na zbrodnie wzajemne. Dlatego czcąc dzisiaj polskie ofiary, pamiętajmy także o zagładzie Żydów na tych terenach, pamiętajmy także o śmierci Ukraińców, o śmierci wszystkich innych mieszkańców tych dawnych południowo-wschodnich terenów kresowych Rzeczypospolitej.

Spotykamy się 11 lipca, dokładnie w 70. rocznicę tych strasznych wydarzeń, spotykamy się, aby wspólnie pamięć o ofiarach objąć wszystkim ofiary tamtego strasznego czasu.

Spotykamy się tutaj na Skwerze Wołyńskim w stolicy Polski, dzisiaj także centrum polskiej pamięci, gdzie od kilkunastu już lat, krok po kroku, powstaje miejsce upamiętniające i zbrojną walkę, bo tradycje wspinał się 27. Dywizji Wołyńskiej Armii Krajowej, i upamiętniające cierpienie i męczeńską śmierć polskich mieszkańców tych kresów południowo-wschodnich. Dzisiaj pochylimy głowy przed tablicami z nazwami miejscowości, których mieszkańcy zginęli z rąk ukraińskich nacjonalistów już 70 lat temu.

Oddajemy hołd wszystkim; kobietom, dzieciom, starcom. Łączymy się z ich rodzinami, które przez długi czas w zapomnieniu oplakiwały stratę najbliższych.

Szanowni Państwo! Wielką zasługą Rodzin Kresowych jest konsekwentne upominanie się o pamięć i prawdę o śmierci najbliższych. Dzięki tej determinacji ocaliliście Państwo od zapomnienia i przekłamania ważną kartę narodowej historii. Suwerenna i demokratyczna Polska jest Wam za to wdzięczna.

Dzisiaj – jako obywatele wolnej Rzeczypospolitej – jesteśmy wspólnie odpowiedzialni za to, co uczynimy z bolesną prawdą o Zbrodni Wołyńskiej. Prawda nawet wtedy gdy jest bolesna nigdy nie szkodzi. Prawda w pełni zrozumiana i odpowiednio przeżyta może być wielką szansą na to, by rzetelna wiedza o tamtym dramacie stała się fundamentem polsko-ukraińskiego pojednania. Nie chcemy pamiętać przeciwko komukolwiek! Chcemy pamiętać, by żyć mądrzej i lepiej budować sąsiedztwo i współpracę polsko-ukraińską.

Taką właśnie drogę polsko-ukraińskiego pojednania otwierają przed nami Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki, w Polsce i na Ukrainie. W tym działaniu kierują się one wskazaniem naszego wielkiego rodaka, błogosławionego Jana Pawła II, który mówił: „Niech dzięki oczyszczeniu pamięci historycznej wszyscy będą gotowi stawiać wyżej to, co jednoczy, niż to, co dzieli”. I takie właśnie działania warte są naszego wsparcia i naszego wspólnego zaangażowania.

Wspólna deklaracja biskupów polskich i ukraińskich ogłoszona 28 czerwca tego roku może być dokumentem przełomowym, jeżeli tę deklarację przeżyjemy i przemyslimy, gdyż wzajemne pojednanie buduje się zawsze i tylko i wyłącznie na prawdzie! Otwarcie więc ta deklaracja mówi „o zbrodniach na Wołyniu, których symbolem stały się wydarzenia z 11 lipca 1943 roku. Ofiarami zbrodni i czystek etnicznych stały się dziesiątki tysięcy niewinnych osób, w tym kobiet, dzieci i starców, przede wszystkim Polaków, ale także Ukraińców oraz

tych, którzy ratowali zagrożonych sąsiadów i krewnych”.

Ważne jest, że polscy i ukraińscy biskupi dystansują się od poglądów i osób, zakłamujących i usprawiedliwiających te potworne czyny. „Wiemy – stwierdzają w swojej deklaracji – że chrześcijańska ocena zbrodni wołyńskiej domaga się od nas jednoznacznie potępienia i przeproszenia za nią. Uważamy bowiem, że ani przemoc, ani czystki etniczne nigdy nie mogą być metodą rozwiązywania konfliktów między sąsiadującymi ludami czy narodami, ani usprawiedliwione racją polityczną, ekonomiczną, czy religijną”.

Ważne jest również to, że biskupi potępiają „skrajny nacjonalizm i szowinizm”, który przed siedemdziesięciu laty popchnął do zbrodni Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. Na szczęście, zwolennicy tamtych skrajnych poglądów są dzisiaj w zdecydowanej mniejszości. Powinniśmy zatem my, Polacy i Ukraińcy, być gotowi „do odważnego otwarcia umysłów i serc na wzajemne przebaczenie i pojednanie”.

Dlatego działając w takim duchu pragniemy godnego upamiętnienia ofiar w miejscach ich cierpienia i śmierci, chcemy zrealizować prawo do ich chrześcijańskiego pochówku. Wierzę, że dzięki wspólnemu wysiłkowi Polski i Ukrainy, naszych społeczeństw i naszych niepodległych państw, stanie się to możliwe.

Te wszystkie działania musimy podjąć z myślą o wspólnej, polsko-ukraińskiej przyszłości. Partnerstwo i wspólnota zamiast narodowych waśni – to droga, którą od dziesięcioleci podąża cała Europa, podążamy my Polacy i chcąc podążać także Ukraińcy.

Jest w tej wspólnotce miejsce dla Polski i dla Ukrainy!

I razem chcemy i razem powinniśmy uczynić wszystko, aby stało się to faktem!

Razem także musimy udźwignąć ciężar ogromny bólu pamięci o strasznych czasach, o podłych czasach, które jednak minęły. Musimy udźwignąć ten ciężar pamięci i my Polacy. W sposób szczególny i trudny dla nich muszą udźwignąć Ukraińcy, obywatele wolnej, niepodległej Ukrainy dzisiaj.

źródło: prezydent.pl

Pielgrzymka do Bołszowiec

W Bołszowcach koło Halicza na zakończenie pielgrzymki „Pokoju i Pojednania” odbyło się XII Ekumeniczne Franciszkańskie Spotkanie Młodych. W Centrum Pokoju i Pojednania przy Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej Królowej Pokoju i Pojednania zgromadziła się młodzież z całej Ukrainy, księża i zakonnice z Polski, Rumunii, Argentyny, Boliwii oraz Indii.

**SABINA RÓŻYCKA,
KONSTANTY CZAWAGA**
tekst i zdjęcia

W drugim tygodniu lipca ze Lwowa, Tarnopola, Sniatyna, Zablótowa oraz innych miast wyruszyły piesze pielgrzymki do franciszkańskiego sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej w Bołszowcach koło Halicza. 13 lipca pielgrzymi dotarli na miejsce. Dzień później, w niedzielę, uczestniczyli w odpustowej mszy w kościele p.w. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, a następnie w XII Franciszkańskim Spotkaniu Młodych na Ukrainie.

O poranku 9 lipca w kościele Bożego Miłosierdzia i Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Tarnopolu zgromadziły się grupy pielgrzymów z położonych na terenie obwodu tarnopolskiego dekanatów archidiecezji lwowskiej oraz z diecezji kamieniecko-podolskiej i kijowsko-żytomierskiej. Wśród duchownych osób, księży, zakonników, zakonnic i kleryków, można było zobaczyć też franciszkanów z Polski, Indii, Rumunii.

Z pielgrzymami spotkał się arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki, który pobłogosławił pątników. „Swoje intencje przedstawcie Panu na początku waszej pielgrzymki i proście jego matkę by wspierała was w tym pielgrzymowaniu. Byście to pielgrzymowanie przeżyli w duchu radości, wzajemnej życzliwości, poznawaniu siebie i w tworzeniu tej wielkiej wspólnoty rodzinnej” – życzył lwowski metropolita.

Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki przyłączył się do pątników oraz towarzyszył im do przystanku we wsi Berezowica.

Po raz kolejny w pielgrzymce uczestniczy młodzież, dzieci, dorośli, całe rodziny z parafii pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Maćkowcach koło Chmielnickiego. Większość z nich ma polskie pochodzenie, mówią o sobie „Mazury”. Pośród siebie rozmawiają charakterystycznym dialektem, ale również po ukraińsku, polsku i rosyjsku.

Switłana Pylypczuk mówi, że od trzech lat w jej parafii pracują franciszkanie, którzy zachęcają wiernych do udziału w pielgrzymowaniu do Bołszowiec. „Od dwóch lat razem z mężem prosiliśmy Matkę Bożą w Bołszowcach o dziecko – opowiada kobieta. – Teraz idę z podziękowaniem za adoptowane dziecko”.

Iryna z Boryspola koło Kijowa kilka lat temu przyjechała do Lwowa i po raz pierwszy uczestniczyła w pieszej pielgrzymce do Bołszowiec. Nie ukrywa, że przede wszystkim interesowało ją poznanie Ukrainy Zachodniej. Tym razem przyjechała z mamą i koleżanką. Troje innych wiernych z Boryspola wyruszyło do



Bołszowiec, żeby pogłębić swoją wiarę, zobaczyć nowe tereny, poznać ciekawych ludzi. „Nigdy nie pielgrzymowałam i dlatego tak to przeżywam” – dodaje Kristina z Boryspola.

Wiktoria z Trembowli stwierdziła, że pielgrzymowanie wzbogaca ją duchowo. W tym roku do pielgrzymki dołączyła jej matka, która po raz pierwszy bierze udział w pielgrzymce.

Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki żegnając się z grupą, która idzie z Tarnopola wyruszył przez Czortków i Horodenkę do Gwoźdźca, gdzie spotkał grupę pielgrzymów z Bukowiny i Pokucia, którzy też idą do Bołszowiec. Wizyta w Gwoźdźcu jest okazją do obejrzenia kościoła bernardynów, który kiedyś był jednym z najpiękniejszych na tym terenie. Z tego miasteczka pochodzą polski re-

Śniatyna opowiada o pielgrzymach, którzy wędrują do ich miejscowości, aby uczcić bł. Martę Wiecką, pochowaną na starym polskim cmentarzu. Na trasie tej grupy pielgrzymkowej ruch samochodowy jest mniejszy. Kierowcy zatrzymują się, żeby przepuścić pątników. Na pamiątkę dostają obrazki.

Lila z Kołomyi uczestniczy w pielgrzymce po raz trzeci. „Ciężko jest iść w upale – nie ukrywa. – Pomagamy jeden drugiemu. Moja koleżanka Krzysia idzie pierwszy raz. Są też osoby starsze”.

Inna Ławrynenko już po raz dziesiąty wędruje tą drogą. „Idę z podziękowaniem do Matki Bożej w Bołszowcach za obfite łaski – powiedziała. – Poznałam tu wielu dobrych ludzi”.

Wielu pielgrzymów mogło w podróży porozmawiać z arcybiskupem



Konsul RP we Lwowie Lidia Aniołowska i o. Grzegorz Cymbała

żyser i scenarzysta Jerzy Kawalerowicz; dramaturg, poeta, prozaik Dominik Magnuszewski; sufragan lwowski, potem biskup krakowski kardynał, Jan Puzyna. Z pobliskich Kułaczkowic pochodził lwowski biskup Rafał Kiernicki. Niestety, pozostała tu niewielka garstka katolików, a potężna świątynia jest w stanie ruiny.

Stąd ruszamy przez pola i wioski w kierunku Obertyna. Ks. Krzysztof Sapalski z Sadogóry wspomina niedawną pielgrzymkę bukowińczyków z Czerniowiec do Bojan. Młodzież ze

Mieczysławem Mokrzyckim, który odprowadził pątników do kolejnego przystanku w polu. W czwartek spotkał się z grupą pielgrzymów, którzy szli do Bołszowiec ze Lwowa.

Wszyscy pielgrzymi dotarli do sanktuarium Królowej Pokoju i Pojednania w sobotę 13 lipca. Ze względu na wielką ilość uczestników, franciszkanie zorganizowali w tych dniach noclegi o charakterze biwakowym. Kilku wolontariuszy przyjechało z Polski, z franciszkańskiej fundacji „Brat słońce”. Przybyli nieco wcześniej, zajęli się sprzątnięciem, przy-

rzadzaniem posiłków, pomocą w organizacji i przyjęciu pielgrzymów. Byli to młodzi ludzie z różnych miast Polski, zgłosili się na apel franciszkanów z Krakowa i przyjechali do Bołszowiec.

Gośćmi honorowymi spotkania byli metropolita lwowski arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, biskup Grzegorz Kaszak z Sosnowca oraz rektor uniwersytetu Jana Pawła II w Krakowie Władysław Zuziak. 14 lipca arcybiskup Mokrzycki ponownie spotkał się pielgrzymami, przewodniczył mszy św. i wygłosił homilię.

W niedzielnym nabożeństwie wzięła udział konsul RP we Lwowie Lidia Aniołowska z rodziną, dyrektor iwano-frankińskiego obwodowego komitetu ds. religii Tetiana Lapka, de-



legacja z Lwówka Śląskiego – miasta partnerskiego Halicza oraz władze rejonowe. W kościele zgromadziło się w sumie ok. 300 osób. „Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Ormianie i Niemcy od lat żyli na tych terenach w dobrych relacjach, wspólnie obchodzili święta, pomagali sobie nawzajem. To była Europa w miniaturze. Cieszymy się, że Europa od dawna jest w Bołszowcach, a nad nią unosi się duch wiary i miłości” – opowiada konsul Lidia Aniołowska.

Po mszy św. odbyła się uroczysta procesja ulicami Bołszowiec. Kiedyś procesję witali przedstawicie-

le innych wyznań chrześcijańskich, parafianie wspólnie modlili się w kościele. Obecnie, z powodu pewnych przyczyn, tradycja ta zanikła. Niektórzy mieszkańcy wyszli jednak na ulice, aby powitać rzymsko-katolicką procesję. Uroczystość podsumowały koncert muzyki chrześcijańskiej oraz spotkania młodzieży w grupach. XII Ekumeniczne Spotkanie Młodych odbyło się pod hasłem: „Wierzysz? Nie jesteś sam”.

Coroczne spotkania młodych pielgrzymów w Bołszowcach są bardzo podobne do organizowanych w Polsce w czasie wakacji franciszkańskich spotkań. Inspiracją dlań stały się Franciszkańskie Spotkania Młodych na Kalwarii Pałacowskiej, na które od lat przyjeżdża polska młodzież. Bołszowieckie spotkanie też odbywa się przy sanktuarium maryjnym. Obecnie trwa renowacja sanktuarium w Bołszowcach.

Inf.

Odbudowywany ze środków Senatu RP i polskiego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego klasztor i kościół w Bołszowcach należy obecnie do franciszkanów. W odbudowanej części zespołu klasztornego funkcjonuje Centrum Pokoju i Pojednania. Przed II wojną światową zespół kościelno-klasztorny należał do karmelitów. Zakonnicy-karmelici przybyli do Bołszowiec w 1617 r. na zaproszenie Marcina Kazanowskiego, kasztelana halickiego, wojewody podolskiego i hetmana koronnego. W

1624 roku Kazanowski ufundował kościół z klasztorem. Klasztor był wielokrotnie niszczone: podczas wojen kozackich, potopu szwedzkiego i dwóch wojen światowych. Po wojnie został doszczętnie zdewastowany przez władzę radziecką. W kościele urządzono kolejno chlewnię, spichlerz, skład butelek i nawozów sztucznych. Cudowny obraz Boskiej Bołszowieckiej został uratowany i znajduje się w kościele św. Katarzyny w Gdańsku. Przed II wojną światową podczas święta Matki Boskiej Szkaplerznej (16 lipca) do Bołszowiec pielgrzymowały liczne rzesze wiernych.

Władysława Kuczyńskiego pielgrzymka do Bołszowiec

Władysław Kuczyński uczestniczył w pielgrzymkach do Bołszowiec kilka razy. Brał udział w spotkaniach młodzieży i odpustach. Rozmawiał z nim WOJCIECH JAN-KOWSKI z radia Wnet.

Ile czasu trwa pielgrzymka?

Pielgrzymka trwa cztery dni. Przechodzimy codziennie mniej więcej po 30 km. Po drodze modlimy się, mamy rozważania. Nocujemy przy kościołach, na parafiach. Jest to bardzo dobre przeżycie, bo mamy duchowny wypoczynek i fizyczny. Po dotarciu do Bołszowiec odbywa się tu odpust i spotkanie młodzieży, na które zjeżdża się dużo gości ze Lwowa, innych miast i z Polski.

Czy tylko Polacy biorą udział w pielgrzymce?



Władysław Kuczyński (od lewej)

Biorą udział w tych spotkaniach i Polacy, i Ukraińcy. Ale ostatnio bierze udział coraz więcej Ukraińców, bo taka jest obecna polityka kościoła rzymskokatolickiego, że nie otwiera się wyłącznie na Polaków. Kiedyś to przeważnie Polacy byli wiernymi kościołów rzymskokatolickich. Ale w chwili obecnej jest taka sytuacja, że wiele Ukraińców i Rosjan szuka Boga i coraz częściej chodzi do kościoła katolickiego. Ojcowie franciszkanie są bardzo otwarci. To bardzo dobrze, bo kościół rzymskokatolicki działa na rzecz pojednania i pokoju pomiędzy narodami ukraińskim i polskim. Pomimo trudnych stron naszej historii musimy szukać porozumienia i, jak uczył nas Jan Paweł II, musimy przebaczyć sobie

nawzajem, prosić o przebaczenie oraz dalej wspólnie budować swoją przyszłość. Myślę, że należy być otwartym na innych.

Proszę opowiedzieć coś o sobie.

Część mojej rodziny pochodzi z Żytomierszczyzny. Jednego z moich pradziadków w 1937 roku aresztowało NKWD. Wywieziono go do więzienia do Charkowa, jedynie za to, że był Polakiem i pisał listy do swoich krewnych do Polski. Nie miał nic wspólnego z polityką, był prostym robotnikiem na wsi. Przez pół roku był w więzieniu, potem został rozstrzelany. Jego ciężarną narzeczoną zesłano do Kazachstanu. Wyżruczono ich z pociągu w stepie i ona urodziła moją babcię przy trzydziestostopniowym mrozie. Przez cztery lata piechotą wędrowali na Ukrainę i wrócili dopiero podczas wojny. Ta-

kich przykładów jest bardzo dużo. Miejscowość, gdzie mieszkał mój pradziadek, była polską wioską. W czasie wojny mężczyźni z takich wiosek wysyłano na najgorsze odcinki frontu, żeby tam zginęli. Po wojnie kobiety wychodziły za mąż Rosjan czy Ukraińców i w ten sposób zanikała polskość. W wielu miejscowościach jest taka sytuacja, że ludzie mimo tego, że nie znają języka, to jednak zachowali pamięć, mają cmentarze, które pielęgnują. Najlepszą i najważniejszą łącznością z Ojczyzną była modlitwa, którą zapamiętali z ustnych przekazów od starszych, od rodziców i dziadków. Tak było na Żytomierszczyźnie. Ludzie żyli w strachu, nie możemy ich osądzać, a jedynie im pomagać.



Konstanty Czawaga

Do pełnego porozumienia – lata pracy

„Prosimy o przebaczenie i przebaczymy” – pod takim hasłem na początku lipca odbyły się wspólne nabożeństwa na polskim cmentarzu w wołyńskiej we wsi Pawliwka (dawny Poryck) i na ukraińskim – w polskiej wiosce Sahryń. Odbyły się one w ramach akcji zainicjowanej przez społeczny komitet uczczenia pamięci ofiar tragedii wołyńskiej 1943 roku. Uczestnikami uroczystości stali się polscy i ukraińscy działacze społeczni, politycy, naukowcy i dziennikarze.

AGNIESZKA RATNA

Organizatorami akcji były Ukraiński Katolicki Uniwersytet we Lwowie i Wschodnioeuropejski Uniwersytet Państwowy im. Łesi Ukrainki w Łucku. Oprócz nabożeństw program uroczystości przewidywał seminarium „Do zjednoczonej Europy – pojednani”, gdzie przygotowany został tekst wspólnej deklaracji o wzajemnym przebaczeniu i pojednaniu. W czasie omówienia trwała burzliwa dyskusja, która pokazała, że do pełnego pojednania trzeba jeszcze wielu lat wyężonej pracy.

Jarosław HRYCAK, profesor Ukraińskiego Katolickiego Uniwersytetu, był jednym z uczestników inicjatywy społecznej:

- Nie może być pojednania raz i na zawsze. O tym bardzo trafnie powiedziała Margaret Albricht: z pojednaniem jest jak z jazdą na rowerze, gdy tylko przestajesz pedałować, upadasz. Bo zawsze po obu stronach znajdują się ludzie, którzy nie zechcą pojednania. Znaczenie tej akcji, która odbyła się w ukraińskiej Pawliwce i w polskim Sahryniu, jest taka, że odbyła się ona na Wołyniu – w samym centrum tych tragicznych wydarzeń. Zawsze pojednanie odbywało się poza Wołyniem: dyskutowano w Warszawie, Kijowie, Lwowie. Akcja jest inicjatywą społeczną.

Mykoła ONUFRIJCZUK, prezes Wołyńskiego społeczno-kulturalnego stowarzyszenia „Chelmszczyzna”:

- W pierwszej wersji deklaracji były słowa o „dziesiątkach tysięcy za-

mordowanych Polaków”, o planowej akcji skierowanej przeciwko nim... Ale na Wołyniu nie mieszkało tylu Polaków, jak podają niektórzy polscy badacze. A walki przeciwko Ukraińcom na ich etnicznych ziemiach – Chelmszczyźnie – rozpoczęły się na długo przed lipcem 1943 roku. Na ten rok datowany jest początek wołyńskiej tragedii. Ukraińska wieś Pasieki została zniszczona przez polskie bojówki jeszcze w 1942 roku, a jej mieszkańców, którzy przeżyli dobito w Sahryniu. W tymże 1942 roku zniszczono wieś Majdan Sopotowski, a represje przeciwko ukraińskiej inteligencji, kapłanom, działaczom społecznym i ludności zaczęły się jeszcze w 1941 roku. Są na to odpowiednie dokumenty.

Łukasz JASINA, historyk i publicysta, Katolicki Uniwersytet Lubelski:

- Pojednanie polsko-ukraińskie jest to bardzo ważną sprawą. Zadaniem, które oba narody powinny wykonać lepiej niż robiono to do tej pory. Moją rodzinę po tych tragicznych wydarzeniach wysiedlono z woj. rówieńskiego w 1944 roku. Urodziłem się i mieszkałem w Hrubieszowie, gdzie mieszkało wiele takich rodzin przesiedlonych z Wołynia. Dużo wspominali i te wspomnienia były dla mnie bardzo ważne, bo chciałem rozeznaczyć się dokładnie w tych wydarzeniach. Bardzo ważne dla mnie było zrozumienie tych wydarzeń. Jestem bardzo zadowolony, że obecnie wspólnie działamy na rzecz porozumienia. Dla mnie nie ma problemu, czy Polacy mają przebaczać Ukraińcom i czy Ukraińcy mają przebaczać Polakom. Myślę, że musimy rozmawiać o historii, razem żyć i modlić się za ofiary.

Mykoła KUCZEREPA, historyk, profesor katedry historii Wschodnioeuropejskiego Uniwersytetu w Łucku:

- To co wydarzyło się na Wołyniu w 1943 roku jest zjawiskiem historycznym. I tę sprawę trzeba pozostawić historykom. Polscy i ukraińscy politycy działają nie zawsze mądrze. Ludzie mieli wówczas silniejszego przeciwnika – sowieckich partyzantów i okupacyjny reżym niemiecki. Trzeba było walczyć z silniejszym wrogiem. Polscy i ukraińscy mieszkańcy stali się ofiarami sytuacji. Po prostu na Wołyniu i w Galicji zbiegły się interesy kilku politycznych, państwowych i wojskowych sił. Niemcy planowali jedno, a sowieci co innego. Do tego mamy wiele nieprawdy i wypaczonych świadectw. Wszystko to należy sprawdzić. Przyjdzie czas, gdy oddamy cześć wszystkim ofiarom. Świadczy o tym ta inicjatywa społeczna, która odbywa się dziś. Nie jesteśmy winni tego, co robili nasi przodkowie. Nadszedł czas pomysłić o przyszłości.

Paweł KOWAL, polski eurodeputowany:

- Debatujemy dziś o obecnej sytuacji na Ukrainie. Jeżeli nie ma zgody w społeczeństwie odnośnie przemyślenia tych wydarzeń, musimy wziąć wszystko to, co jest ważne dla porozumienia i pokonania zła. Nie można jednak nikogo do niczego zmuszać. Bardzo ważne i dalekowszkie są słowa zwierzchnika cerkwi greckokatolickiej Światosława Szewczuka. Ale i my musimy wiele przemyśleć, nasi przodkowie też mordowali i musimy też wiele wspólnie uczynić dla wyjaśnienia tych spraw.

OŚWIADCZENIE FEDERACJI ORGANIZACJI POLSKICH NA UKRAINIE

W 70. rocznicę tragicznych wydarzeń na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej my – Polacy, zrzeszeni w Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie uczciliśmy pamięć ofiar, które poniosły niewinną śmierć z rąk zabójców, zięjących nienawiścią do swych współbraci – autochtonów tych ziem. Ci, którzy ocaleli, stracili cały dorobek swojego życia oraz dach nad głową. Wznosząc modły do Boga za ich dusze jako chrześcijanie-katolicy modliliśmy się również za tych, którzy tej zbrodni dokonali.

Jesteśmy w pełni świadomi, że tragiczne wydarzenia w historii naszych dwóch narodów powinny być przestrożą dla przyszłych pokoleń. Nie mają one prawa być przemilczane lub też zniekształcane. Nie powinny one po latach podsycać nienawiść między narodem polskim i ukraińskim.

Zdajemy sobie sprawę, że dziś nie czas na manifestację echa tych

wydarzeń. Nasze pokolenie wyrosło na ziemiach swych przodków. Jako obywatele państwa ukraińskiego wśród przedstawicieli wielu narodowości i kultur tworzymy w pewnym sensie współczesną i swoistą wieżę Babel. Zachowując swoją tożsamość pracujemy dla dobra Polaków oraz Ukrainy – kraju, którego jesteśmy obywatelami.

Szanujemy i wysoko cenimy wysiłek wszystkich, którzy dążą ku stworzeniu dobrosąsiedzkich i partnerskich stosunków między narodami polskim i ukraińskim. Nie mamy prawa stać na uboczu. Aktywnie uczestniczymy w tym procesie. Ksenofobia, nietolerancja, czy też zła wola i bierność tych czy innych przedstawicieli narodów polskiego czy ukraińskiego po obydwu stronach istniejących granic jest niedopuszczalna.

Zdajemy sobie sprawę, że ciąży na nas obowiązek usunięcia wszelkich przeszkód, które w przeszłości

tak bardzo podzieliły nasze narody. Pragniemy zapewnić naszym potomkom gwarancję bezpieczeństwa, aby nie okazali się zakładnikami historii.

Wykonując swój moralny obowiązek wobec naszych przodków, pragniemy zgodnie z chrześcijańską zasadą przebaczenia, żyć w pokoju i miłości chrześcijańskiej z narodem ukraińskim.

Stanowimy mniejszość polską na Ukrainie. Z mniejszością ukraińską w Polsce nas łączy zrozumienie, życzliwość, współpraca i zaufanie.

Na nas – Polakach i Ukraińcach po obu stronach granicy spoczywa ogromna odpowiedzialność za los przyszłych pokoleń i obowiązek, obopólnej pracy na rzecz rozwoju wspólnych wartości naszych narodów jak również rozbudowy wspólnego Domu Europejskiego.

Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie

Taniec między młotem a kowadłem

Prowadząc politykę, dobrze byłoby pamiętać o kilku podstawowych zasadach. Przede wszystkim trzeba ją realizować każdego dnia, a nie od wielkiego święta. Warto mieć też na nią jakiś pomysł i konsekwentnie przy nim stać, zarazem wprowadzając modyfikacje, jeśli zmieniają się okoliczności. Trzeba też oszacować własną siłę, ale i cudze możliwości.



AGNIESZKA SAWICZ

Tymczasem kiedy obserwujemy przedziwny taniec Kijowa z Brukselą i Moskwą, w asyście kilku innych stolic, zastanawiamy się czemu te nieskoordynowane podskoki służą. Bo ani to dobra zabawa, ani arcyzm, ani taniec godowy czy rytualny. Ot, nerwowe podrygi. Niekiedy Kijów spojry załotnie na Brukselę, skłoni przed nią głowę i chwyci za rękę, ale już gdzieś od tyłu obejmuje go Moskwa i odwraca zamasyżuje w swą stronę, trzymając w pasie i niczym w tangu przygina niemal do ziemi, z całym wdziękiem i siłą brutalnego kochanka. Warszawa, przestępując z nogi na nogę, robi nagle wypad w ich stronę, z pozoru gotowa ratować Kijów, lecz niepewna, czy aby jest przed czym ratować, czy może chce on pozostać w pełnej uległości i namiętności pozie. Zatem odsuwa się i wdzięcząc się do Brukseli, rękoma wykonuje płynne ruchy wskazujące na wschodnich tancerzy, jak gdyby chciała pokazać, że lada chwila przyciągnie kijowski wzrok i odbije go z moskiewskich ramion. I rzeczywiście, Kijów wysuwa się z nich, wiruje nieuchwytny, nieprzewidywalny, niby ruch jest ułożony, niby kroki znane, a jednak interpretuje je po swojemu i nagle sięga, niespodziewanie dla Warszawy, po Wilno. Wpada w jego objęcia, wspólnie suną w stronę Brukseli, Wilno opiera się nieco, a wie przecież, że bez Kijowa nie będzie gwiazdą na tym parkiecie.

Z tego chaosu trudno wręcz wnioskować, jaki dalszy ruch wykona Kijów. Dziś nad Wisłą dziwny się nieco, skąd ten nagły zwrot w stronę Litwy, lecz świadczy to dobitnie o kompletnym niezrozumieniu polityki. Przewodnicząca Unii Europejskiej Litwa potrzebuje dziś sukcesu, jest więc oczywiste, że będzie szukała sposobu by wypełnić to, co wydaje się być nierealne i doprowadzić do podpisania przez Kijów umowy stowarzyszeniowej z UE. Na pewno dobrym sposobem na zbliżenie będzie tu wydobyć z mroków historii zażyłość ziem zachodniej Ukrainy i Litwy, na co Polacy mogą patrzeć z niedowierzaniem. Przecież mamy

zakodowane, że to „nasz Lwów” i „nasze Kresy”, zatem skąd tu nagle litewskie koligacje?

Może stąd, że Wilno potrafi wzbic się ponad poziom tego, co na przestrzeni wieków było złe, a dziś podkreśla wspólnotę tradycji i historii oraz wagę współpracy, w tym gospodarczej, dla kształtowania dobrych relacji. Wyraźnie było to widać podczas spotkania wiceprzewodniczącego litewskiego Sejmu Petraša Auštrevičiusa z przewodniczącym Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Wiktorem Szemczukiem, podczas którego mówiono o wspólnych priorytetach w polityce zagranicznej, przede wszystkim o zbliżeniu z Unią Europejską.

Litwa nie ukrywa przy tym, że realizuje jednocześnie własny interes, podobnie zresztą jak i robi to Polska. Ta jednak nieudolnie przesłania pragmatyzm wielkimi słowami i chyba wciąż wierzy, że Kijów nie potknie się na „niełatwej, ale obiecującej na przyszłość drodze ku integracji świata zachodniego”, jak po spotkaniu prezydentów grupy V 4 i Ukrainy



nując, że Ukrainę obowiązują tylko rekomendacje OBWE w sprawie „zapewnienia jasnych zasad zrównoważonego dostępu uczestników wyborów do mediów”. Nikt też nie pali się do przeprowadzenia ponownych wyborów parlamentarnych w pięciu okręgach, w których zakwestionowała ich wyniki w 2012 roku Centralna Komisja Wyborcza. Nawet, jeśli parlament podjąłby dyskusję na te tematy, nikt nie gwarantuje, że zakończy ją jeszcze latem, a czas nagli przed planowanym na listopad szczytem

łatwiej będzie Janukowyczowi sięgnąć po Julię Tymoszenko, niż wymusić na deputowanych decyzje, do których sam prezydent nie jest przekonany. Może w tej sytuacji nie byłoby niczym dziwnym, gdyby w miejsce niewykonanych zobowiązań prezentem dla Unii stało się zwolnienie Tymoszenko z więzienia. Zapewne nie byłby to krok wystarczający, ale przynajmniej realny. Kolejny ukłon w stronę Brukseli, obietnica, lecz wciąż nie oddanie się w pełni.

Taniec trwa i chyba wszystkim

niż potrzeba rzeczywistych reform mogących poprawić jakość życia obywateli. Ukraina lawiruje pomiędzy Unią Celną a Europejską, nie tyle może starając się osiągnąć maksymalne korzyści, co zminimalizować straty. Dlatego wbrew obiegowej opinii, podpisanie 26 maja 2013 roku memorandum z UC nie jest raczej sposobem wywierania nacisku na Brukselę, a raczej zamknięciem ust Moskwie, która chwilowo może złagodzić presję w kwestii pełnej integracji na tej płaszczyźnie. Memorandum, choć zachwiało wizerunkiem Ukrainy na Zachodzie, to jednak nie kolidowało z członkostwem w WTO. Rosja podyktowała kroki, a Ukraina podporządkowując się im, wykonała taneczny zwrot i zwinnie przemyka po parkiecie. Oczywiście trudno przyjąć, że Moskwa nie będzie starała się wykorzystać tego faktu do odciążenia Kijowa od Brukseli, ale w równie dobrze i Zachód może teraz przymknąć oko na kokietery partnera i zlekceważyć dokument, który go niemal do niczego nie zobowiązuje.

Napięcie przed wileńskim szczytem rośnie. Każda ze stron zaangażowanych „w Ukrainę” ma swoją wizję zakończenia tego etapu zbliżenia Kijowa do Unii Europejskiej. Kijów ma świadomość ryzyka, jakie ponosi rzucając się w ramiona jednego z partnerów. Wie także, że z żadnym z nich nie czeka go piękna przyszłość. Nie tylko dlatego, że każdorazowo trzeba będzie na nią zapracować. Także dlatego, że coraz lepiej widać, że to taniec między młotem a kowadłem. Z pozoru tylko łatwo jest rzucić wszystko na jedną szalę – gdzieś w pamięci wciąż tkwi chociażby gaz. Berlin, Paryż, Wiedeń czy Bruksela już dawno temu ułożyły swoje stosunki z Moskwą, a przecież startowały z o wiele lepszemu pulapu. Dziś zapanowała chyba, że Kijów stoi przed trudnym zadaniem. Wyrósłszy z wieku niemowlęcego, jako pełnoletnie państwo, Ukraina musi wywalczyć swą pozycję w regionalnym stadzie, a zarazem kusi ją by być państwem zachodnioeuropejskim. Trochę to tak, jak z młodzieńcem, co to jeszcze chciałby z rodzicami pomieszkać, a już ciągnie go wielki świat. Tymczasem rzucił się w taniec. Czy da się w nim komuś podeptać? Pokażą to kolejne miesiące. Na razie zachęca, obiecuje i walczy. Bez większych szans na miejsce na Zachodzie, ale i bez zapalu by tkwić na wschodnich rubieżach Europy.



Jose Manuel Barroso, Herman Van Rompuy i Wiktor Janukowycz

poetycko przedstawił sytuację prezydent Bronisław Komorowski. Deklaracje Wiktora Janukowycza brane są nadal za dobrą monetę mimo, iż gołym okiem widać, że będzie mu niezwykle trudno zreformować zasady działania sądownictwa i prokuratury, przyjąć reformę prawa wyborczego, od czego już się odżegnano przeko-

Partnerstwa Wschodniego w Wilnie. Zresztą jeśli by to zrobił, to przecież nikt nie oceni w ciągu kilku dni od wejścia w życie nowego prawa jego efektywności. Czy Unia Europejska miała by w tej sytuacji wydawać werdykt na podstawie własnych prorocत्व?

Dziś można by z większą dozą prawdopodobieństwa zakładać, że

tancerzom sprawia tę samą, perwersyjną przyjemność. Żadnemu nie zależy na tym, by zakończyć te płąsy. Uluda, podchody, kuszenie, nagle zwroty w stronę innego partnera stały się już swoistą ceremonią odciągającą uwagę od spraw istotniejszych. Porządkowanie kraju na potrzeby integracji unijnej stało się ważniejsze

Posterunek ratownictwa górskiego na Popie Iwanie

Pod gmachem dawnego obserwatorium na górze Pop Iwan odbyło się uroczyste podpisanie umowy o otwarciu punktu ratownictwa górskiego.

7 lipca przedstawiciele delegacji Ministerstwa Nadzwyczajnych Sytuacji, Uniwersytetu Przykarpackiego, Uniwersytetu Warszawskiego, iwano-frankowskiej Rady Wojewódzkiej na szczycie góry Pop Iwan podpisali umowę o otwarciu posterunku ratownictwa górskiego z ramienia Ministerstwa Nadzwyczajnych Sytuacji.

- Jak podkreślił kierownik wojewódzkiej stacji ratownictwa, otwarcie posterunku w paśmie Czarnohory poprawi bezpieczeństwo wędrowców turystycznych po górach i pozwoli znacznie skrócić czas dotarcia do ludzi potrzebujących pomocy.

Obserwatorium astronomiczne na górze Pop Iwan, znane jako „Biały Słoń”, rozpoczęło swoją działalność w 1938 roku jako obserwatorium Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie II wojny światowej i po jej ukończeniu budynek znacznie ucierpiał. Z początkiem 2005 roku iwano-frankowska administracja wojewódzka i rada miasta wydzieliły fundusze na odnowienie gmachu obserwatorium, a Uniwersytety Przykarpacki i Warszawski, podjęły decyzję o odnowieniu działalności obserwatorium astronomicznego i placówki badawczej dla studentów. Dziś obiekt wzbudza coraz większe zainteresowanie.

- Uniwersytet Przykarpacki wspólnie z Uniwersytetem Warszawskim, władzami wojewódzkimi i lokalnymi oraz zarządem MNS przygotowali projekt renowacji w ramach, którego wznowiona zostanie działalność obserwatorium „Biały Słoń”. W ramach



Na szczycie góry Pop Iwan została podpisana umowa o otwarciu posterunku ratownictwa górskiego

projektu przewidywane jest stworzenie odpowiednich warunków do funkcjonowania tam punktu ratownictwa górskiego, badawczej bazy monitorowania środowiska, a także bazy do badań astronomicznych, fizycznych, chemicznych, biologicznych, farmaceutycznych, biochemicznych, ekologicznych, geologicznych, geograficznych i archeologicznych – podkreślił w swej wypowiedzi rektor iwano-frankowskiej uczelni Igor Cepeda.

Ze swej strony koordynator projektu, dyrektor Studium Europy Wschodniej UW Jan Malicki, podkreślił, że mowa jest nie tylko o odnowieniu obiektu. Należy przywrócić go do życia, by w pełni służył naukowcom, turystom i był zarazem punktem zapewniającym bezpieczeństwo w rejo-

nie Czarnohory. O znaczeniu projektu wypowiedziała się również Maria Tkaczuk, kierownik departamentu reform ekonomicznych i eurointegracji. Podkreśliła ona, że takie kompleksowe podejście do rekonstrukcji obserwatorium przyczyni się do rozwoju regionu, bezpiecznych wędrowców górskich, rozwoju ekologii i badań naukowych.

- Jest to projekt, który ma przed sobą wielkie perspektywy z punktu widzenia eurointegracji. W tworzeniu programu „Przestrzeń Karpacka” zostaną uwzględnione wszystkie problemy regionu, w tym także kwestie bezpieczeństwa ludności, zamieszkującej te tereny oraz turystów – zaznaczył Igor Olijnyk, deputowany Rady Wojewódzkiej.

www.pu.if.ua



RADIO WNET POLECAMY!

Słuchaj przez internet doskonałych programów warszawskiego Radia Wnet www.radiownet.pl

Program Wschodni
w każdą sobotę o godz. 11:07 (czas ukr.)

Program wschodni jest radiową emanacją platformy, którą Radio Wnet przy współpracy Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie tworzy z polskimi redakcjami na terenie byłego ZSRR. Platforma pozwoli tym redakcjom współpracować i wymieniać się tworzonymi materiałami. Nasza współpraca obejmuje redakcje w następujących miastach: Równe, Lwów, Stanisławów (Iwano-Frankisk), Winnica. Jej owocem jest Program Wschodni. Ponadto będą nas



odwiedzać specjaliści od Wschodu z Polski. Program prowadzi Wojciech Jankowski.

Historia Wnet

w każdą sobotę o godz. 12:00 (czas ukraiński)

Doskonały program historyczny, w którym nie ma tematów tabu. Pod sztandarem Radia Wnet rozmawiamy o historii. Zapraszam.

Kontakt: Historia@radiownet.pl – napisał prowadzący program Piotr Dmitrowicz.



Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu: www.radiownet.pl

NA POLSKIEJ FALI POLECAMY!

NA POLSKIEJ FALI to nowa audycja radiowa w języku polskim na falach iwano-frankowskiego Radia Weża w paśmie 107 FM, a także w internecie na stronie: www.kuriergalicyjski.com



Program jest nadawany w każdą sobotę o godzinie 21:15 Program jest też powtarzany: w niedzielę o godz. 11:30 w poniedziałek o godz. 21:15, we wtorek o godz. 21:15 Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu www.kuriergalicyjski.com

NA POLSKIEJ FALI to wspólna inicjatywa Kuriera Galicyjskiego, warszawskiego Radia Wnet oraz iwano-frankowskiego Radia Weża. Naszych słuchaczy zapraszamy do współpracy, dzielenia się z nami swoimi uwagami i tym, co chcielibyście usłyszeć. Piszcie do nas na mail: kuriergalicyjski@wp.pl

ZAPRASZAMY!!!

72. rocznica mordu lwowskich profesorów

Tym razem 72. rocznicę mordu polskich profesorów i członków ich rodzin na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie obchodzono podczas dwudniowych uroczystości.



Uroczystości przed pomnikiem profesorów lwowskich

KONSTANTY CZAWAGA tekst i zdjęcie

3 lipca, z inicjatywy Politechniki Lwowskiej i Politechniki Wrocławskiej, przy odsłonięciu dwa lata temu pomniku zgromadzili się naukowcy lwowskich uczelni. Uczcili pamięć ofiar egzekucji dokonanej przez hitlerowców.

„Wzgórze Wuleckie to miejsce szczególne zarówno dla Lwowa, jak i dla wielu miast w Polsce – powiedział rektor Politechniki Wrocławskiej prof. Tadeusz Więckowski. – Tu w 1941 roku rozstrzelano lwowskich profesorów. Zadajemy sobie pytanie: dlaczego? Czy tylko dlatego, że byli profesorami? Byli intelektualistami? – Chyba tak, bo trzeba było zniszczyć elitę. Ale to miejsce stało się jeszcze czymś o wiele ważniejszym teraz, we współczesności. Bo przecież bez lwowskich profesorów nie byłoby dzisiaj akademickiego Lwowa. Nie byłoby akademickiego Wrocławia i wielu innych miast w Polsce. Bo choć lwowski duch akademicki tu został, ale także część tego ducha przeniesiono do Polski, do różnych miast, szczególnie do Wrocławia. Dlatego też pomnik ma takie szczególne znaczenie, również dla przyszłości. To miejsce, które łączy Polskę i Ukrainę, Ukrainę i Polskę. To miejsce naszej wspólnej tradycji. Pamiętajmy o tych, którzy oddali tu życie. Pamiętajmy, żeby los, który ich doświadczył, nigdy już się nie powtórzył. Pamiętajmy, że to miejsce ma nas łączyć”.

W uroczystości uczestniczył konsul generalny RP we Lwowie Jarosław Drozd.

Po złożeniu wianków i kwiatów pod pomnikiem wzniesionym w 2011 roku, rektor Politechniki Lwowskiej prof. Jurij Bobalo i rektor Politechniki

Lwowskiej prof. Tadeusz Więckowski zapalili znicze również pod starym pomnikiem (krzyżem) poświęconym pamięci profesorów lwowskich.

Natomiast 4 lipca, dokładnie w 72. rocznicę mordu polskich profesorów we Lwowie, lwowscy Polacy uczcili ich pamięć wspólną modlitwą przy „starym pomniku” – krzyżu na Wzgórzach Wuleckich. Tradycyjnie złożono wianki kwiatów z biało-czerwonymi szarfami. Miejscowi harcerze wystawili wartę honorową.

„Zgromadziliśmy się tutaj w dniu kaźni lwowskich profesorów i chcemy o nich pamiętać – powiedział o. Władysław Lizun OFM Conv. – Nie tylko w tym czasie gdy jest to nam wygodne, bo historia, która się wydarzyła, nie zawsze jest wygodna dla wszystkich. Historia ma to do siebie, że nie można jej cofnąć. Co się stało, już się nie odstanie. I ci wszyscy, którzy brali udział w tym haniebnym czynie powinni przyznać się do tego i powiedzieć: „Tak, uczyliśmy to. Ten ból zadaliśmy braciom i siostram”.

Duchowny zaznaczył, że wybitni naukowcy i członkowie ich rodzin zginęli za Ojczyznę, dlatego że byli Polakami.

„Na przestrzeni czasu, na przestrzeni lat czasem zastanawiamy się dlaczego się tak stało?” – pytał franciszkanin i odpowiadał, że to nienawiść pielęgnowana w sercu prowadzi do tragedii. „Także dzisiaj, jeżeli ugrupowania nacjonalistyczne będą pielęgnować tę nienawiść w swoim sercu, może się to samo powtórzyć – ostrzegł o. Lizun – powinniśmy o tym wiedzieć, bo historia, jak mówi przysłowie, toczy się kołem. Dzisiaj, niestety wielu młodych ludzi nie chce pamiętać tego, co się kiedyś wydarzyło. Chcą się odgradzić jakąś barierą, chcą żyć tylko w czasie, w

którym są. Nie chcą poznawać historii swego narodu”.

Dalej w słowie do zgromadzonych, przeważnie osób starszych, o. Władysław Lizun powiedział: „Jeżeli nie będziemy pamiętać o historii, to zniszczymy swoją tożsamość narodową. I o tym trzeba pamiętać. Nie trzeba niszczyć historii. Trzeba o niej mówić najmłodszym pośród nas”. Zdaniem kapłana młodzież powinna być obecna przy obchodach ważnych historycznych rocznic. „Ale skąd mają się dowiedzieć o tej prawdzie? – pytał rodziców i dziadków. – Tylko od ludzi najstarszych. Nawet nauczyciele historii żyją czasem w kłamstwie i nie przekazują wszystkiego, co powinni przekazać. To zadanie dla nas wszystkich, abyśmy przekazali tę prawdę nic nie ukrywając jej. Nie mówię, że mamy nastawiać się nienawistnie do tych wszystkich narodów, które uczyniły nam krzywdy, ale musimy znać prawdę” – pouczał. Historię trzeba znać, żeby wiedzieć co nas czeka, albo co może na nas czekać” – podkreślił o. Władysław Lizun.

Na zakończenie wezwał do przebaczenia wszystkim, którzy uczynili nam zło. „Taka jest nasza wiara chrześcijańska, katolicka. Idziemy za Chrystusem niesiemy ten krzyż, musimy tak postępować. Jest to trudne, bolesne, ale nigdy nie możemy zamykać historii. Nigdy. Dlatego spotykamy się tutaj i jestem wdzięczny, że tytu was przyszło” – zaznaczył o. Władysław Lizun OFM Conv.

Prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Emil Legowicz złożył podziękowanie o. Władysławowi Lizunowi za przewodniczenie we wspólnej modlitwie i podziękował wszystkim obecnym rodakom za udział w uczczeniu pamięci zamordowanych polskich profesorów.

Wspólna pamięć

W Iwano-Frankiwsku (dawn. Stanisławowie) uczniowie i członkowie organizacji społecznych z Nowej Soli i Zielonej Góry zrealizowali projekt „Wspólna pamięć”.

SABINA RÓŻYCKA tekst i zdjęcia

- Pomysł wyniknął w zeszłym roku, podczas wizyty pracowników szkolnictwa z Polski na Przykarpacie – opowiada autor imprezy, przewodniczący sejmiku powiatu Nowa Sól, Jarosław Suski. – Zdecydowałem, że będzie dobrze, jeżeli uczniowie z Ukrainy i Polski będą wspólnie pracowali przy odnowieniu mogił i poznawali wspólną tragiczną historię. Nie należy spoglądać na to, co dzieli, a jednoczyć się wspólnie, żeby takich przestępstw przeciwko ludzkości więcej nie było. Mówię – przeciwko ludzkości – bo w Czarnym Lesie rozstrzelano nie tylko Polaków, ale i Ukraińców, Ormian czy Żydów. Wdzięczny jestem, że uczniów z polskich szkół przyjęto w domach ich ukraińskich rówieśników. Jest to wspólna dobra inicjatywa dzieci, rodziców i nauczycieli Iwano-Frankiwka i przedstawicieli polskiego Towarzystwa „Przyjaźń”.

W ramach współpracy 70 uczestników projektu z Polski i Ukrainy po-



Kazimierz Grzesiowski, najstarszy uczestnik delegacji

roli. Wyrosną z nich biznesmeni, dyplomaci, kierownicy fabryk – wspólnie będziemy tworzyć dobrobyt”.

Jarosław Suski opowiedział o najstarszym uczestniku wyjazdu: 83-letnim Kazimierzu Grzesiowskim. Urodzony w dawnym województwie tarnopolskim Grzesiowski, jest jednym z pierwszych absolwentów Centrum Kształcenia Zawodowego



Wicemer Ruslan Panasiuk, Jarosław Suski i prezes Towarzystwa „Przyjaźń” Lucja Kubicka

rządowało pochówki rozstrzelanej przez Niemców polskiej inteligencji w Czarnym Lesie w okolicy Stanisławowa. Dla uczestników prac zorganizowano nabożeństwo i zajęcia historyczne na Demianowym Łazie, gdzie rozstrzelano Ukraińców, ale już w okresie sowieckim. Te wspólne akcje pokazały młodzieży wydarzenia, które stanowiły podobne doświadczenia dla obu narodów. W urzędzie miasta, wicemer Ruslan Panasiuk powiedział: „Ekonomika jest dziedziną, w której się specjalizuję, ale moja obecność tutaj nie jest przypadkowa. Ta młodzież, która dziś do nas przyjechała, za kilka lat przyjdzie w innej

„Elektryk”. – Moi rodzice pochodzili z miejscowości Jazłowiec i tam się urodziłem. Przyjechałem tu z młodzieżą, przy której czuję się o 30 lat młodziej. Razem z nimi poznaję wspólną polsko-ukraińską historię, jest to dla mnie zaszczyt.

W składzie delegacji przyjechała też Stefania Jawornicka, sekretarz honorowego konsulatu Ukrainy w Zielonej Górze. Jest ona inicjatorem tworzenia biblioteki współczesnej literatury ukraińskiej w Polsce dla polskich i ukraińskich uczniów. Wspólne pielęgnowanie grobów jest krokiem, który zapoczątkuje dalszą współpracę.



Uczestnicy akcji „Wspólna pamięć” w ratuszu

„Cień Kłyma Sawura” – najnowszą książką Grzegorza Motyki

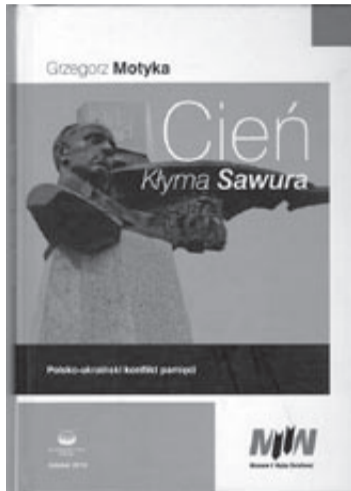
Zbrodnia wołyńska była jedną z największych masakr ludności cywilnej podczas II wojny światowej – przypomina historyk prof. Grzegorz Motyka w najnowszej książce „Cień Kłyma Sawura”.

„Rzeź wołyńsko-galicyjską w okresie istnienia PRL spychano na margines historii. Tymczasem była ona nie tylko jednym z najbardziej krwawych polskich epizodów XX w., ale zarazem jedną z największych masakr ludności cywilnej, jaka miała miejsce w czasie II wojny światowej w Europie” – pisze we wstępie książki Motyka, który jest profesorem w Instytucie Studiów Politycznych PAN, wykładowcą na Uniwersytecie Jagiellońskim i członkiem Rady IPN.

Głównym tematem jego publikacji „Cień Kłyma Sawura”, która powstała w związku z tegoroczną 70. rocznicą zbrodni wołyńskiej, jest polsko-ukraiński konflikt pamięci. „To, co dla polskiej opinii publicznej jest przerażającą i niczym nieusprawiedliwioną zbrodnią, dla wielu Ukraińców pozostaje świadectwem brutalizacji obustronnej wojny partyzanckiej lub zgola może nawet przykrym, ale w gruncie rzeczy usprawiedliwionym aktem zemsty za lata narodowych i społecznych upokorzeń” – napisał historyk. Zastrzegł też, że dla polskiej strony nie do przyjęcia są próby podważania faktu, że zbrodnia UPA na Polakach miała zorganizowany i masowy charakter. Ponadto nie można – jego zdaniem – postawić znaku równości między antypolskimi akcjami UPA a odwetowymi działaniami Armii Krajowej.

W II Rzeczypospolitej wielu Ukraińców uważało, że żyje pod okupacją, co doprowadzało ich do wstępowania do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Podobnie było z jednym z dowódców Ukraińskiej Armii Powstańczej – tytułowym Kłymem Sawurem, którego prawdziwe imię i nazwisko brzmi Dmytro Kłaczkiwski. To Kłym Sawur – jak podaje Motyka – był jednym z głównych inicjatorów zbrodni wołyńskiej. „Na początku lata 1943 r. banderowcy dysponowali na Wołyniu najsilniejszą podziemną formacją zbrojną. W takiej sytuacji Kłym Sawur musiał sobie postawić pytanie co dalej. Odpowiedź nasuwała się sama – bezwzględna walka ze wszystkimi wrogami Ukrainy!” – pisze Motyka. Przypomina też, że to Kłaczkiwski, najpóźniej w czerwcu 1943 r., wydał oficjalny rozkaz nakazujący wymordowanie wszystkich wołyńskich Polaków.

Pamięć o Kłymie Sawurze, ale także o innych ukraińskich nacjonalistach: Stepanie Banderze i Romanie Szuchewyczu, dzieli Polaków i Ukraińców. Na zachodniej Ukrainie Kłaczkiwski przedstawiany jest jako „rycerz bez skazy”, który w walce o wolność ojczyzny oddał to, co miał najcenniejsze – życie. Pomija się przy tym fakt, że odpowiada on za masowe akcje przeciwko polskiej ludności cywilnej.



Motyka opisując trudny problem pamięci zaznacza, że domaganie się przez Polaków jednoznacznego potępienia UPA i uznania ich dowódców za zbrodniarzy jest dla Ukraińców nie do przyjęcia. „Oficjalne wysunięcie takiego żądania oznacza w praktyce zamrożenie bez mała wszystkich kontaktów. Nietrudno przewidzieć, że po stronie Kłyma Sawura staną natychmiast nawet dotychczas obojętni wobec tej problematyki Ukraińcy. Nie ze względu na sympatię do UPA, lecz z powodu urażonej godności narodowej. Żaden naród nie lubi, gdy ktoś z zewnątrz próbuje mu narzucić wizję własnej historii” – zauważa Motyka.

Zwraca jednak uwagę, że współczesna Ukraina musi rozważyć, czy poszukując zbliżenia z Unią Europejską może stawiać pomniki ukraińskim nacjonalistom. Przywódcy OUN jak np. Bandera reprezentują bowiem – jak podaje Motyka – „niemal wyłącznie te wartości, w proteście przeciwko którym Unia Europejska powstawała i jednoczyła się”.

Badacz zastanawia się też, czy w związku z tak głębokim polsko-ukraińskim konfliktem pamięci możliwy jest wspólny podręcznik do historii. Odpowiada jednak, że powstanie takiego podręcznika zależy właśnie od pokonania owego konfliktu między oboma narodami. „Polacy, jak i Ukraińcy mają tu lekcję do odrobienia. Polacy muszą rozważyć, czy ich celem jest napiętnowanie zbrodni i oddanie szacunku ofiarom, czy też całkowite moralne przekreślenie ukraińskich dążeń wolnościowych z lat 1939–1954. Ukraińcy zaś powinni zadać sobie pytanie, czy miarą narodowej dojrzałości nie jest także odwaga w potępieniu tego, czego zwyczajnie usprawiedliwić się nie da” – podkreśla profesor w swojej książce, którą wydały wspólnie gdańskie wydawnictwo Oskar oraz Muzeum II Wojny Światowej.

W „Cieniu Kłyma Sawura” można również odnaleźć uwagi dotyczące terminu „ludobójstwo” na określenie zbrodni wołyńskiej. Termin ten – zda-

niem Motyki – dobrze oddaje klasyfikację prawną antypolskich czystek. „Jego użycie jest istotne, gdyż pozwala lepiej zrozumieć tragizm tego, co wydarzyło się na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Nie powinien być jednak słowem zamykającym dyskusję i badania” – pisze Motyka. Podkreśla, że polskich historyków różni jedynie sposób w jaki należy stosować termin „ludobójstwo”, a nie czy jest on zasadny. Zaznacza też, że w kontrowersyjny sposób „ludobójstwem” zbrodnię UPA określają przedstawiciele środowisk kresowych – „nie tyle, czy nie tylko po to, by opisać badane zjawisko, ale także w celu moralnej dyskredytacji wszystkich, którzy się z nimi nie zgadzają”.

W 2013 roku mija siedemdziesiąta rocznica rozpoczęcia zorganizowanej przez UPA „antypolskiej akcji” – rzezi wołyńsko-galicyjskiej Autor, znany badacz stosunków polsko-ukraińskich, w niniejszej pracy przedstawia liczne zagadnienia związane z tematyką mordów na narodzie polskim dokonywanych przez nacjonalistów ukraińskich. Punktem wyjścia jest ukazanie sylwetki jednego z nich – Dmytra Kłaczkiwskiego, ps. Kłym Sawur.

PAP

Książkę wydało wydawnictwo Oskar. Jest naprawdę godną polecenia.

Dla zachęty podajemy spis treści:

- Pamięć historyczna Polaków i Ukraińców w przeddzień siedemdziesiątej rocznicy rzezi wołyńsko-galicyjskiej. Zarys krajobrazu
- Cień „Kłyma Sawura”
- Włodzimierz i Parośla: dwie strony pierwszej akcji UPA
- Polsko-ukraiński konflikt pamięci. Czy możliwy jest wspólny podręcznik historii?
- II wojna światowa w polsko-ukraińskich dyskusjach historycznych
- Polskie spory wokół oceny stosunków polsko-ukraińskich w latach 1939–1947
- Co ma Katyń do Wołynia? Problem rzezi wołyńskiej w rosyjskiej historiografii
- Sekrety odsłaniane czy dalej wypierane ze świadomości. Wokół książki Oksany Zabuzko „Muzeum porzuconych sekretów”
- Prestrogi i napomnienia. Parę słów o metropolie Andrzeju Szeptyckim
- Rany Wołynia. O książce Władysława i Ewy Siemaszków „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945”
- Nieudana książka. O książce Wołodymyra Wiatrowycza „Druha polsko-ukraińska wojna 1942-1947”.

List do redakcji

Dni otwarte Plantpolu w Zaborzu

Odbył się tradycyjny już letni wyjazd na dni otwarte Plantpolu w Zaborzu. Plantpol to znana firma ogrodnicza, specjalizująca się w hodowli roślin balkonowych i rabatowych, szkółkarskiego materiału ozdobnego, bylin oraz nawozów.

W tym roku czwarty z kolei wyjazd grupy ogrodników i hobbystów kwiatów z Ukrainy do Polski miał miejsce w dniach 28 czerwca – 3 lipca br. Organizacją wyjazdu zajęły się Plantpol-Ukraina i przedstawicielstwo Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej. Plantpol obchodził swoje 20-lecie i miał się czym pochwalić. Podziwialiśmy nowe rodzaje kwiatów i piękne kompozycje na ekspozycjach Plantpolu. A potwierdzeniem znaczenia firmy stała się rekordowa ilość gości: 1500 osób przybyło na dzień „dnia otwarte” z Polski i z krajów europejskich – w tym z Ukrainy. Wysoki poziom organizacji pobytu usatysfakcjonował każdego, a program był wypełniony prezentacjami produktów, seminariami szkoleniowymi o hodowli roślin.

Wieczory w Plantpolu pozwoliły na wypoczynek po intensywnym programie. Były dyskusje przy ognisku i dania narodowe.

Poza przyjemnie spędzonym czasem z Plantpolem należy robić interesy. Goście to przeważnie dystrybutorzy produkcji firmy. Rośliny są eksportowane do sąsiednich krajów UE, a i na Ukrainie działa cała sieć dystrybutorska prawie w każdym centrum obwodowym. Dystrybucją zajmuje się sp. z o.o. Plantpol-Ukraina z siedzibą we Lwowie, która jest członkiem Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej.

Obecnie Plantpol po wygranych przetargach wykonuje elementy kwiatne dekorujące Lwów i Kijów.

Zapraszamy chętnych do udziału w kolejnych wyjazdach, informacje zawsze można uzyskać w Polsko-Ukraińskiej Izbie Gospodarczej.

ALEKSANDER WOŁKOW
dyrektor
przedstawicielstwa
we Lwowie



Opole współpracuje ze Lwowem

Politechnikę Lwowską odwiedziła delegacja z Uniwersytetu Opolskiego z prorektorem Wiesławą Piątkowską-Stepaniak na czele. Rektor Politechniki prof. Jurij Bobało i goście z Polski podpisali ramową umowę o współpracy pomiędzy uczelniami.

IGOR GŁUSZCZAK

Rektorat uczelni lwowskiej z zainteresowaniem odniósł się do propozycji dołączenia do polsko-niemiecko-francuskiego projektu potrójnych dyplomów. Zasada jest prosta: studenci z trzech państw studiują po jednym semestrze w każdym z tych krajów, a pracę magisterską bronią na macierzystej uczelni. Są jednak pewne trudności z dołączeniem do tego programu, ponieważ w Polsce jak też w niektórych państwach europejskich studia magisterskie trwają cztery semestry, a na Ukrainie – trzy. Prorektor ds. nauczania Jurij Raszkiewicz zaznaczył jednak, że niektórzy studenci politechniki chcą uzyskać podwójny dyplom przedłużali okres studiów o jeden semestr.

Wiesława Piątkowska-Stepaniak prezentując uczelnię zaznaczyła, że Opolskie jest najmniejszym woje-

wództwem w Polsce. Ale Uniwersytet Opolski ma dobre notowania wśród uczelni europejskich. Szczególnie rozwinięte są na uczelni badania z dziedziny chemii i geologii (w tym badania kopalni użytecznych). Największe zainteresowanie wzbudza współpraca w dziedzinie technologii chemicznych, biotechnologii, ekologii i dotycząca nauk społecznych. Gość z Polski opowiedziała też zebranym, że rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. Stanisław Nicieja, historyk z wykształcenia, ma wiele publikacji o Lwowie, Cmentarzu Łyczakowskich i innych miejscach i miejscowościach dotyczących tych terenów. Rektor Politechniki Lwowskiej otrzymał na pamiątkę książkę Stanisława Nicieji o Cmentarzu Łyczakowskim. Jurij Bobało przekazał na ręce Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak publikację o Politechnice Lwowskiej.

„Arka” wypływa z Bołszowiec

W dniach 30 czerwca – 7 lipca 2013 w klasztorze ojców franciszkanów w miejscowości Bołszowce koło Halicza (obw. iwanofrankiowski) odbyło się VIII Międzynarodowe Młodzieżowe Seminarium „Arka – 2013”. W tym roku uczestników spotkania połączyło hasło „Świat poraniony – odpowiedzialność przed Bogiem”.

SABINA RÓŻYCKA tekst
EUGENIUSZ SAŁO zdjęcie

Bołszowce goszczą uczestników „Arki” już po raz drugi. Na terenie klasztoru znajduje się Centrum Pokoju i Pojednania. W spotkaniu wzięły udział trzy dziesięcioosobowe grupy. Podczas kilkudniowego spotkania był czas wykładu, na dialog dotyczący trudnych zagadnień historycznych, wymianę międzykulturową, wzajemne zapoznanie się podczas warsztatów integracyjnych oraz wymianę doświadczeń młodzieży narodowości polskiej, ukraińskiej i żydowskiej.

Pomysłodawcą międzyreligijnego i międzynarodowego seminarium jest dr Aharon Weiss. Historyk Holocaustu urodził się w Borysławiu. Podczas II wojny światowej został cudem ocalony dzięki pomocy Polaków i Ukraińców. Pomysł dr. Weissa otrzymał wsparcie prorektora Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie prof. Myrosława Marynowyca i prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie Emilii Chmielowej.

– Słowo „arka” w języku polskim ma dwa znaczenia – może to być detal architektoniczny o kształcie łuku lub biblijna łódź, w której

Noe uratował się przed potopem – powiedział konsul generalny RP we Lwowie Jarosław Drozd. – Wśród młodzieży różnych narodowości, płynącej w tej arce na falach życia społecznego, a przede wszystkim dla młodzieży obecnej na tym seminarium, powinno panować pojednanie. Dużo mówi się w Europie o pojednaniu na podstawie społecznych wartości. Ale żeby tego dokonać, potrzebne są spotkania i dialog.

Podsumowaniem każdej edycji Międzynarodowego Młodzieżowego Seminarium „Arka” jest wydanie referatów, wygłoszonych podczas spotkania. Uczestnicy VIII edycji seminarium mieli okazję do zapoznania się zarówno z tymi publikacjami, jak też literaturą prezentowaną przez Ukraińskie Centrum Badań nad Holocaustem „Tkuma”.

Podczas rozmowy o pokojowych stosunkach sąsiedzkich, prof. Mirosław Marynowycz przytoczył przykład z własnego życia. Jako więzień polityczny przebywał w radzieckich obozach na Uralu. Wśród więźniów byli przedstawiciele różnych narodowości ze wszystkich krajów b. ZSRR.

– Musieliśmy się nauczyć wzajemnej tolerancji oraz traktowania



Uczestnicy Arki

ze zrozumieniem mentalności, języka, specyfiki wyznaniowej każdego z nas. Uczyliśmy się wzajemnego współczucia, współcierpienia i pomocy bliźnim – opowiadał prorektor UUK. – Podczas podobnych spotkań uczymy tego wszystkiego naszą młodzież. Dzisiaj jesteście trzydziestoosobową grupką chłopców i dziewczyn, ale być może już jutro zostaniecie trzydziestoma ośrodkami tolerancji i nowego myślenia.

Prof. Marynowycz podkreślił, że każdy naród ma w swojej pamięci krzywdy i urazy, narodowe problemy. Ale nie zważając na to, jak wiele ich jest, powinniśmy zachować obiektywizm by pojąć znaczenie historii.

Stronę żydowską podczas dyskusji reprezentował dyrektor Ukraińskiego Centrum Badań nad Holocaustem „Tkuma” dr Ihor Szczupak: – Rozumiemy, że łączy nas wspólna historia i różne role w niej

odegraliśmy. W tej historii są jednak postacie, które nas łączą, tak jak metropolita Andrej Szeptycki. A najważniejsze – wierzymy w jedno Boga. I choć pozornie jesteśmy tacy różni, wiele nas jednak łączy.

Własne zdanie na temat problemów międzynarodowych wypowiedzieli również przedstawiciele władzy lokalnej z Halicza. – Z przykrością powiem, że niektórzy politycy, naukowcy i działacze społeczni przypominają mi lekarzy, którzy rozdrapują pacjentowi prawie zagojoną ranę, zamiast tego, by pomóc w jej zabliznieniu – podkreślił pierwszy zastępca przewodniczącego Halickiej Rejonowej Administracji Państwowej Wołodymyr Brodowycz. – Jakby tego było mało, straszą chorego wielkością tej rany. W relacjach między naszymi narodami są rany, które się goją i nie warto je rozjątrzać. Dyskusji na ich temat nie należy upubliczniać, bowiem powinna być prowadzona w wąskich kołach naukowych i podczas konferencji.

W ramach „Arki” odbyły się lekcje poświęcone zagadnieniom dotyczącym wspólnej historii, pokazy filmowe, dyskusje, zajęcia integracyjne, warsztaty artystyczne oraz koncerty i wycieczki.

W Centrum Pokoju i Pojednania w Bołszowcach zakończyło się międzynarodowe polsko-ukraińsko-żydowskie seminarium ARKA. Kilkudniowe seminarium dla studentów z udziałem naukowców i działaczy społecznych, artystów i dziennikarzy staje się okazją do bliższego poznania sąsiadów i trudnych zagadnień historycznych. Jednocześnie poprzez niewielkie przygotowanie młodzieży i często brak szerszej wiedzy historycznej wydawać się może, że kilkudniowe spotkanie nie spełnia swojego zadania, stając się okazją do spotkań towarzyskich dla przypadkowo dobranych młodych uczestników.

O tym czy warto kontynuować Arkę, o trudnych zagadnieniach poruszanych na seminarium i o przyszłości przedsięwzięcia mówi dla Kuriera konsul JACEK ŻUR z Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.

Jestem głęboko przekonany, że dla tej niewielkiej, 30-osobowej ale bardzo zróżnicowanej grupy młodzieży, Arka będzie przeżyciem, które na długo pozostanie w pamięci. Pokazuje to doświadczenie lat ubiegłych. Tematy, z którymi nie spotkali się być może nigdy wcześniej, opinie, których nie mieli okazji nigdzie usłyszeć, refleksje, które może po raz pierwszy w życiu poczynili samodzielnie a nade wszystko znajomości i przyjaźnie nawiązane z rówieśnikami z innych stron Ukrainy – to wszystko jest olbrzymim kapitałem i inwestycją w nich samych. Mam tu na myśli także – a może przede wszystkim – ich dojrzałe życie społeczne i obywatelskie, a do tego potrzebna jest solidna wiedza oraz znajomość historii i kultury, obyczajów i tradycji innych narodów. Nie mam złudzeń, że Arka zmieni coś z dnia na dzień. Proces formowania się dojrzałego obywatela wymaga czasu i będzie trzeba wielu podobnych projektów i inicjatyw by ugruntować w



nich poczucie, że są pełnowartościowymi, odpowiednio przygotowanymi obywatelami mogącymi kształtować rzeczywistość, za którą przecież są odpowiedzialni. Po drodze natrafiają na rafy, to oczywiste, na koleiny stereotypów i uprzedzeń, na apatię i niezrozumienie innych – ale woda kruszy kamień nie siłą, lecz ciągłym spadaniem...

Skąd temat „Świat poraniony – odpowiedzialność przed Bogiem”?

Rok 2013 to rok rocznic ważnych dla Polaków, Ukraińców i Żydów. Wspominamy bohaterski zryw Żydów w warszawskim getcie w 1943, pamiętamy o Wielkim Głodzie, mówimy tak-

że o sprawach bolesnych dla Polaków – o mordzie dokonany na ludności polskiej na Wołyniu w roku 1943. Żyjemy w świecie, w którym każdy z nas niesie w sobie cząstkę własnego „poranionego świata” przechowując w pamięci przekazy rodzinne, pogłębiając wiedzę, starając się zrozumieć historię i wyciągać z niej wnioski. Nie uciekniemy od tych ran. Nie sprawimy, że znikną, że zabliznią się, jeśli tylko przestaniemy o nich mówić. Musimy je umiejętnie bandażować i leczyć naszym odpowiedzialnym podejściem do bolesnych tematów i świadomością, że u kresu naszego czasu to my wobec Boga zdamy relację z tego, jaki świat zostawimy następnym pokole-

niom. Czy będzie to świat ropiejących ran na zaciśniętych pięściach czy szlachetnych blizn na dłoniach pomagających wczorajszemu wrogowi.

Jednym z tematów Arki była sprawa zbrodni wołyńskiej.

W roku rocznicy było dla mnie oczywiste, że temat ten musi się pojawić. Rozmowa o tej zbrodni z młodymi ludźmi, zwłaszcza reprezentującymi różne tradycje i narodowości, wymaga odpowiedniej elastyczności. Nie myślę tu o relatywizowaniu historii, nie ma na to miejsca. Konstruując program tzw. „dnia polskiego” (każda grupa narodowa układa jeden dzień autonomicznie i według własnych założeń) nie wyobrażałem sobie, by zabraknąć mogło w pierwszej kolejności świadectwa, głosu ludzi, którzy przeżyli to piekło na ziemi i noszą ten ból w sobie. Uczestnicy Arki obejrzeli więc krótki film dokumentalny o zagładzie wsi Huta Pieniacka, gdzie swoim bólem i dramatem dzielą się ci, którzy wówczas ocaleli. Dużo czasu poświęciliśmy na przypomnienie o sprawie dość często pomijanej – godnej i heroicznej wręcz postawie tych Ukraińców, którzy z narażeniem życia ratowali swych polskich sąsiadów. Projekt badawczy poświęcony temu zagadnieniu prezentowała Aleksandra Zińczuk z Lublina. Nie mogło zabraknąć również refleksji na temat skutków bieżących działań politycznych oraz odpowiedzialność elit polskich i ukraińskich za przyszłość obu narodów w kontekście wołyńskiego ludobójstwa. Poświęcony temu wykład dr. Przemysława Żurawskiego vel Grajewskiego był – a wiem to z relacji młodzieży – jednym z tych, które najbardziej zapadły im w pamięć.

Co jeszcze w ramach dnia polskiego?

Jacek Pawłowicz z warszawskiego IPN przybliżył młodzieży postać rotmistrza Witolda Pileckiego, jednego z największych bohaterów II wojny światowej. Prof. Marcin Lubaś z UJ opowiedział z kolei o współistnieniu różnych kultur i religii w Europie Południowo-Wschodniej, na Bałkanach, co było dla uczestników Arki ciekawym przykładem skomplikowanej mozaiki etniczno-kulturowej w innej części kontynentu.

Jak zaprezentowała się młodzież polska?

W grupie polskiej znaleźli się przedstawiciele Ziemi Lwowskiej, Żytomierza oraz Donbasu. Takie połączenie zawsze ma swoje „plusy dodatnie i plusy ujemne”... Do tych ostatnich należy głównie to, że grupa polska poznała się dopiero podczas treningu integracyjnego rozpoczynającego projekt. To pewna słabość, ale i szansa na zaprezentowanie innego spojrzenia i odrębnego doświadczenia, pod warunkiem, że wie się, po się przyjechało na Arkę... Generalnie uważam, że młodzież polska wypadła nie gorzej od swych rówieśników z grup ukraińskiej czy żydowskiej.

Jaka jest przyszłość Arki?

Projekt, jak każdy, wymaga dokładnej analizy i oceny, wyciągania wniosków i namysłu nad tym, co robić, by w przyszłości było jeszcze lepiej, by formułować program mądrze i z jak największym pożytkiem dla uczestników. Mnie osobiście zależałoby, żeby uczestnicy włączyli się w tworzenie programu merytorycznego Arki, by byli jej „współbudowniczymi” a nie tylko biernymi pasażerami, od czasu do czasu zabierającymi głos w dyskusji. Wymaga to nakładu pracy organizatorów, ale chyba warto spróbować.

JAROSŁAW HRYCAK: TO BYŁO LUDOBÓJSTWO

Z prof. JAROSŁAWEM HRYCAKIEM rozmawiał WOJCIECH JANKOWSKI (radio WNET).

Podczas swojego wykładu na „Arce” powiedział pan, że uważa pan wydarzenia wołyńskie za akt ludobójstwa i że pana opinia różni się od opinii większości.

Nie jest to moja nowa teza. Ogłosiłem ją przed dziesięciu laty. Jest kilku historyków ukraińskich (co najmniej dwóch), którzy uważają tak samo – że był to akt ludobójstwa. Rozumiem też, dlaczego większość historyków nie podziela tej tezy. Przede wszystkim brzmi ona bardzo zobowiązująco, bo jest to przyznanie się do wielkiej odpowiedzialności. Szczególnie teraz, kiedy po klęsce pomarańczowej rewolucji nie udało się uznać Wielkiego Głodu za akt ludobójstwa. A tu znów musimy przyznać się do ludobójstwa przeciwko Polakom. Jest to płaszczyzna moralna, która jest ważna, ale w merytorycznej dyskusji odgrywa drugorzędą rolę. Drugą rzeczą i chyba ważniejszą, jest przyznanie się do ludobójstwa – wymaga to szerszej perspektywy, której nie posiadają ani ukraińscy, ani większość polskich historyków. Jedni i drudzy rozpatrują te wydarzenia wyłącznie jako polsko-ukraińskie. Jednak perspektywa ma być szersza, z uwzględnieniem wydarzeń historycznych w Centralnej i Wschodniej Europie od końca I wojny światowej do końca II wojny światowej.

Mówi pan o szerszej perspektywie...

Mówiąc krótko, ta perspektywa opiera się na tym, że tereny pomiędzy Moskwą i Berlinem posiadają całkiem odmienną historię od innych regionów Europy. Przemoc jest ważną częścią składową rozwoju społeczeństw na tych terenach – przemoc wojenna i przemoc rewolucyjna. Nie znam w Europie drugiego takiego regionu, żeby w tak krótkim czasie – 10 do 20 lat – było tyle fal przemocy i ludobójstwa, jak w tej części kontynentu. Należy tu uwzględnić Wieki Głód, represje stalinowskie przeciwko „kulakom”, różnym grupom narodowościowym (w tym Polakom), holocaust, deportacje narodów i oczywiście wydarzenia na Wołyniu i akcję „Wisła”. To wszystko wyróżnia nasz region spośród innych. Wydaje mi się, że przyjęcie tej tezy mnogości ludobójstw, oznacza przede wszystkim odrębność regionu i tworzy takie komplikacje z naszą pamięcią historyczną. Z drugiej strony na naszych terenach nie ma narodu, który byłby całkowicie nieodpowiedzialny za te fale przemocy. Po trzecie – przyznanie się do tego faktu wymaga od nas szczególnie ostrożności – chodzi o to, żeby takie wydarzenia się nie powtórzyły. Jeszcze przed stu latu trudno było sobie nawet wyobrazić takie wydarzenia. Obecnie również mamy takie odczucie, że więcej to się nie powtórzy. Ale znając naszą hi-



Wojciech Jankowski

storię wątpię i dlatego przyznanie się do ludobójstwa ma funkcję terapeutyczną, profilaktyczną: że nigdy więcej nic podobnego się nie powtórzy.

Moim zdaniem, pojęcie ludobójstwa, które sformułował Rafał Lemkin odnosi się do naszej historii. Lemkin pochodził z tego regionu i odnosił się do naszej historii. Sięgając obecnie po definicję ludobójstwa – państwowe czy międzynarodowe – musimy zdać sobie sprawę, że w większości wypadków są to definicje zmanipulowane przez różne instytucje, wygodne dla tych czy innych sił politycznych. Nie mogą one służyć określeniu wydarzeń w naszym regionie, bo są podyktowane przez Moskwę czy Waszyngton i ułożone w taki sposób, żeby nie można było nazwać ludobójstwem wydarzeń w Związku Radzieckim czy działań USA. Nie jest to nasze ujęcie historii.

Rozumiem, że w tym wypadku jestem w mniejszości. Mogę wymienić nazwiska kilku historyków, którzy się do tego odwołują i mają podobne podejście. Przede wszystkim to Timothy Snyder i jego książka „Bloodlands”, która jest czytana i szeroko komentowana, ale nie jest dobrze rozumiana. A drugim jest historyk włoski, zajmujący się historią naszych terenów, Andrea Graziosi. W ten czy inny sposób oboje mówią o tym samym.

Jak pan ocenia polskich historyków piszących o polsko-ukraińskim konflikcie w czasie II wojny światowej?

Są bardzo różni historycy. W tym kontekście chcę wymienić prace dwóch historyków, których znam. Są to prace Grzegorza Motyki i Włodzimierza Mędrzyckiego. To, co oni piszą, ma wielki sens. Zwłaszcza prace Grzegorza Motyki, to on wyszukał bardzo wiele materiałów źródłowych, które pozwolą zrozumieć lepiej wydarzenia wołyńskie, a prace Mędrzyckiego dają konceptualne ujęcie całości. Oczywiście moja wiedza jest bardzo ograniczona, ale jeżeli mówimy o polskich opracowaniach, to te prace są najważniejsze.

Praca Grzegorza Motyki była dość krytycznie przyjęta na Ukrainie.

Bo jest niezręczna dla narodu. Każdy naród szuka „lepszego” stron w swojej historii. W chwili obecnej, gdy jesteśmy po klęsce pomarańczowej rewolucji i gdy Kreml i Putin starają się uzasadnić swój model historii – w tym przypadku Ukraińcom jest bardzo ciężko, nie mają poczucia komfortu, nie chcą analizy rzeczy skomplikowanych. U Grzegorza Motyki, moim zda-

niem, mamy ewolucję retoryki – staje się coraz bardziej twarda. Są pewne ujęcia, których nawet ja nie przyjmuję. Jeżeli pisze o zabójstwie Polaka – to jest mord, a jeżeli Ukraińca – to zabójstwo. Nawet ta retoryka wskazuje, że coś w tym jest. Ale uważam, że każdy historyk ma prawo na subiektywność, wszystko zależy od tego, czy tę subiektywność przyjmuję. Ważne jest jednak to, że Grzegorz Motyka mówi bardzo ważne rzeczy.

Czy jest możliwe wspólne stanowisko historyków polskich i ukraińskich w tej kwestii?

Było możliwe do ostatnich czasów. Odbłyło się kilka spotkań polskich i ukraińskich historyków, na których starano się wypracować wspólną linię. Ale zawsze jest tak, że są kwestie, z którymi historycy się zgadzają i te, z którymi się nie zgadzają. Lista „zgodnych kwestii” jest bardzo długa, większa niż kwestii spornych. Jeżeli nasze relacje pozostaną takie jak dotychczas, to nie wątpię, że za jakiś czas dojdziemy do konsensusu.

Jak rozumiem różnicę dotyczącą nie tylko interpretacji wydarzeń, ale i liczby ofiar.

Tak. To jest to, co powoduje, że dyskusja staje się akademicka. Nie oznacza to, że dojdziemy do jakichś wspólnych ustaleń, ale ważne jest, aby te dyskusje były w konwencjach akademickich, a nie politycznych. W konwencji akademickiej różnice w cyfrach nie mają tak wielkiego znaczenia, bo oznaczają różne podejścia do oceny ilości ofiar.

Czy uważa pan, że w Polsce i na Ukrainie ta sprawa traktowana jest politycznie?

Tak, uważam, że historia polsko-ukraińska wychodzi z rąk historyków i przechodzi do polityków i przykro tu mówić – do polityków bardzo nieodpowiedzialnych, którzy bardzo nią manipulują. Dla mnie jest to już trzecia rocznica wydarzeń na Wołyniu, czy rzezi wołyńskiej i moim zdaniem, takiej trudnej dyskusji jak w tym roku jeszcze nie było. Wydaje mi się, że ze strony polityków zachodzi próba zmonopolizowania tej dyskusji. A jest to bardzo niebezpieczne.

Może stosunki pomiędzy państwami nie są tak gorące jak były kiedyś?

Myślę, że tak. Przez ostatnie dziesięć lat bardzo wiele zmieniło się na Ukrainie i w Polsce i w relacjach pomiędzy państwami. Przed dziesięciu laty nie mieliśmy pojęcia polityki pamięci historycznej, a dziś jest to chyba główny element polityki narodowościowej państwa.

Pojednanie przez trudną pamięć

Madeleine Albright powiedziała kiedyś znamienne słowa – *z pojednaniem jest jak z jazdą na rowerze, gdy tylko przestajesz pedałować, upadasz*. Ponad rok temu na rower pojednania wsiedli uczestnicy projektu „Pojednanie przez trudną pamięć. Wołyń 1943”. Dziś prezentują na Ukrainie efekty trudnej podróży w przeszłość.



Aleksandra Zińczuk opowiada o projekcie uczestnikom Arki

**ELŻBIETA ZIELIŃSKA tekst
BEATA KOST zdjęcie**

17 czerwca 2013 roku na Wydziale Historii Wschodnioeuropejskiego Uniwersytetu Narodowego im. Łesi Ukrainki w Łucku główni organizatorzy Aleksandra Zińczuk i Emil Majuk opowiadali o podstawowych założeniach przedsięwzięcia. Potrzeba projektu wynikała, jak powiedział jeden pomysłodawców – konsul Krzysztof Sawicki, z wielokrotnych rozmów o polsko-ukraińskich stosunkach, oraz upamiętnieniu zbliżającej się siedemdziesiątej rocznicy tragicznych wydarzeń na Wołyniu. Celem projektu było zebranie relacji świadków. Grupa studentów z Lublina i Łucka wspólnie zbierała świadectwa od mieszkańców Lubelszczyzny i obwodu łuckiego. Młodzi ludzie spędzili latem 2012 roku kilkanaście dni na Wołyniu, poszukując osób, które w czasie apogeum konfliktu polsko-ukraińskiego, okazywały pomoc będącym w śmiertelnym niebezpieczeństwie sąsiadom. Skupienie się na pozytywnym wątku wzajemnej pomocy ułatwiło podjęcie dialogu z osobami w podeszłym wieku, które często nie chcą wracać do traumatycznych przeżyć z przeszłości. Zebrano ponad 150 relacji Ukraińców i Polaków.

Opowieści o tych, którzy w obliczu wojny, terroru, zagrożenia własnego życia, ratowali bliźnich bez względu na ich narodowość można znaleźć w książce będącej podsumowaniem projektu. Trójjęzyczna (polsko-ukraińsko-angielska) publikacja, nosząca taką samą nazwę

jak sam projekt – *Pojednanie przez trudną pamięć. Wołyń 1943*, oprócz spisanych świadectw, zawiera teksty polskich i ukraińskich dziennikarzy, publicystów i działaczy kultury. Niezwykle wartościowy jest wstęp do książki – dwugłos historyków Grzegorza Motyki i Leonida Zaskilniaka, prezentujący stan badań naukowych w Polsce i na Ukrainie, oraz poziom znajomości tematu wśród „zwykłych obywateli”. Oprócz wspomnianych naukowców, aprobatę wobec projektu wyrazili między innymi: Rafał Wnuk, Andrij Portnow, Leon Popek oraz Timothy Snyder, który w krótkiej rekomendacji napisał: *Dążenie do tego, by Polacy zrozumieli Ukraińców i Ukraińcy zrozumieli Polaków jest dobrym celem, ale ważniejszą kwestią jest poznawanie drugiego człowieka, którego pamięć i historia nie dadzą się sprowadzić do ogólnej wiedzy na temat tego, co wydaje się, że wiemy o swoim narodzie oraz o innych narodach*.

Niejako podpisując się pod tymi słowami, uczestnicy projektu wielokrotnie podkreślali podczas spotkania promocyjnego, iż jego największą wartość stanowi promowanie wspólnego dialogu nad trudną polsko-ukraińską historią i przewyciężanie wzajemnych stereotypowych wyobrażeń.

Więcej o projekcie można przeczytać na stronie internetowej: <http://pk.org.pl/panoramakultur/node/2440>

4 lipca 2013 roku Aleksandra Zińczuk prezentowała projekt uczestnikom międzynarodowego polsko-ukraińsko-żydowskiego seminarium ARKA.

Ekologia sprawą wspólną

Jeżeli nasze podwórko będzie idealnie utrzymane, a sąsiad ma na swoim – delikatnie mówiąc „chlewik” – my też będziemy mieli trudności z utrzymaniem czystości. Tak samo jest pomiędzy Polską i Ukrainą. Większość rzek, które są dorzeczami Sanu i Bugu zaczynają swój bieg na Ukrainie. A takie miejscowości jak Sambor czy Jaworów nie mają żadnych oczyszczalni ścieków... Więc wszystko spływa do Polski.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcie

Zagadnieniom ekologicznym oraz współpracy transgranicznej w tej kwestii było poświęcone spotkanie, które zostało zorganizowane przez Polsko-Ukraińską Izbę Gospodarczą 14 czerwca br. Instytucja ta postanowiła podjąć się niezwykle trudnego i ambitnego wyzwania. Pomoc Izbie okazuje Biuro Doradztwa Ekologicznego i Inwestycyjnego z Warszawy. Dyrektor Biura Maciej Trzeciak, były wiceminister ochrony środowiska, gościł we Lwowie z roboczą wizytą. Jego pobyt, zorganizowany przez Aleksandra Wołkowa, prezesa regionalnego oddziału PUIG, obejmował Lwów i najbliższe przygraniczne z miastem okolice – teren lwowskiego wysypiska, lwowską oczyszczalnię ścieków, tereny kopalni siarki w Jaworowie, ziemię sokalską.

We Lwowie spotkanie odbyło się w siedzibie Państwowej Inspekcji Ekologicznej. Zgromadziło ono specjalistów, którzy na co dzień mają do czynienia z kwestiami ekologicznymi. Już podczas organizacji spotkania Maciej Trzeciak zastrzegł sobie, że ma to być spotkanie z profesjonalistami, którzy znają tematykę na co dzień – żadnych polityków, którzy są „specami od wszystkiego”. Na spotkanie przybyli przedstawiciele Inspekcji Ekologicznej, instytutów badawczych – geologii i fizyko-mechanicznego Akademii Nauk, instytutów przemysłu górniczo-chemicznego i ekologii Karpat, przedstawiciele biur projektowych, tworzących projekty ekologiczne. Ze strony ukraińskiej spotkanie prowadził Iwan Zozula, prezes zarządu Instytutu Górniczo-Chemicznego.

Zagajając spotkanie przytoczył on szereg problemów ekologicznych, z którymi od lat borykają się władze trzech województw przygranicznych: wołyńskiego, lwowskiego i iwano-frankińskiego. Te problemy znane są wszystkim – mieszkańcom i naukowcom, ale na tym się kończy. Na realizację projektów proekologicznych brakuje pieniędzy. Jednak w tej chwili sytuacja jest sprzyjająca, ponieważ w Radzie Najwyższej w Kijowie działa silne lobby proekologiczne. W komisji RN ds. ekologii jest wielu deputowanych właśnie z okręgów przygranicznych, którzy znają rozmaite sytuacje z własnych doświadczeń.

Przedstawiając rozwój działań proekologicznych w Polsce Maciej Trzeciak przytoczył kilka danych, dotyczących jego własnych terenów – woj. świętokrzyskiego. Otóż, przed uchwaleniem ustawodawstwa ekologicznego w Polsce, region dysponował sumą około 5 mln złotych na projekty ekologiczne. Przyjęte ustawodawstwo ekologiczne regulowało opłaty od podmiotów gospodarczych



Maciej Trzeciak

za składowanie odpadów, wykorzystywanie wysypisk i oczyszczalni ścieków, dawało już 500 mln złotych. Po wejściu Polski do UE te sumy zaczęły kształtować się w granicach około 2 mln dol. USD w ciągu roku. Od momentu wstąpienia Polski do UE, kraj pozyskał na projekty ekologiczne ponad 500 mln dol. USA. Głównym zadaniem jego Biura było by doradztwo w sprawie składanie projektów proekologicznych na pozyskanie funduszy europejskich. Skierowane powinny być na poprawę sytuacji ekologicznej na pograniczu Ukrainy z państwami UE w ramach współpracy transgranicznej.

Zabierający głos przedstawiciele ze Lwowa zaznaczyli, że już niejednokrotnie uczestniczyli we wspólnych projektach z podmiotami polskimi na działania proekologiczne. Ale podział kosztów był nieproporcjonalny, na przykład: po polskiej stronie budowano oczyszczalnię, a specjalistom ukraińskim proponowano spotkania i szkolenia w Polsce. A przecież nie o to chodzi – potrzebne są konkretne działania po obu stronach granicy – dopiero wtedy można będzie mówić o poprawie stanu ekologicznego w pasie przygranicznym. Podkreślano też wkład Ukrainy w rozwój rezerwatu „Roztocze” po ukraińskiej stronie granicy. Zaakcentowano też problem podstawowy rezerwatu – lokalizację poligonu wojskowego na jego terenie. Prowadzi to do zaniku naturalnej roślinności.

Z Maciejem Trzeciakiem rozmawia Krzysztof Szymański.

Jak pan porównuje stan ekologii we Lwowie z tym, co działo się w Polsce przed laty?

Widzę tu bardzo podobne problemy ekologiczne, dotyczące oczyszczalni ścieków czy składowiska odpadów, z którymi borykała się Polska

przed wdrożeniem prawa ochrony środowiska, czyli gdy finansowanie wygenerowane z opłat za korzystanie ze środowiska musi wrócić na jego ochronę. Stąd wypływa fakt, że obecnie w Polsce mamy jeden z najnowocześniejszych systemów ochrony środowiska. Od kilku lat mamy u nas wszystkie oczyszczalnie, składowiska odpadów i ujęcia wody pitnej zmodernizowane. Okazuje się, że wszystko można zrobić. Wzrasta też świadomość ekologiczna, poprzez masową edukację. Kluczem wszystkiego jest reforma finansowania i podniesienie poziomu edukacji społeczeństwa. Środowisko można zniszczyć bardzo szybko, a odbudowuje się ono bardzo powoli. O tym wszystkim należy mówić.

Jak postrzega pan współpracę polsko-ukraińską w dziedzinie ochrony środowiska?

Jako Izba Gospodarcza mamy ambicję zaproponować woj. przygranicznym Ukrainy współpracę w tej kwestii. Sporządzimy bazę miejsc najbardziej zagrożonych po stronie ukraińskiej i przez budowanie stosunków partnerskich po polskiej stronie dążyć do likwidacji tych zagrożeń. To właśnie nasze organizacje, władze lokalne i samorządy mogły by pozyskiwać fundusze z UE na poprawę własnych warunków ekologicznych przez poprawę ekologii po stronie ukraińskiej.

Jaka jest możliwość finansowania projektów po stronie ukraińskiej z funduszy UE?

Jest na to szansa. Kilkanaście lat temu poszukiwaliśmy takie programy z partnerami niemieckimi. A dziś jest szansa, aby Ukraina skorzystała z naszych doświadczeń. Grupa ekologiczna w Izbie Gospodarczej ma cel budowy aparatu pozyskiwania środków unijnych do poprawy sytuacji ekologicznej na pograniczu polsko-ukraińskim jak najszybciej.

Do Potockich na wykopaliska

Uczestnicy przykarpackiej ekspedycji archeologicznej Akademii Nauk Ukrainy rozpoczęli wykopaliska przy bramie dawnego pałacu Potockich w centrum Iwano-Frankiwska (Stanisławowa).

SABINA RÓŻYCKA

Wykładowcy archeologii wspólnie ze studentami Instytutu Historii i Politologii Uniwersytetu Przykarpackiego liczą na to, że uda im się natrafić na resztki północnego muru stanisławowskich obwarowań. Brama, której poszukują archeolodzy była bramą miejską w murach dawnej fortyfikacji i miała formę sześciokąta. Wystawiono ją w XVII wieku. – Był tu obronny wał i fosa, – twierdzi kierownik badań Wasyl Romaniec. – Ale kiedy połączono hetmańskie wały z budową pałacu wtedy ustawiono bramę. W tamtym okresie obydwie bastiony rozebra-

no do połowy, a na samych wałach zbudowano dwa nowe.

Studenci i archeolodzy starannie prowadzą wykopaliska, zabezpieczając warstwy. Na razie na głębokości metra natrafiono na mur z cegły. Uczestnicy wykopalisk przypuszczają, że natrafiono na północną kurtynę stanisławowskiej twierdzy. Ale wykładowca katedry archeologii Igor Koczkin uważa, że na razie trudno dokładnie określić z jakiego okresu pochodzi znalezisko. Specjaliści natrafili również na stare monety i czarną ceramikę z XVIII wieku. Wydobyte przedmioty archeolodzy prześlą do wojewódzkiego muzeum krajoznawczego.

Polscy konserwatorzy ratują „górkę powstańców styczniowych”



Prace na grobach powstańców styczniowych

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

– Do później jesieni, dopóki pozwoli na to pogoda, będą trwać prace renowacyjne z udziałem specjalistów z Polski na kwaterze powstańców styczniowych na Cmentarzu Łyczakowskim – powiedział Łukasz Szuster, kierownik prac. Zostanie uporządkowany każdy z 230 grobów, włącznie z odnowieniem elementów

metalowych, to znaczy oryginalnych krzyży. Po uzgodnieniu wszystkich formalności z władzami lwowskimi będzie odtworzony pierwotny wygląd pomnika Benedykta Dybowskiego.

W zeszłym roku rozpoczęto prace renowacyjne pomnika – Szymona Wizunasa Szydłowskiego. Prace obejmą też przebudowę schodów prowadzących na „górkę powstańców styczniowych”.

Poszukujemy pielęgniarek, fizjoterapeutów, programistów oraz informatyków do pracy na terenie Unii Europejskiej

Agencja Pracy poszukuje: pielęgniarek, fizjoterapeutów do zatrudnienia po przeszkoleniu na minimum 3 lata w UE. Poszukujemy także programistów, informatyków ze znajomością angielskiego na długoterminowe kontrakty w UE. Zgłoszenia tylko CV [angielski lub polski] info@bcj-konsalting.eu

BCJ-Konsalting, Oddział w Polsce
ul. Zwycięska 10, B2/40, 53-033 Wrocław
tel.: +48 71 78 79 815/816, www.bcj-konsalting.eu

Wenecki lew zostanie odnowiony

Dyrektor galerii „Rawtyk” Jurij Gajda jest znanym we Lwowie wielbicielem lwowskich lwów. Od wielu lat szuka rzeźb, malowideł, witraży z wizerunkiem tego zwierzęcia w ozdobach lwowskich ulic, kamienic i pałaców. Ta pasja przyczyniła się do napisania książki „Lwowskie lwy”. Jest to katalog-przewodnik obejmujący 8 tys. lwów, które są symbolem i herbem Lwowa.

JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Niestety katalog ujawnił też fakt, że znaczna część przedstawionych rzeźb znajduje się w bardzo złym lub nawet rozpaczliwym stanie. Proces rujnacji lwów podobnie jak rzeźb i ornamentów zdobiących lwowskie kamienice nabiera tempa.

„Dwa lata temu – mówi Jurij Gajda, – co ósmy przedstawiony w katalogu lew był uszkodzony, teraz lista takich rzeźb stała się znacznie dłuższa. Niektóre uległy zupełnemu zniszczeniu”. Dlatego też powstał pomysł zorganizowania fundacji, zadaniem, której byłoby ratowanie lwowskich lwów. Powołana fundacja będzie prowadziła monitoring wszystkich lwowskich lwów, sporządzi listę najbardziej cennych i zagrożonych rzeźb oraz zajmie się poszukiwaniem sponsorów renowacji.

Jurij Gajda wpadł na pomysł, żeby udział ofiarodawcy nie kończył się na finansowaniu konserwacji. Sponsor stanie się stałym opiekunem odnowionej rzeźby i będzie zobowiązany do dalszego finansowania wszystkich prac, związanych z utrzymaniem rzeźby w należytym stanie. Tacy ludzie we Lwowie są. Na konferencji prasowej Jurij Gajda przedstawił Olega Macecha, który wyraził gotowość sfinansowania konserwacji lwa na portalu kamienicy nr 14 przy Rynku. Jest to tzw. „lew wenecki” ewangelisty św. Marka, który pochodzi z czasów budowy kamienicy z końca XVI wieku. Na ewangelii, którą trzyma w łapach lew jest data – rok 1600 – rok odnowienia kamienicy. Jeszcze dwa lata temu lew był w dość dobrym stanie. Dziś, niestety, jest uszkodzony i wymaga natychmiastowej konserwacji. Oleg Macech poinformował, że dokumentacja dotycząca konserwacji lwa i całego portalu kamienicy jest prawie skompletowana. Kolejny etap obejmie uzgodnienie dokumentacji z odpowiednimi organizacjami i wła-



Jurij Gajda

dziami miasta. Obecni na konferencji prasowej Lila Onyszczenko, kierownik Departamentu Ochrony Środowiska Historycznego miasta Lwowa i Iryna Magdysz, kierownik Wydziału Kultury, wyraziły zainteresowanie nowym projektem i pozytywnie oceniły działalność fundacji. Znalaziono już konserwatora, będzie nim Wasyl Petryk.

Fundacja złożyła już listę 57 kamienic, które mają w dekoracjach lwy w stanie zagrożonym.

Najczęściej kamienice na których zniszczone są elementy dekoracyjne potrzebują gruntownej konserwacji całej elewacji. „Wyczuwam niebezpieczną tendencję – mówi Oleg Macech. – Część lwów jest już bardzo zniszczona, balkony wielu zabytkowych kamienic znajdują się w stanie krytycznym, a same kamienice – w awaryjnym. Nasz monitoring rzeźb lwów pomoże dostrzec problem zniszczonej zabudowy w mieście. Skupiamy się na konkretnych figurach lwów, ale zwracamy też uwagę na cały gmach. Naszym obowiązkiem jest przejęcie odpowiedzialności za zabytki i udowodnienie, kto jest prawdziwym gospodarzem w mieście. Od nas zależy, w jakim mieście będziemy mieszkać jutro my i nasze dzieci”.

Oby tak cenna inicjatywa entuzjastów ratowania lwowskiego dziedzictwa kulturowego mogła się rozwinąć i przyczynić do większej ilości odnowionych zabytków.



Wenecki lew „ewangelisty św. Marka” na portalu kamienicy nr 14 przy Rynku

Drohobycz – Polska – Niemcy – Kazachstan: pogłębienie współpracy i pierwszy krok do podwójnych dyplomów

27–28 czerwca na Uniwersytecie Drohobyckim im. Iwana Franki odbyła się czterostronna konferencja z udziałem przedstawicieli wyższych uczelni z Częstochowy (Polska), Zittau (Niemcy) i Astany (Kazachstan).

LEONID GOLBERG
tekst i zdjęcia

Na spotkaniu omawiano kwestię otrzymania przez studentów uczelni drohobyckiej podwójnych dyplomów. Kolejnym omawianym tematem był wspólny udział uczelni w ogólnoświatowej wystawie ekologicznej w 2017 roku, w trakcie której zaprezentowane zostaną nowatorskie technologie ekologiczne. Omawiano też międzynarodową konferencję ekologiczną, która ma się odbyć w Częstochowie we wrześniu br.

Udział w rozmowach wzięli: rektor drohobyckiej uczelni Nadija Skotna, prorektor Polonijnej Akademii z Częstochowy, ks. prof. Andrzej Kryński, rektor Międzynarodowego Instytutu Ekonomicznego w Zittau i Nie-

dwójne dyplomy na wydziale Zarządzanie Innowacyjnymi Technologiami. Studia magisterskie trwać będą dwa lata, odbędą się we wszystkich uczelniach partnerskich – po semestrze w każdej. Zajęcia praktyczne będą odbywać się w Niemczech, a wykłady prowadzone będą w języku studentów-obcokrajowców. Według słów profesora, dziś UE potrzebuje prawie 8 tys. specjalistów z zarządzania, a właśnie uczelnia drohobycka jest liderem w tym programie i może służyć przykładem dla innych uczelni Ukrainy. Prorektor uczelni z Częstochowy podkreślił, że polska uczelnia jest otwarta dla wszystkich i każdy może zdobyć tam tytuł bakałarza (licencjat) lub magistra. Razem z tym może studiować język ukraiński, polski, niemiecki czy angielski.

swego rodzaju kompendium w kwestii ekologii.

Matias Kramar dziękował dla śp. rektorowi prof. Waleremu Skotnemu, który wspierał projekt w czasie jego realizacji.

– Mamy wynik przed sobą. Jest to swego rodzaju hołd pamięci dla wieloletniego rektora Uniwersytetu Drohobyckiego. W kooperacji i współpracy z tą uczelnią zrodziła się przyjaźń pomiędzy naszymi uczelniami. Dzięki niej osiągnąłem pozytywne wyniki, które są bezprecedensowe dla całej UE – podkreślił gość z Niemiec. Nowe tendencje ekologiczne zaczęto wprowadzać po katastrofie na elektrowni w Fukushima, podjęto wówczas decyzję o zastosowywaniu nowych ekologicznych rodzajów energii – do 2050 roku mają być sto-



miecko-Kazachskiego Uniwersytetu Matias Kramar, prorektorzy uczelni drohobyckiej Myron Czerniec i Jurij Kiszakiewicz, kierownik Centrum Europeistyki Jarosław Łopuszański, dziekan wydziału ekonomiki Myron Babiak.

Jak podkreśliła rektor Skotna: „Dzisiejsze spotkanie poświęcone jest podsumowaniu poprzednich prac i wieloletniej polsko-ukraińsko-niemieckiej współpracy. Mówić będziemy przede wszystkim o nowym podręczniku Matiasa Kramara „Zintegrowane zarządzanie ekologiczne”. Kolejnym aspektem współpracy, – kontynuowała Nadija Skotna – jest przygotowanie do otrzymywania przez naszych studentów tytułów bakałarzy i magistrów częstochowskiej uczelni. Chodzi o to, aby nasi studenci równolegle zdobywali dyplom Akademii Polonijnej. Będzie to odpowiadać zasadom otwartości oświaty, która jest podstawą systemu bolońskiego.

Kolejny ważny aspekt – przygotowanie nowego projektu, którego zadaniem będzie aktywizacja współpracy. Planowany jest jako projekt czterostronny, udział w nim weźmie również uczelnia z Kazachstanu. Jego zadaniem będzie zmiana ekologicznej świadomości obywateli” – zakończyła rektor Skotna.

Ks. prof. Kryński podkreślił, że bardzo ważną kwestią są po-

Profesor Bogdan Kiszakiewicz opowiadał o przygotowaniach do wydania podręcznika prof. Matiasa Kramara. Podręcznik „Zintegrowane zarządzanie ekologiczne” został wydany w językach niemieckim (1000 egz.), ukraińskim i rosyjskim (500 egz.) i po polsku (5000 egz.). W książce Kramar przedstawił całe doświadczenie Niemiec we wprowadzaniu nowych technologii. Przedstawił mechanizmy wprowadzania nowych technologii, które zostały zaaprobowane w UE. Książkę przetłumaczono na wydziale oświaty ekonomicznej uczelni drohobyckiej. W ciągu czterech lat wykonano tam olbrzymią pracę. Objętościowo jest to duża pozycja wypełniona współczesną terminologią.

Podczas prezentacji podręcznika podkreślano, że ekologia jest nauką interdyscyplinarną i dlatego w podręczniku znalazło się miejsce dla psychologii, socjologii i prawa. Nadija Skotna podkreśliła, że podręcznik uzyskał aprobatę Ministerstwa Edukacji Ukrainy: „Studia na Ukrainie coraz bardziej będą zbliżać się do poziomu europejskiego”.

Ks. prof. Kryński podkreślił, że nowy podręcznik jest przeznaczony nie tylko dla studentów i wykładowców, ale i dla szerokiego kręgu specjalistów i osób zainteresowanych. Podręcznik przedstawia też aspekty prawne ochrony środowiska. Jest to

uwzględnione w 80% przypadków. Należy pamiętać, że za kilka lat na Ziemi będzie mieszkało dziewięć miliardów mieszkańców. Dlatego według niemieckiego uczonego potrzebne są nowe strategie ochrony środowiska, a również stosowania nowych technologii.

Przy omawianiu praktycznych stron organizacji i wdrażania zmian, wszyscy uczestnicy podkreślili, że najbardziej istotną imprezą w najbliższym czasie będzie Światowa Ekologiczna Wystawa w Kazachstanie. W trakcie wystawy przedstawione zostaną energetyczne koncepcje przyszłości, mające bezpośredni wpływ na rozwój cywilizacji. Pierwszym krokiem do Astany będzie konferencja ekologiczna w Częstochowie. Uczestnicy spotkania będą organizatorami tej konferencji. Wśród uczestników będą studenci wszystkich państw-uczestników.

Na zakończenie Nadija Skotna podkreśliła, że Ukraina jest „post-czarnobylskim” państwem. Należy nie tylko pamiętać o tej katastrofie, ale też dołożyć wszelkich starań, żeby wprowadzić nowe technologie i zmieniać świadomość ekologiczną społeczeństwa.

Zebrani podkreślili, że podwójny dyplom dla studentów z Ukrainy jest szansą dla młodych na znalezienie pracy w Europie z możliwością dalszej kariery.

Podróże w nieznane

Wbrew różnym obiegowym opiniom, posiadanie teściowej może być pożyteczne, a nawet przyjemne. Zwłaszcza wtedy, gdy teściowa pisze książki i lubi pracować w najbardziej romantycznych miejscach. Jestem jednym z takich szczęściarzy (bez ironii) – mam wspaniałą teściową, która do pracy nad najnowszą książką wybrała się nie byle gdzie, a do pałacu w Kaczanówce koło Czernihowa. Są tam odpowiednie do pracy, choć skromne warunki.

DMYTRO ANTONIUK
tekst i zdjęcia

Czernihowska trójca: Sokiryńce, Trościańiec, Kaczanówka

Po powrocie z wojaży po rzymskokatolickich klasztorach, podczas których pokonałem ponad 11 tys. km, nie wahając się ani przez chwilę zgodziłem się zawieźć teściową do Kaczanówki. Mimo tego, że z Kijowa do Kaczanówki jest około 500 km w jedną stronę. Skusiła mnie możliwość odwiedzin rozkosznego pałacu w Sokiryńcach i dendrarium w Trościańcu, położonych niedaleko Kaczanówki. Tam jeszcze nie byłem.

Jadąc z Kijowa do Sokiryńca i Trościańca, można wybrać krótszą, ale gorszą drogę, prowadzącą przez Pryłuki i hustyński klasztor. Stare, sowieckie płyty, którymi wyłożona jest droga nie pozwalają na napawanie się wędrówką. Ale nawet to wytarte, betonowe podłoże jest lepsze od dziurawych dróg w okolicach Lwowa.

Na miejscu od razu rzucił nam się w oczy zupełny brak turystów. Była niedziela. Sytuacja dość dziwna, bo do Kijowa i do Czernihowa jest blisko, a zmotoryzowanych chętnych do oglądania nowych, ciekawych miejsc mamy już całkiem sporo. Poza



Pałac w Sokiryńcach

nami nie było jednak nikogo. Spotkałmy tylko kilka miejscowych rodzin powracających przez zaniedbany park z kąpieliska.

Sokiryński zespół parkowo-pałacowy został założony przez pułkownika Pawła Gałagana, którego ród wywodził się jeszcze ze starszyny kozackiej. Rodzina od pokoleń związana była z Ziemią Czernihowską i w okolicach pozostało jeszcze wiele pamiątek związanych z Gałaganami. Dzięki wspaniałemu zaprojektowanemu parkowi, pałac wygląda

okazale ze wszystkich stron. Bryła pałacu jest olbrzymią konstrukcją, długość której dobiega 105 m. Jest to jedna z największych rezydencji na Lewobrzeżnej Ukrainie. Cztery-stumetrowa aleja wysadzona tujami prowadzi do ozdobionego kolumnami pałacu. Okrążając pałac trafimy na dużą polanę, na którą z pałacu można się dostać przez imponujące zejście udekorowane antycznymi posągami. Jeszcze do niedawna były zniszczone, obecnie są już po renowacji. Od tej strony pałac wygląda wyjątkowo okazale.

Pomimo nawoływań, nie udało się nam odnaleźć stróża i dostać do pałacowych wnętrz. Jedyne co mogę powiedzieć: olbrzymia sala balowa na piętrze zachowała się w całości – widać ją przez szybę w drzwiach. W pałacu w latach dwudziestych XX wieku założono szkołę rolniczą, obecnie jest to szkoła o profilu licealnym. Gospodarze starają się utrzymać obiekt w należytym stanie. Na utrzymanie parku, liceum nie ma pieniędzy. Brakuje m.in. na wykwalifikowanych ogrodników. Mimo tego warto tu pospacerować, można podziwiać wspaniałą, dobrze utrzymaną rotundę, neogotycki mostek, niestety w stanie ruiny. W pałacu jest niewielkie muzeum poświęcone znanemu kobziarzowi – Ostapowi Weresajowi. Niestety, zwiedzić je można jedynie w dzień powszedni. Na bazie zbiorów Gałaganów z sokiryńskiego pałacu powstało Muzeum Sztuki w Czernihowie.

Prawie Eden

Kolejną dziedziczną rezydencją przedstawiciela kozackiej starszyny jest Trościańiec z jego słynnym dendrarium. Majątek należał do przedstawicieli ukraińskiej szlachty z rodu Skoropadskich. W rodzinie było dwóch hetmanów: Iwan Skoropadski w XVIII wieku, a dwieście

Przebywał tu często i tworzył m.in., znany ukraiński malarz Mikołaj Ge. Pozostawił portrety całej ówczesnej rodziny Skoropadskich.

Z drugiej strony właściciel Trościańca, jak podają niektóre źródła, brutalnie obchodził się ze swoimi chłopami, którzy tworzyli ten wspaniały park. Po skasowaniu pańszczyzny, Skoropadski miał też odebrać od swych chłopów sporo ziemi rolnej. Być może zachowanie właściciela majątku przyczyniło się do tego, że w 1918 roku okoliczne chłopstwo spaliło „pański” dwór. Z drugiej strony mógł to być przejaw szerzącego się wówczas powszechnie barbarzyństwa i przemocy. Bezwzględnie zniszczono wówczas wiele cennych zabytków architektury. Dziś mogłyby stać się turystycznymi atrakcjami Ukrainy.

Grób samego Iwana Skoropadskiego cudem ocalał i dziś widnieje na nim znaczący napis: „Drogi przechodniu! Zasadziłem ogród po którym spacerujesz. Był mi uciechą przez całe życie. Jeżeli zauważysz bałagan, prowadzący do jego zniszczenia, powiedz o tym gospodarzowi ogrodu: spełnisz dobry uczynek”. Gospodarzem ogrodu od 1951 roku jest Narodowa Akademia Nauk Ukrainy, która opiekuje się zabytkiem i zorganizowała tu arboretum.

Jedynie w Trościańcu zauważyliśmy zwiedzających: na parkingu stał



Ruiny neogotyckiego mostu w Sokiryńcach



Aleja w Trościańcu



Wnętrze chaty na „Sokolim chutorze”

autokar i sporo aut osobowych. Przy wejściu można było kupić upominki: magnesy, mapę parku z krótkim opisem, był nawet miód, sprzedawany przez miejscowe gospoście. W porównaniu z bezludnymi Sokiryńcami kipiło tu życie.

Entuzjaści uratują nasz świat

Przed wjazdem do sąsiednich Wereskunów przy drodze z Trościańca do Kaczanówki zachował się stary wiatrak, skrzydła którego niedawno zamieniono na nowe. Podczas zwiedzania kolejnych zabytków



Stary wiatrak pod wsią Wereskuny

czekały na nas kolejne przyjemne niespodzianki. W sąsiednim Jużnym urządzono oryginalny plac zabaw. Są tu słomiane lalki młodej i starej pary, wystrojone w autentyczne, haftowane stroje. Uzupełniają dekorację sympatycznie naiwne ludowe obrazki. Obok – strach na wróble przebrany za pszczelarza, piaskownica, stolik pod daszkiem. Na placu krzątała się starsza pani. Jak się potem okazało, to właśnie ona jest pomysłodawczynią tego uroczego zakątka.

Przed trzema laty autorka pomysłu, Warwara Kotenko, obeszła gospodarstwa sąsiadów i zebrała po 5 hrywien. Za uzyskane pieniądze uporządkowała plac, oczyszczając go z chwastów, urządziła dekoracje. Obok ustawiła skrzynkę z wymownym napisem: „Dobrzy ludzie! Róbcie fotografie i wrzucajcie pieniądze!”. Pani Warwara ma zamiar rozszerzyć plac z postaciami, bo bardzo przypadł do gustu mieszkańcom i osobom przyjeźdnym.

Przed samą Kaczanówką przy drodze do stawu znajdziemy dro-

gowskasz na „Sokolim chutor”. Jest to spory obiekt turystyczny, którym kieruje entuzjasta, krajoznawca, fotograf i szef kozackiego teatru konnego Mykoła Czerep. Jest on jednocześnie wicedyrektorem kaczanowskiego rezerwatu. Mykoła Czerep jest potężnym mężczyzną, który swego czasu uprawiał sporty walki – wykapany z niego kozak. Oseledec, złoty kulczyk w lewym uchu, haftowana koszula, a nawet nazwisko czynią z niego potomka kozaków. „Sokolim chutor” składa się z autentycznych chat, najstarsza z których ma 150 lat. W każdej z nich można zamieszkać pośród rzeczy z poprzednich stuleci. Na wystrój składają się stare meble, haftowane tkaniny i gliniane naczynia. Jest tu niewielka knajpka, amatorskie muzeum, pole, gdzie można obejrzeć występy kozackiego, konnego teatru. Innymi słowy, jeżeli w Kaczanówce można wypocząć w ciszy i spokoju, to tu dla odmiany w ofercie jest wypoczynek aktywny. Cena wynajmu domu waha się od 90 do 320 hrywien za dobę od osoby; poza weekendem, w tygodniu ceny na chutorze mogą być nieco niższe.

Pałac w Kaczanówce wart jest oddzielnego artykułu, który zresztą dla KG napisałem już jakiś czas temu. Chciałbym zaznaczyć, że od tamtego czasu zaistniała możliwość zamieszkania w jednym z pałacowych skrzydeł nawet na dłuższy czas. Okna wychodzą na pałac i park. Pokoje z łazienkami kosztują 90 hrywien za dobę, a wielka mansarda z półokrągłym oknem i z widokiem na pałacowy cour d'honneur (prezentacyjny dziedziniec) będzie nas kosztowała 300 hrywien za dobę. Właśnie w pałacu zatrzymała się moja szanowna teściowa. Biorąc pod uwagę otoczenie, jej kolejna książka o kijowskich starociach zapowiada się wspaniale.

PS

Zdecydowanie polecam dojazd z Kaczanówki do Kijowa dłuższą, ale o wiele lepszą drogą. Prowadzi przez łącznie, objazd w okolicy Niżyna, potem trasą moskiewską przez Kiptę i Kozielec. Nadkładając kilometrów zyskamy jednak względny komfort jazdy.



Oficyna w Kaczanówce, w której można zamieszkać

Świat Wieri Kalinowskiej

Lwowska artystka Wiera Kalinowska przedstawiła swoje obrazy w galerii „Madam Palmgren” we Lwowie. Galeria znajduje się przy ulicy Aleksandra Fredry, a sam komediopisarz jest artystycznym opiekunem wszystkich imprez, które odbywają się w tym miejscu. Przygląda się z portretu wszystkim wydarzeniom i osobom.



Wiera Kalinowska

JURIJ SMIRNOW tekst i zdjęcia

Tym razem swój dorobek prezentowała w galerii Wiera Kalinowska, architekt i malarka, lwowianka z urodzenia i Polka z pochodzenia. W jej pastelowych obrazach dominowały lwowskie motywy. Było w nich trochę symbolizmu, aluzji do wspomnień z dzieciństwa. Oto niektóre z tytułów jej obrazów: „Anioł nad nocnym Lwowem”, „Lwowska brama”, „Dogorywająca świeca”, „Skrzydła”, „Lwowskie podwórko”, „Zaułek ormiański”, „Zimowy Lwów”, „Jesień w parku”, „Bociany nad kościołem w Podhorcach”. Autorka wykorzystuje miękką paletę kolorów, niektóre obrazy przedstawione są jakby przez lekką mgłę. Autorkę oczarowuje późna jesień i biel zimowego śniegu. Wiera Kalinowska wyróżniła obraz „Lwowska brama”, został on przedstawiony na afiszu wystawy. Jak wyjaśniła autorka jest to całkiem konkretna brama przy ul. Zaliznyczej – rodzinna brama artystki. Urodziła się w tej kamienicy, bawiła się w tej bramie, podziwiała blask promieni słonecznych na jej szybkach.

W wywiadzie dla czytelników Kuriera pani Wiera powiedziała: „Każdy obraz ma swoje światło i każdy prezentuje się właściwie tylko przy odpowiednim oświetleniu. Moje prace potrzebują światła, są wykonane w spokojnych tonacjach”. Ponieważ artystka szuka spokoju, zacisza do pracy twórczej, ważna jest dla niej

w Kamieńcu Podolskim. Dla mnie malowanie obrazu zaczyna się od wyboru kolorów. Monastyrski kiedyś powiedział: „Wybierajcie szlachetne kolory, szukajcie siebie w kolorach, tak, żeby kolor pomagał donieść do widza waszą duszę”. Dla mnie jest to bardzo bliska sentencja. Uczyć się trzeba od wielkich artystów. Dla mnie takimi wzorami były Tatiana Jabłońska i Lewicka. Bardzo cenię sobie polską sztukę z lat 20-30 XX wieku. Jestem bardzo zainteresowana filozofią światła i otoczenia. Natomiast nie interesuje mnie polityka. Nie maluję tematów historycznych. Nie przez przypadek wybrałam ten obraz z lwowską bramą na afisz mojej wystawy. Ta brama z ul. Zaliznyczej jest bramą, z której wyszłam w szeroki świat, to brama w przyszłość – moją przyszłość, ale też brama mojej przeszłości, dzieciństwa i wspomnień. W dzieciństwie w blasku słonecznych promieni widziałam konie, które niosą nas gdzieś daleko. Któregoś dnia znalazłam w tej bramie podkowę na szczęście. Często w bocianach widzę aniołów. Właśnie w Podhorcach na frontonie kościoła zobaczyłam kiedyś bociana, który siedział w miejscu, gdzie brakowało postaci jednego ze świętych. Zobaczyłam dialog skrzydeł aniołów



atmosfera skupienia w pustym kościele, gdy nie ma ludzi, odgłosów, gdy można w skupieniu rozmawiać ze sobą i z Bogiem. „Ze wszystkich świętych – mówi artystka – najważniejszą jest dla mnie świętynia w Gródku Podolskim. Kościół, do którego chodziły pokolenia moich przodków: moja babcia i prababcia. Po nich w spadku otrzymałam talent artystyczny. Babcia dobrze malowała, zaś prababcia haftowała koralikami. Jej prace są w muzeum

i bocianów. Tak narodził się pomysł jednego z moich obrazów, który można oglądać na tej wystawie”.

Twórczość Wieri Kalinowskiej jest znana w kręgu jej przyjaciół, kolegów i znajomych. I choć autorka nie jest zaangażowana w działalność polskich organizacji we Lwowie, podkreśla swoje polskie pochodzenie. Warto było by zaprezentować jej twórczość szerszemu gronu lwowskich Polaków.

Lwów. Cronica urbis

XXXIII Spotkanie Ossolińskie w Bibliotece Naukowej Ukraińskiej Akademii Nauk Lwowie poświęcone było również prezentacji książek prof. Grzegorza Mazura „2350 dni wojny i okupacji Lwowa. 1.IX.1939 – 5.II.1946” i dr Agnieszki Biedrzyckiej „Kalendarium Lwowa 1918–1939”. O publikacji Agnieszki Biedrzyckiej pisaliśmy w nr 11 (183) Kuriera Galicyjskiego.

JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcie

Znany krakowski historyk Grzegorz Mazur pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim i jest autorem wielu ciekawych i cennych monografii historycznych dotyczących okresu II wojny światowej. Prezentowana we Lwowie „Kronika” została napisana we współautorstwie z Jerzym Węgierskim i Jerzym Skwarą, wydano ją w 2007 roku w Katowicach. W tymże roku monografia została odznaczona nagrodą jubileuszowej XV edycji „Przeglądu Wschodniego”.

We wstępie prof. Mazur zaznaczył, że w chwili obecnej na pewno treść książki przygotowałby nieco inaczej. Ale przed pięć laty koncepcja rodziła się w trakcie gorących dyskusji autorów. „Tworzenie kroniki okupacyjnego Lwowa było szaleństwem – mówił prof. Mazur. – Ale ja lubię takie szaleństwa naukowe, a ten temat był właśnie przedmiotem moich wieloletnich zainteresowań naukowych” – dodał.

Monografia zawiera 645 stron i rozpoczyna się 1 września 1939 roku. Kończącą datą dla zebranych materiałów jest 5 lutego 1946 roku – data ratyfikacji polsko-radzieckiej umowy o granicy. Opisując swoją pracę nad książką Grzegorz Mazur podkreślił, że brakowało mnóstwa materiałów o ludziach, instytucjach, organizacjach, politykach. Poszukiwania tych materiałów były bardzo trudne. W wielu miejscach pozostawały wielkie luki, brakowało informacji. Jest to pole do dalszych poszukiwań naukowych. „Kroniki” są opisem ogromnych strat wśród ludności cywilnej miasta, które obliczyć precyzyjnie jest niezwykle trudno. Sowieckie wywózki na Syberię, egzekucje w lwowskich więzieniach w czerwcu 1941 roku, publiczne egzekucje niemieckie, wywózki na roboty do Niemiec – tych materiałów należy poszukiwać nie tylko w archiwach polskich czy lwowskich, lecz również w niemieckich i dawnych radzieckich. Tej wiedzy stale przybywa w nowych publikacjach naukowych zarówno w Polsce, jak również i na Ukrainie.

„2350 dni okupacji Lwowa” – to również kronika działania podziemia



Profesor Grzegorz Mazur

polskiego i ukraińskiego, walki przeciwko okupantom sowieckim i niemieckim, relacji pomiędzy ludnością polską i ukraińską. Jest to okres masowej zagłady Żydów lwowskich, są to setki i tysiące tragicznych historii, zapis bohaterstwa zwykłych obywateli, którzy ukrywali i ratowali Żydów. Przedwojenny Lwów był miastem, w którym znajdowały się wielkie zbiory naukowe, muzea, biblioteki, cenne dzieła sztuki. Walka o ich ratowanie, szczególnie w latach 1945–1946 – to ważne zagadnienie, wymagające wnikliwej analizy wszystkich dostępnych materiałów.

Omawiana monografia wywołała interesującą dyskusję wśród naukowców lwowskich. Padło wiele pytań. Wśród nich było takie: „Czy nowe dane źródłowe mogłyby zmienić podejście autora do własnej publikacji?” Profesor Mazur odpowiedział, że wiele rzeczy mógłby dopisać i wiele zmienić – znając nowe materiały, które udało mu się odnaleźć w ciągu ostatnich pięciu lat. Ale praca była pisana przez grupę autorów, dwie osoby spośród nich zmarły. „Między nami nieraz dochodziło do ostrych starć. Niektóre kwestie po-

minięto z ich winy” – podsumował profesor.

Niespodzianką dla zebranych były prowokacyjne pytania zadawane przez kilku młodych ludzi, identyfikujących siebie z lwowskim klubem rekonstrukcji wojskowych działań historycznych. Dyskusję próbowały skierować na tory konfrontacji politycznej, ale odpowiedzią ze strony ukraińskich organizatorów spotkania, była wypowiedź wicedyrektora Biblioteki Naukowej, który podkreślił: „Mamy dyskusje naukowe, a nie polityczne. Zebrani na tej sali naukowcy lwowscy omawiają ze swoimi polskimi kolegami kwestie naukowe. Dzięki formule Spotkań Ossolińskich mamy możliwość wysłuchać wykładów najlepszych polskich uczonych”. Jednak jeden z „oponentów z ulicy” domagał się, żeby wykłady gości z Polski były tłumaczone na język ukraiński lub żeby Polacy nauczyli się mówić po ukraińsku. Podobne zajście wydarzyło się po raz pierwszy w historii Spotkań Ossolińskich. Mamy nadzieję, że podobne „wybryki” nie powtórzą się, a organizatorzy zadbają o to, żeby tak solidne forum naukowe nie było wciągane w rozgrywki polityczne.

Cerkwie na liście UNESCO

Spośród ośmiu drewnianych cerkwi, które niedawno zostały wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO dwa zabytki są na terenie ziemi stanisławowskiej – cerkiew Zesłania Ducha Świętego w Rohatynie i Narodzenia NMP we wsi Werbiaż Niżny niedaleko Kołomyi.

SABINA RÓŻYCKA tekst
Archiwum UNESCO zdjęcie

Na renowację i ochronę cerkwi zostaną być może przekazane w przyszłości jakieś środki. Rohatyńska cerkiew, w której od 30 lat jest muzeum, potrzebuje około 3 mln hrywien, a cerkiew w Werbiażu Niżnym – 8 mln hrywien. „Rohatyńska świątynia jest unikatowa, pochodzi z początku XVII wieku. Została wystawiona bez jednego gwoździa, a wewnątrz mieści jeden z trzech ukraińskich barokowych ikonostasów z 1650 roku – mówi dyrektor Wojewódzkiego Muzeum Sztuki Mychajło Dejnega. – Świątynia jest usytuowana na niewielkim wzgórzu i jest jedną z najstarszych na Ukrainie”.

Legenda głosi, że przed wiekami w cerkwi Zesłania Ducha Świętego w Rohatynie nabożeństwa odprawiał Łuka Lisowski, ojciec legendarnej Roksolany, a sama Roksolana przychodziła tu na modlitwy. Od trzech lat władze Rohatyna starają się, aby świątynia trafiła na listę UNESCO. Przygotowywano odpowiednie dokumenty, wymagania były twarde: świątynia powinna znajdować się w miejscu wystawienia, nie może mieć

dobudówek z późniejszych okresów i nie może być przebudowywana wewnątrz.

Cerkiew w Werbiażu Niżnym jest dziś obita blachą, chociaż kiedyś była pokryta gontem. Skoro obiekt znalazł się na liście, należy zdjąć blachę i oczyścić drewniane powierzchnie z farby. „Jeśli chodzi o blachę, chcieliśmy jak najlepiej ją zabezpieczyć – mówi wójt Maria Karpeniuk. – Nasza cerkiew jest w centrum wioski, niedaleko jest stary cmentarz. W cerkwi mamy stare ikony, wewnątrz jest taka niesamowita atmosfera, że trudno ją opisać”.

Świątynia w Werbiażu też ma swoją legendę – od dawna ludzie w miejscowości opowiadali, że wystawiona została za pieniądze opryszków. Mieszkaniec wioski Hryhorij Semeniuk należał do zbójników Oleksy Dowbusza. Rezygnując z życia zbójnickiego zabrał swoją część łupów i za uzyskane pieniądze wystawił początkowo dzwonnice, a następnie cerkiew. Działo się to w roku 1757, a budowę ukończono w roku 1788. Cerkiew dekoruje pięć bani, stanowi ona unikatowy przykład huculskiej architektury sakralnej wybudowanej bez użycia gwoździ.



Cerkiew Zesłania Ducha Świętego w Rohatynie

Śląskie gratulacje dla bandurzystów „Karpat”

16 czerwca w Pałacu Kultury im. Hnata Chotkiewicza we Lwowie uroczystie obchodzono 60-lecie zespołu bandurzystów „Karpaty”. Jest to jedyna na świecie kapela bandurzystów, gdzie 70% zespołu stanowią osoby niewidome, grające na tradycyjnych ukraińskich instrumentach. Kapela „Karpaty” powstała w 1953 roku jako zespół amatorski, a od 1990 roku jest zespołem profesjonalnym. Brzmienie bandury dopełniają cymbały i kontrabas, a wśród wykonawców jest też kilku emerytowanych solistów Opery Lwowskiej i innych znanych zespołów.

KONSTANTY CZAWAGA

- Lwowscy artyści koncertują też za granicą, najczęściej w Polsce – opowiadają kierownik muzyczny Jarosław Melech i dyrektor zespołu Roman Kit. Bandurzyści wystąpili m.in. na II Międzynarodowym Konkursie Muzycznym dla Niewidomych im. Ignacego Jana Paderewskiego w Lublinie (2004), reprezentowali kulturę

ukraińską podczas Międzynarodowej Parady Regionów w Zabrze, innych imprezach na Śląsku. Występują z repertuarem narodowych pieśni ukraińskich, mają też polskie akcenty. Śpiewają „Szumi jawor, szumi”, „Tylko we Lwowie”, „Sokoły” i polskie koledy.

„Tak się składa, że barwy narodowe Ukrainy to niebiesko-żółty kolor, a barwy Śląska – żółto-niebieski i czasem się można pomylić”

– żartowała redaktorka Stanisława Warmbrand z Katowic.

W imieniu prezesa zarządu głównego Śląskiego Związku Chórów i Orkiestr w Katowicach Romana Warzechy oraz sekretarza zarządu Andrzeja Wojcika, Stanisława Warmbrand odczytała listy gratulacyjne ze Śląska.

„Występy „Karpat” nie raz wzruszały, zachwycały i pozostawiały w

pamięci niezapomniane wrażenia – napisał w liście prezydent miasta Mysłowice Edward Lasok. – Dziękuję się z publicznością na świecie i w Polsce najpiękniejszymi wartościami rodzimej kultury, wykreowali państwo jedną z rozpoznawalnych marek o wysokim kunście artystycznym, ukazującą brzmienie tradycyjnego ukraińskiego instrumentu ludowego, jakim jest bandura”.

Prezydent miasta Mysłowice wyraził nadzieję na owocną współpracę. Edward Lasok spodziewa się, że w najbliższej przyszłości Ślązacy będą mogli również wypromować na ziemi lwowskiej swoje rodzime zespoły prezentujące polski folklor.

„Jesteśmy Ślązoki, a Ślązoki są bardzo konkretni” – zaznaczyła Stanisława Warmbrand.

Współpraca młodych

Na zaproszenie burmistrza Chrzanowa Ryszarda Kosowskiego przy wsparciu mera Iwano-Frankiwska Wiktora Anuszkiewiczusa przedstawiciele młodzieżowej rady miasta odwiedzili polskich kolegów z miasta partnerskiego.



SABINA RÓŻYCKA tekst
zdjęcie z archiwum
Rady Młodych

„W ramach wizyty spotkaliśmy się z przedstawicielami władz samorządowych sejmiku województwa małopolskiego, z burmistrzem Chrzanowa, jego zastępcą Robertem Maciaszkiem, przedstawicielami władz i organizacji młodzieżowych – relacjonuje prezes młodzieżowej rady Iryna Rabarska. – Władze miasta partnerskiego przygotowały dla nas bardzo ciekawy program kulturalny i niezwykle ciekawy wypoczynek”.

Przedstawiciele małopolskich samorządów przedstawili gościom z Przykarpacia zasady funkcjonowania lokalnego samorządu. Gospodarze opowiadali o możliwościach, jakie daje struktura państwowa oraz poszczególnym regionom członkostwo w Unii Europejskiej. Gospodarze opowiadali o udziale województwa małopolskiego w programie rozwoju subregionów UE, który daje możliwość pozyskiwania dodatkowych

środków na rozwój infrastruktury i innych dziedzin, jak również na organizację programów edukacyjnych. Dla studentów z Polski są one niezwykle ważne, bo dają możliwość uzyskania wykształcenia za granicą na najbardziej prestiżowych uczelniach. Program rozwojowy regionów i reforma lokalnego samorządu pozwoliły na pozyskiwanie środków bezpośrednio z UE i wykorzystywania ich na miejscu na rozwój infrastruktury, edukacji, ochrony zdrowia i w innych dziedzinach.

Województwo Małopolskie chce podzielić się swoim doświadczeniem z Ukrainą. Sprzyja temu współpraca z województwem iwano-frankiwskim w dziedzinie edukacji, a w przyszłości przewidziana jest też współpraca turystyczna. Młodzi przedstawiciele rady z Przykarpacia zapoznali się z planami rozwoju Chrzanowa na najbliższe lata, omawiano doświadczenia w pozyskiwaniu inwestycji i środków na realizację projektów strukturalnych, a także na rewaloryzację obiektów historycznych.

Chrzanów ma bogate życie kulturalne. Mieszka tam wielu młodych artystów. Biorą udział w imprezach kulturalnych w całym kraju. Szczególną uwagę miasto poświęca polityce młodzieżowej. Według słów Roberta Maciaszka na realizację młodzieżowych projektów przewidziano 700 tys. złotych. Dziś w mieście działa pięć dużych organizacji młodzieżowych: harcerstwo, Stowarzyszenie Przyjaciół Miasta, klub „Lider europejski”, Stowarzyszenie „Inicjatywy Chrzanowa”, klub europejski i wiele innych mniejszych stowarzyszeń. Ich działalność koncentruje się na propagowaniu kultury i sportu, organizacji wolnego czasu, prowadzeniu akcji charytatywnych, debat i współpracy z samorządowcami. Doświadczeniem społecznej działalności w swoim mieście podzieliła się też młodzież z Iwano-Frankiwska. Młodzież opowiadała o projektach, które zrealizowano w mieście dzięki inicjatywie młodzieżowej rady miasta. Najlepiej rozwija się współpraca skautów ukraińskich i polskich harcerzy.

V Rzeszowska Piesza Pielgrzymka do Lwowa

Rośnie liczba uczestników Pieszej Pielgrzymki z Rzeszowa do Lwowa. W tym roku pielgrzymka zgromadziła ponad 400 osób z całej Polski. Uczestnicy ponad 150. kilometrowej trasy każdego dnia pokonywali po 30 kilometrów. Po sześciu dniach modlitewnej wędrówki, 30 czerwca pielgrzymi dotarli do katedry lwowskiej, gdzie przed świątynią państwów powitali abp Mieczysław Mokrzycki i ks. prałat Jan Ni-kiel, proboszcz katedry.



KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

„Cieszę się, że przychodzicie do Matki Bożej Łaskawej, tej swojej Matki, której naród polski powierzał wszystkie swoje troski, radości i nadzieje i zawsze przez jej matczyne serce był wysłuchiwany” – powiedział arcybiskup Mokrzycki. Przypomniał, że do tej świątyni pielgrzymował również bł. Jan Paweł II. W 2001 r. podczas uroczystej mszy św. koronował ten cudowny obraz i wręczył Maryi złotą różę. A z okazji jubileuszu 600-lecia archidiecezji lwowskiej Benedykt XVI ofiarował Matce Najświętszej swój papieski różaniec. „Bł. Jan Paweł II jest bliski sercu każdego Polaka i każdego lwowianina, – zaznaczył lwowski metropolita. – Cieszę się, że również wasze serca dziś biją tą nadzieją, tą radością ze spotkania z Matką Najświętszą”.

Przed rozpoczęciem liturgii głos zabrał też ks. Władysław Jagustyn, dyrektor pielgrzymki: „Z imienia chrześcijanie, z nazwiska Polacy przychodzimy w Roku Wiary, by częścią Polski, którą mamy w sercu przyłożyć do tej wielkiej części, która tutaj ponad

700 lat trwa, żyje, pulsuje. Chcemy uczcić się wiary, wierności, miłości, nadziei”. W imieniu uczestników V Rzeszowskiej Pieszej Pielgrzymki do Lwowa kapłan złożył podziękowanie gościnnym mieszkańcom tej ziemi, w tym także grekokatolikom.

Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, który przewodniczył mszy św., w swojej homilii życzył pielgrzymom z Polski, żeby Śliczna Gwiazda Lwowa wzbogaciła ich wiarą. Z wdzięcznością wspominał byłego biskupa rzeszowskiego Kazimierza Górniego, który rozpoczął dzieło Rzeszowskiej Pieszej Pielgrzymki do Lwowa i ciągle troszczył się o nią oraz złożył podziękowanie kapłanom, którzy towarzyszą państwom. „Z radością oczekujemy was z następnym rokiem – życzył na pożegnanie lwowski metropolita. – Ufam, że będzie was jeszcze więcej. Myślę, że wkrótce będzie was nie 400, ale przynajmniej tysiąc”.

Z pielgrzymami spotkał się również konsul RP we Lwowie Jan Ciećka.

Po mszy św. w katedrze lwowskiej pielgrzymi przeszli przez lwowski Rynek, dalej ulicami miasta na Cmentarz Łyczakowski.

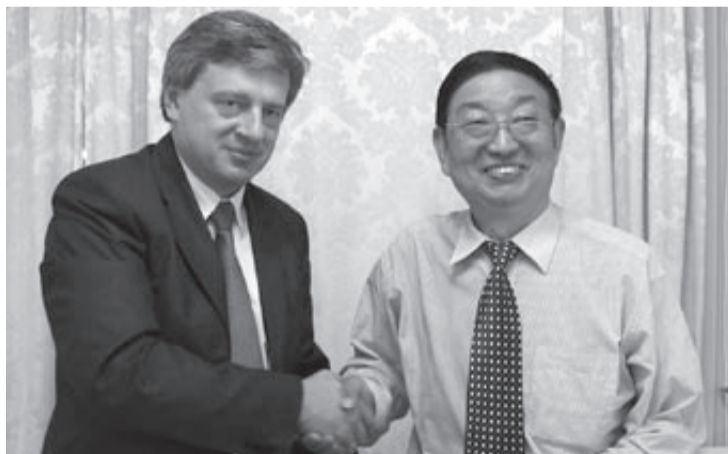
Huculi rozmawiają po chińsku

Na Uniwersytecie Przykarpackim w Iwano-Frankiwsku otwarty zostanie Instytut Konfucjusza.

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcie

W celu podpisania umowy do stolicy Przykarpacia przybyła delegacja z miasta Lanzhou. Przykarpacka uczelnia stała się pierwszą na Zachodniej Ukrainie, gdzie otwarto centrum chińskie.

- Instytut Konfucjusza – to nie tylko nauka języka chińskiego, ale także filozofii, kultury i sztuki. Jest to możliwość dialogu międzykulturowego – podkreślił w wypowiedzi dla Kuriera rektor iwano-frankiwskiej uczelni Igor Cependa. – Jego otwarcie będzie nowym impulsem do pogłębienia stosunków z Chinami. Na naszej uczelni już od dziesięciu lat przygotowujemy specjalistów od języka chińskiego. Studenci wydziału odbywają praktyki w Chinach, a absolwenci nie mają problemów ze znalezieniem pracy, bo stale rosnące kontakty Ukrainy z Chinami wymagają coraz większej liczby osób posługujących się językiem. Każdego roku uniwersytet zaprasza wykładowców języka z Chin.



Partnerem Uniwersytetu Przykarpackiego i otwartego tu Instytutu Konfucjusza stał się uniwersytet pedagogiczny z Tianshui, uważany za jeden z najbardziej prężnych ośrodków akademickich zachodnich Chin. Podpisana umowa przewiduje stworzenie edukacyjno-naukowego i kulturalnego centrum sinologicznego, wymianę studentów i wykładowców, realizację wspólnych prac naukowych. Według rektora tianshuińskiego uniwersytetu, Du Sunci,

technologie informacyjne rozwijają w szalonym tempie i ludzie coraz intensywniej kontaktują ze sobą. Dziś w Chinach mieszka 1,3 mld ludzi – co szósty obywatel Ziemi jest chińczykiem – nauka języka chińskiego, literatury, kultury, ekonomiki i filozofii chińskiej przyciąga coraz więcej ludzi. Dlatego m.in. powołano do życia Instytut Konfucjusza. Na świecie jest już ponad 130 takich placówek. Na Ukrainie filie instytutu są w Ługańsku, Charkowie i Kijowie.

„Czarodziejski flet” – Post Scriptum

Z dyrektorem Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie **ZBIGNIEWEM CHRZANOWSKIM** rozmawiał **EUGENIUSZ SAŁO**.

Wystawił Pan w operze lwowskiej „Mojżesza” Myrosława Skoryka, „Orfeusza i Eurydykę” Glucka, a teraz przyszedł czas na „Czarodziejski flet” Mozarta. Skąd pojawił się pomysł wystawienia kolejnego wielkiego dzieła?

Jeżeli realizacja „Mojżesza” Myrosława Skoryka była propozycją teatru, to już „Orfeusz i Eurydyka” Glucka to moja oferta repertuarowa, no i po niej po kilku latach został przyjęty „Czarodziejski flet” Mozarta. Wyznam, że nie były to przypadkowe poszukiwania. Starałem się, aby moje propozycje wzbogacały repertuar lwowskiej opery o dzieła rzadko wystawiane na tej scenie i abym mógł mieć wolną drogę nie obciążoną poprzednimi realizacjami.

Co zaś dotyczy samej postaci genialnego austriackiego kompozytora, to wyznam, że właśnie u Mozarta uczyłem się wrażliwości muzycznej, co prawda, na muzyce instrumentalnej, przede wszystkim fortepianowej. Na jego dzieła operowe czas przyszedł nieco później. W czasach moich studiów uniwersyteckich pojawiało się we Lwowie grono wybitnych pianistów na czele ze Światosławem Richterem, a w ich repertuarze oczywiście królował Mozart. Miejsce opery na razie zajmowało monumentalne „Requiem”, o dziwo, w latach 50. dość często wykonywane w filharmonii. A z „Czarodziejskiego fletu” jedynie legendarna aria Królowej Nocy wykonywana na różnych „państwowych” koncertach przez znakomitą wówczas śpiewaczkę Bellę Rudenko. Dziś trudno to zrozumieć, bo treść tej arii nie bardzo pasowała do państwowo-twórczych programów owych koncertów, ale najwidoczniej bardziej liczyło się wysokie „C” niż sens arii, w której królowa wzywa do zemsty i odwetu. Ale to wszystko było dawno – natomiast już w 1980 roku byłem zupełnie blisko postaci swojego ulubionego kompozytora, ale dzięki innemu twórcy – mianowicie, dzięki muzyce Mikołaja Rimskiego-Korsakowa, realizując w telewizji lwowskiej jego operę „Mozart i Salieri” opartą o tekst Aleksandra Puszkina. Wykonawcami byli znani śpiewacy lwowskiej opery Włodzimierz Ignatenko (Mozart) i Włodzimierz Łubianyn (Salieri), a dekoracje zaprojektował Walery Bortiakow.

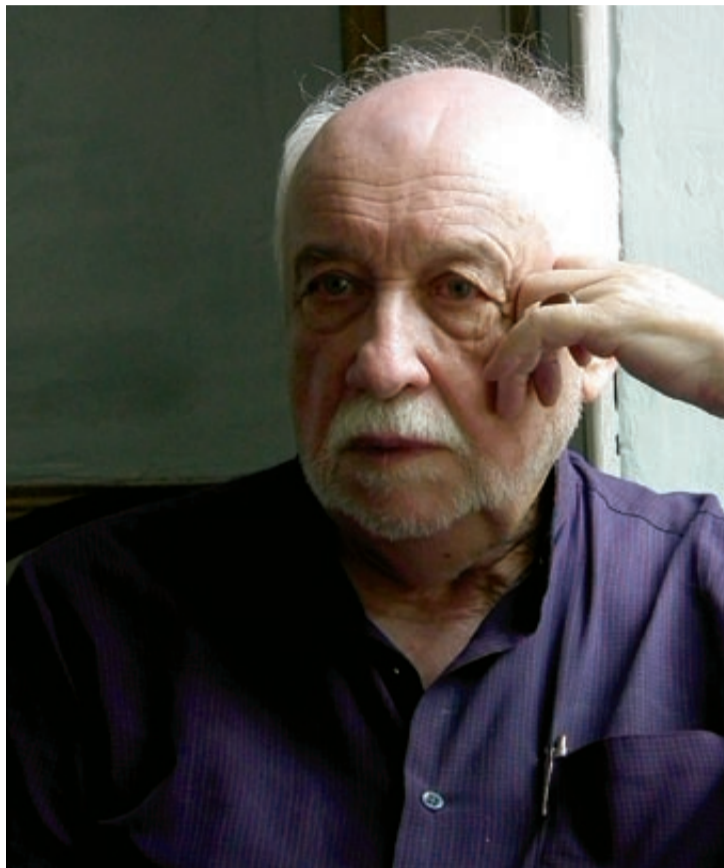
A więc droga do realizacji „Fletu” nie była przypadkową, pozostawało tylko przekonanie dyrekcji teatru, że warto żeby to ostatnie arcydzieło Mozarta wzbogaciło repertuar teatru, w

którym muzyka genialnego wiedeńcyka nader rzadko gościła.

Singspiel Mozarta nie jest to czystej wody materiał operowy. Jest w nim bardzo dużo tekstu mówionego. Jak poradzili sobie aktorzy opery lwowskiej z trochę innym materiałem muzycznym?

„Singspiel” jest formą dość często stosowaną przez kompozytorów i nie tylko osiemnastowiecznych. Dzisiejszy meloman na pewno by się zdziwił gdyby usłyszał kompletną realizację „Carmen” Bizeta z dużymi scenami „mówionymi”. Praca z wykonawcą-śpiewakiem nie bardzo różni się od pracy z aktorem dramatycznym podczas prób, ale gorzej jest już na scenie podczas spektaklu – wtedy cała uwaga aktora-śpiewaka jest skupiona na gestach dyrygenta i oczekiwania „wejścia” w muzykę. I wtedy w łeb biorą wszystkie niuanse, pauzy, tzw. oceny replik partnera, co nie znaczy, że nie trzeba „tworzyć postaci” zgodnie z założeniami roli. Jest jeszcze jedna trudność: tekst mówiony „Fletu” jest w języku ukraińskim, natomiast partie wokalne są wykonywane po niemiecku. Nie jest to sytuacja dla śpiewaka bardzo komfortowa, dlatego trzeba być też bardzo wyrozumiałym i cierpliwym w pracy. Ale cieszę się że pracowałem z bardzo młodymi wykonawcami, którzy odważnie zabrali się do przyswojenia obcego języka. Warto nadmienić, że autorem nowego tłumaczenia libretta Schikanedera jest znany lwowski germanista prof. Jurij Prochaško, obecnie prowadzący wykłady na uniwersytecie w Dreźnie.

Lwowska prapremiera „Czarodziejskiego fletu” Mo-



Zbigniew Chrzanowski

zarta odbyła się w 1792 roku czyli ponad 200 lat temu. Co takiego jest w dziełach Mozarta, że do dzisiaj nie tracą na aktualności?

Sam fakt, że już w rok po wiedeńskiej premierze „Czarodziejskiego fletu” znalazł się on we Lwowie w 1792 roku dotarł do mnie najpóźniej. Najważniejszym powodem chęci realizacji tej opery jest sam materiał muzyczny, podkreślam muzyczny, bo libretto Schikanedera jest dosyć zagmatwane, a ukryte aluzje do ruchu masonów są dziś mniej istotne. Jak też osadzenie akcji przez autora libretta w Egipcie, wśród piramid.

Oczywiście wszelakie zwroty do Izidy i Ozyrysa musiały pozostać, natomiast w częściach mówionych zostały dyskretnie ominięte jak też i miejsca akcji.

Natomiast historia lwowskiej premiery „Czarodziejskiego fletu”, którą tak skrupulatnie opisał w swoim artykule Michał Piekarski jest dla mnie dziwnym zbiegiem okoliczności. Właśnie po tej ul. Teatralnej (wcześniej Rutowskiego) przez dziesięć lat zmierzałem do swojej szkoły nr 24 przy ul. Kochanowskiego (obecnie Lewickiego). Co dzień przechodziłem obok miejsca, gdzie stał dawny lwowski teatr w pofranciszkańskim

kościół, w którym odbyła się owa legendarna już dziś premiera.

Czyżby zrządzenie losu?

Widzimy wiele scen gdzie solista śpiewa z chórem – przypomina to oratorium. Czy szukał Pan innej scenicznej formy?

„Oratoryjny” charakter niektórych scen zachowałem podczas rozmowy Zarastro z księciem Paminem i Papageno oraz kapłanami – trudno wyjść poza styl tych dialogów, zresztą też sam charakter tych postaci skłania do tego oraz sytuacje – Święty Gaj, modlitwa itp.

Bracia Ryndzakowie ponownie stworzyli monumentalną scenografię.

Autorem scenografii jest Tadek Ryndzak, jego młodszy brat Michał zawsze wiernie kibicuje naszej współpracy. Dzięki pomysłom Tadeka udało mi się znaleźć sceniczną formę „Czarodziejskiego fletu”, w którym jest aż trzydzieści zmian sytuacji scenicznych. A właśnie dzięki ruchomym zastawkom-parawanom prowadzonym przez aktorów udało się nadać akcji płynności i nieomal błyskawicznej zmiany przestrzeni scenicznej.

Na początku jest to tajemnicza gęstwina lasu, później skaliste wzgórza, a jeszcze później tajemnicze zakamarki królestwa Zarastro. Na samym początku na przejrzystej kurtynie widać graficzne powtórzenie finałowego obrazu w centrum którego dominuje złote drzewo. Może właśnie z jego gałęzi został wycięty zaczarowany flet? I właśnie te ruchome formy scenograficzne, które w finale dosłownie rozbijają swoją fakturą i kolorem królestwo ciemności Królowej Nocy wpływają na rytm naszego spektaklu. Jak też i zagadkowa postać Młodzieńca, która na samym początku budzi się w gęstwinie lasu. Kim jest owa zagadkowa postać, którą razem z choreografem i moim asystentem Sergiuszem Najenko wprowadziliśmy do spektaklu? Mozartem? Duchem muzyki? Czy też muzycznym odpowiednikiem fletowej melodii? Zapewne jednym i drugim.

Zadaniem aktora jest działanie, zadaniem reżysera – stworzenie konfliktu. W jaki sposób Pan zaostrzał konflikt w operze?

Po ponad rocznej pracy ze scenografem oraz projektantem kostiumów, (pani Oksana Zinczenko-Łysek) z którymi już realizuję trzecią operę, po serii prób sytuacyjnych tekstowych w dość ciasnej sali (bo opera lwowska do dziś dnia nie posiada sali prób z prawdziwego zdarzenia). Przyszedł czas na wejście na scenę z dyrygentem, orkiestrą i sześćdziesięcioosobowym chórem. Panowanie nad sytuacją obejmuje bez wątpienia dyrygent – i tu



Pamina i Papageno

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

DANUTA GRESZCZUK

chciałbym podkreślić, że bez osoby maestra Myrona Jusypowicza trudno sobie wyobrazić realizację tej opery. Scalanie tego materiału w jedną bryłę było niełatwe, by nie powiedzieć, że konfliktowe. Ze względów muzyczno-akustycznych nie bardzo można się rozpędzić po scenicznej przestrzeni, po za tym śpiewacy, jak już mówiłem, są bardzo „przywiązani” do ręki dyrygenta. Jeśli na próbie można coś zmieniać to już na przedstawieniu trzeba się poddać.

Ale za to bardzo kocham operę, która wchłania w siebie tyle rodzajów wyrazu teatralnego.

Wnikliwa recenzja Michała Piarkarskiego zgłasza pewne pretensje

który z powodzeniem występuje w roli księcia Tamino obok swojego lwowskiego kolegi Romana Trochymuka.

Obok tych młodych wykonawców słowa uznania należą się też Trzem Damom – Natalii Romaniuk, Ludmile Sawczenko, Natalii Wieliczko, trójce Młodzieńców – Tatianie Wachnowskiej, Natalii Kurylciv, Janie Wojtiuk i Halinie Herawienko, także Weronice Kolomiszczewej i Swietlanie Mamczur kreującym role Papageny.

A przecież jest jeszcze Jurij Trycecki w roli Zarastra, Anatol Łypnyk, Jurij Szewczuk, którzy wcieliili się w trudną rolę Oratora. Trudno pominąć Sergiusza Merzłakowa i Włodzi-



DANUTA GRESZCZUK

Tamino

do strony muzycznej, ale myślę, że trzeba złożyć to na karb długoletniej nieobecności Mozarta na lwowskiej scenie. Jego muzykę na pewno gra się inaczej jak wszechobecnego Verdiego, Pucciniego czy nawet Rossiniego. Ale „styl mozartowski” na pewno da się osiągnąć, aby z czasem zadowolić ucho wytrawnych melomanów.

W tej realizacji spotkałem się z bardzo młodymi wykonawcami i z tej współpracy jestem bardzo zadowolony, bo i Petro Radejko, i Luba Kaczała, ale i Witalij Zahorbeński, i Mikołaj Kornutiak, i Julia Łysenko, i Luda Ostasz stanęli na wysokości zadania przede wszystkim muzycznych trudności, ale także i aktorskich. W tak trudnej roli jaką jest Królowa Nocy wystąpiła niedawna absolwentka Lwowskiej Akademii Muzycznej, Anastazja Kornutiak. Tak naprawdę losy „Czarodziejskiego fletu” zależały od obecności śpiewaczki, która podola wokalnym trudnościom tej partii, ale na szczęście poradziła sobie znakomicie. A zupełnie niedawno wystąpiła w tej roli gościnnie Olga Abakunowa, która dojeżdża do Lwowa z Chmielnickiego. Do Lwowa dojeżdża też z Iwano-Frankiwska Wasyl Sadowski,

mierza Sudomlaka, którzy otwierają spektakl swoim tańcem.

Byłoby niesprawiedliwe gdybym nie wymienił kilku powojennych realizacji oper Mozarta we Lwowie. Otóż studio operowe dwukrotnie realizowało dzieła Mozarta „Uprowadzenie z Seraju” i „Don Juana” pod batutą wytrawnego i znanego lwowskiego dyrygenta maestra Jurija Łuciwa. A w 1971 roku „Don Juan” pojawił się na scenie lwowskiej opery. W tytułowej roli wystąpił Aleksander Wrabel, a w spektaklu studyjnym Igor Kuszpler obaj znakomici lwowscy śpiewacy, a za pulpitem dyrygentem stanął Igor Łacanycz.

I na koniec jedno wspomnienie. Otóż kilka lat wstecz byłem z wycieczką w Salzburgu w mieście, z którym Mozart był tak bardzo związany. Z niezliczonych witrzyn sklepowych spoglądała na mnie twarz młodego Wolfganga, z różnego rodzaju kubków, filiżanek, spodków czy też bombonierek. A na małym placu do którego dotarłem pod wieczór stał sobie na cokole Papageno i pałeczką uderzał w swoje zaczarowane dzwoneczki... Chyba jedyny bohater operowy, któremu postawiono pomnik.

Domowe maselko dla gości

We wsi Knihyńcze koło Rohatyna, podobnie jak przed stu laty, masło ubijane jest domowym sposobem w niewielkich maselnicach. Turyści zachwycają się smakiem takiego masła. Gospodarze we wsi czekają na turystów z Polski, chętnych do spróbowania takiego poczęstunku.

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcie

Pachnące, zólcitkie, naturalne. – Posmarujesz wielką kromkę gorącego chleba, prosto z pieca. Zjadasz, popijasz mlekiem i pół dnia jesteś syty. Tak żyli nasi dziadowie i pradiadowie i byli zdrowi – mówi Leonid Bajda, wójt Knihyńc, pokazując niewielką drewnianą beczułkę, w której jeszcze są grudki masła. – Wielu naszych mieszkańców nie ma nawet zamiaru kupować masła w sklepie. Przecież nie ma w nim masła! Brzmi to dziwnie? Przykro mi, ale taka jest prawda! Placimy pieniądze za produkt, który nie ma ani smaku, ani aromatu. Żadnego pożytku z takiego masła nie mamy. Dlatego sami ubijamy masło, jak robili to nasi przodkowie przed stu laty.

Naczynie do produkcji masła w rohatyńskim rejonie nazywane jest maślniczką – jest to urządzenie podobne do zwykłej beczułki, wykonane z klepek opasanych obręczami. Jak twierdzi wójt Bajda, kiedyś w każdej wiosce byli dobrzy bednarze, ale teraz maślniczki wiozą głównie z Huculszczyzny. Urządzenia robi się przeważnie z jodły, lipy czy brzozy. Tylko w takich beczułkach masło ma specyficzny, świeży i nieco słodkawy smak i dobrze się przechowuje. Maślniczka ma około 30–50 cm w obwodzie i pół metra wysokości. Konstrukcja jest nieco dziwna – na większą beczułkę na metalowej obręczy (konew) nasadza się mniejszą (wierzchnik), potrzebny jest też bijak, którym ubijamy masło. Maślniczka jest zrobiona z 20–25 klepek – wyciosanych specjalnie deszczulek.

Żeby ubić dobre masło trzeba poznać kilka tajemnic. „Do sporządzenia masła potrzebna jest tłusta śmietana, która odstała 2–3 dni. Nie może być świeża, jeszcze ciepła, – opowiadają gospodynie o domowych sposobach produkcji masła. – Taka śmietana dobrze i szybko się ubija. Jeżeli trzymamy śmietanę w lodówce, to przed ubiciem trzeba ją wyjąć i na godzinę odstawić w ciep-



miejsce lub nawet ogrzać w misce z ciepłą wodą. Śmietanę nalewamy do maślniczki i w ciągu 2-3 godzin intensywnie ubijamy długim drągiem (bijakiem), kierunek: góra – dół, góra – dół. W taki sposób z trzech – czterech litrów śmietany otrzymamy około 1 kg masła.

Po pewnym czasie w maślniczce pojawiają się niewielkie grudki masła, które łączą się w większe kawałki. Następnie grudki trzeba wypłukać w zimnej wodzie, a pozostałą maślanę wypić. Grudki należy połączyć łyżką w osetkę i wstawić do lodówki, a za kilka godzin masło można już jeść. Nawet w największy upał nie topi się na talerzyku.

Po ubiciu masła w maślniczce pozostaje jeszcze jeden bardzo pożywny produkt – białutka maślanka. „Dobrze na niej zamiesić ciasto na chleb, można ją prostu wypić. Jest dobra na trawienie. Chętnie piją ją prosięta, krowy i cielęta” – mówi wójt Bajda. W domowych warunkach, kiedy nie mamy pod ręką maślniczki, do ubijania masła można wykorzystać blender. Można też ubijać masło w trzylitrowym szklanym słoju. I choć takiego smaku jak z drewnianej maślniczki masło mieć nie będzie, warto jednak ubijać masło w domu, bo smakuje o wiele lepiej. Smacznego!

KG

Uczymy się w Lublinie

W ramach realizacji projektu „Usprawnienie usług administracyjnych dla mieszkańców terenów transgranicznych poprzez stworzenie centrów usługowych i rozwój współpracy centrów w Łucku, Iwano-Frankiwsku z Lublinem (Biuro Obsługi Mieszkańców)” delegacja ze stolicy Przykarpacia na czele Andrijem Lisem, przewodniczącym Rady Miasta, odwiedziła Lublin.

SABINA RÓŻYCKA

Delegacje z Łucka i Iwano-Frankiwska spotkały się z sekretarzem lubelskiej Rady Miasta Andrzejem

Wojewódzkim. Dyrektor kancelarii Rady Miasta Lublina Iwona Woźniak zaprezentowała elektroniczne rozwiązania istotne dla przesyłania urzędowej dokumentacji i różne

wersje oprogramowania administracyjnego. Na prezentacji Biura Obsługi Mieszkańców jego dyrektor Monika Artymiak zapoznała gości z działalnością biura. Delegacja zwiedziła Miejskie Centrum Przetwarzania Danych i Centrum Zarządzania Kryzysowego.

„Realizacja projektu pozwoli administracyjnym organom samorządowym określić i zrealizować wspólne cele – usprawnienie obsługi klientów – mówi Andrzej Lis. – Wspólne problemy, nad którymi będą pracowali nasi specjaliści, przedstawiciele samorządów i organizacji społecznych, pozwolą usprawnić oficjalne kontakty”.

Komu kościół dominikanów?

W Kamieniu Koszyrskim na Wołyniu jest do sprzedania stary kościół. Dziś mieści się w nim siedziba fabryki cukierków, zabudowania widać z daleka dzięki charakterystycznym elementom dekoracyjnym. Pomimo przebudowy i modernizacji w latach sowieckich do dziś na budowlu widoczne są elementy sakralnej architektury.



Dawny kościół z XVII wieku, później fabryka cukierków

AGNIESZKA RATNA
tekst i zdjęcia

Siedemdziesiąt lat temu ludzie przychodzili tu na modlitwę, a nie po słodycze. Mieścił się tu katolicki kościół parafialny. Razem z wybudowaną kaplicą stanowił dominikańską spuściznę Kamienia Koszyrskiego. W wieku XVII w 1628 roku ufundował go ostatni z rodu książąt Sanguszków Koszyrskich – wojewoda wołyński Adam Sanguszko – i założył tu siedzibę zakonu dominikanów.

- Klasztor dominikanów funkcjonował w mieście do 1832 roku – opowiada dyrektor lokalnego muzeum krajoznawczego Natalia Paś. – Po tem klasztor kościół zamieniono na parafialny. Świątynia była czynnym kościołem do 1944 roku, przy czym nabożeństwa odprawiano przez cały okres II wojny światowej. Po wojnie najpierw umieszczono tu tartak, a w kaplicy suszono deski. Pod koniec lat 70-tych XX wieku klasztor zmieniono na fabrykę cukierków. Obecnie kościół wygląda inaczej – przebudowywany był w okresie sowieckim. Zniszczono portyk z czterema kolumnami i dołączono boczne przybudówki.

Nieco łaskawszy los spotkał kapliczkę. Została uznana za zabytek architektury. Fabrykę zamknięto zimą ubiegłego roku. Dziś rejonowa spółdzielnia spożywcza ma zamiar sprzedać kościół. Wywoławcza cena na aukcji wyniesie orientacyjnie ok. 350 tys. hrywien.

Całą sprawą zainteresowała się deputowana do rady rejonowej Weronika Romanowicz. Zwróciła się do władz wojewódzkich, ale otrzymała odpowiedź, że kościół nie jest zabytkiem architektury i ma swoich właścicieli.

- Nasze władze ciągle podkreślają, że Ukraina dąży do Europy – oburza się pani Romanowicz. – A co z sytuacją w Kamieniu Koszyrskim, gdzie świątynia w gestii spółdzielni wykorzystywana jest niezgodnie z jej przeznaczeniem? Czy warto kontynuować epokę sowieckiego ateizmu, gdy kościoły zamieniano na fabryki?

Jeżeli gmach świątyni nie trafił na listę zabytków, to należy go tam niezwłocznie wnieść.

Z propozycją nadania kościołowi statusu zabytku Weronika Romanowicz zwróciła się do komisji ds. edukacji, nauki, kultury i mediów wołyńskiej rady wojewódzkiej. Wiceprzewodniczący komisji, kapłan cerkwi prawosławnej kijowskiego patriarchatu Witalij Sobko, uważa, że wykorzystanie świątyni do celów innych niż sakralne jest obecnie jednym z najbardziej przykrych faktów.

- Jak mogło się stać, że obiekt sakralny jest wykorzystywany przez spółdzielnię, a nie należy do lokalnego samorządu – dziwi się deputowana. – Dlaczego wierni nie starają się o zwrot świątyni? Jest przecież wiele przypadków, gdy katolickie świątynie są przekazywane wiernym innych obrządków. A może spółdzielnia sama nie ma nic przeciwko temu, żeby okazać dobrą wolę i przekazać komuś świątynię? Nie wiemy jednak, co na to powiedzą władze lokalne.

Według słów ks. Sobka, deputowani rady wojewódzkiej proszą

o informacje dotyczące dawnego kościoła władze w Kamieniu Koszyrskim. Prezes spółdzielni spożywczej Tatiana Jefimowa jest bardzo zdziwiona całym szumem wokół budowli. Mówi, że od dawna przejmują się losem świątyni.

- Proponowałam władzom żeby umieściły w dawnej świątyni siedzibę muzeum krajoznawczego, bo nasze muzeum do dziś mieści się w wydzierżawionych pomieszczeniach – mówi Jefimowa. – Ale rada rejonowa boi się brać na siebie odpowiedzialność. Dla nich cena jest za wysoka. Jeśli zaistnieje taka potrzeba zmniejszymy cenę a nawet oddamy budowlę bezpłatnie, ale pod warunkiem, że znajdą się pieniądze na renowację. Liczba katolików w naszym mieście jest niewielka. Wystarczy im zbudowany w 2005 roku z funduszy wiernych kościół św. Michała i św. Antoniego. Też nie chcą tego starego kościoła. Mówię o tym wszystkim zainteresowanym i wierzę, że znajdzie się mecenas, który zapłaci za remont i zorganizuje muzeum. Dobrze jest krzyczeć na ten temat, ale spróbujcie znaleźć dobroczyńców.



Nowy kościół w Kamieniu Koszyrskim

Litwa zbliży Ukrainę z Europą

Centrum Studiów Integracji Europejskiej na Litwie, lwowskie czasopismo „i” (Ji), Ukraińskie Centrum Międzynarodowego PEN-Klubu oraz organizacja społeczna „Inicjatywa Zarwanicka” przy wsparciu MSZ Republiki Litewskiej i Konsulatu Honorowego Litwy we Lwowie zorganizowali 2 lipca w Pałacu Potockich międzynarodowe sympozjum „Ukraina a Unia Europejska: perspektywy i zagrożenia podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE w czasie prezydentury Republiki Litewskiej w Radzie Unii Europejskiej”.

IWAN BOBOW

1 lipca br. Litwa po raz pierwszy w swojej historii obejmie prezydenturę w Radzie Unii Europejskiej – powiedział wicemarszałek litewskiego parlamentu Petras Auštrevičius, który podkreślił, że Litwa postanowiła zostać „uczciwym pośrednikiem” między wszystkimi państwami Unii Europejskiej. Również zaznaczył, że trzeba jak najszybciej przyciągnąć Ukrainę na orbitę Unii Europejskiej.

Zdaniem Petrasa Auštrevičiusa, który prowadził negocjacje Litwy z UE proces zmian na Ukrainie będzie trwał jeszcze długo i UE musi się uzbroić w cierpliwość i dobrą wolę i jako pierwsza wyciągnąć rękę do Kijowa. Bez tej historycznej decyzji szansa Ukrainy zostanie bezpowrotnie stracona – zaznaczył litewski polityk. Mówił

też, że Partnerstwo Wschodnie jest drugim – obok kwestii gospodarczych – priorytetem litewskiej prezydentury i Litwa zrobi wszystko, aby listopadowy szczyt zakończył się sukcesem, a za taki uważane jest m.in. podpisanie umowy stowarzyszeniowej z Ukrainą.

Taras Wozniak, redaktor naczelny czasopisma „i” i dyrektor Ukraińskiego Centrum Międzynarodowego PEN-Klubu akcentował na tym, że Ukraina znajduje się na skrzyżowaniu. Konstanty Matwienko z Korporacji Konsultingu Strategicznego „Gardarika” zwrócił na wewnętrzne problemy kraju, zwłaszcza na Ukrainę przed wyborami i po wyborach.

W wymianie poglądów uczestniczyli eksperci polityczni i dziennikarze z Kijowa i Lwowa.

UWAGA NA BURZE

Meteorolodzy zapowiadają, że te wakacje mogą obfitować w burze i wyładowania atmosferyczne. Miejmy na uwadze, że pioruny nawet w dużym mieście mogą porazić śmiertelnie.



Co więc robić podczas burzy? Najlepszym miejscem do jej przetrwania jest budynek. Trzeba zamknąć okna i nie podchodzić do nich. Na wszelki wypadek wyłączyć instalację gazową i sprzęt elektroniczny, który nie jest podłączony do specjalnych urządzeń uziemiających. Nie wychodzić z domu, jeśli nie jest to konieczne. Bezpiecznym miejscem jest także samochód z zamkniętymi szybami. Tworzy się wtedy tzw. klatka Faradaya i piorun spływa po masce auta.

Gdy jesteś w górach, należy jak najszybciej zejść do doliny i usiąść np. na plecaku, jeśli nie ma w nim metalowych elementów.

Gdy jesteś w wodzie, wyjdź z niej jak najprędzej i udaj się w bezpieczne miejsce. Szczególnie na otwartej przestrzeni powinno się wyłączyć telefon komórkowy. Wyładowanie elektryczne może ściągnąć także telefon stacjonarny.

Nigdy nie chowaj się pod samotnym drzewem lub przy słupach wysokiego napięcia. Odsuń się na odległość większą niż dwukrotność ich wysokości.

Jak jesteś w środku lasu, zostań w nim i nie wychodź na skraj. Podczas burzy należy odsunąć się od metalowych konstrukcji np. wiaty na przystankach.

Nadesłała ANNA ROWICKA

Ojczyzna tak daleko

„Czerwone maki na Monte Cassino
Zamiast rosy piły polską krew...”

MARIAN KŁADNY

Niedawno minęła 69 rocznica bitwy pod Monte Cassino. Jednym z jej uczestników był mój stryj, Józef Kładny. Był osobą, w każdym uczynku której odczuwalny był duch patrioty. Stryj urodził się 16 lutego 1907 roku w polskiej wsi Wieczorki, par. Mosty Wielkie w woj. lwowskim. Wieś leżała po lewej stronie drogi prowadzącej do Belza, w odległości dwóch kilometrów i liczyła 40 rodzin.

Kiedy 1 września 1939 roku Niemcy napadli na Polskę, Józef Kładny został powołany do wojska jako rezerwista. Podczas obrony Warszawy został wzięty do niewoli i wysłany na tereny niemieckie. Wiosną 1941 r. udało mu się zbiec i dotrzeć do granicy niemiecko-sowieckiej, która wówczas przebiegała wzdłuż rzeki Solokii. Dotarł do Belza, który był po stronie niemieckiej i przez kilka dni ukrywał się u kuzynki. W tym czasie w rzece, na skutek powodzi wiosennej, wezbrała woda. Stryj przepłynął Solokiję i dostał się do wsi Prusinów po stronie sowieckiej (ob. Nyży).

Zapukał do jednej z chat, żeby chociaż trochę odpocząć, podszycić ubranie. Do Wieczorków było jeszcze 8 km. Kobieta, która go wpuszczała do mieszkania, dała napić się mleka, a następnie... zawiadomiła sowieckich pograniczników. Stryj aresztowano jako szpiega niemieckiego. Nie wierzono, że uciekł z niemieckiej niewoli i że chce dotrzeć do swej rodziny. Wywieziono go przez Mosty Wielkie do więzienia w Rawie Ruskiej. Stryj nie wiedział i nawet nie przypuszczał, że wieś Wieczorki już nie istnieje. W styczniu 1941 r. mieszkańcy zostali wywiezieni przez NKWD do Besarabii, niedaleko miasta Izmait, a na terenach wsi zbudowano bunkry.

W więzieniu w Rawie Ruskiej stryj codziennie bito, żądając, żeby przyznał się do szpiegostwa. Kiedy przybył z wizytacją pułkownik, aresztowany poskarżył się. Wtedy przestano go katować i przewieziono do

więzienia do Lwowa. Kiedy więźniów umieszczano w samochodzie stryjowi udało się wcisnąć stojącemu obok nieznanemu karteczkę. Treść była adresowana do mego ojca Władysława Kładnego. Stryj informował brata, że jest w więzieniu i teraz przerzucają go do Lwowa. Zanim ta karteczka dotarła do ojca w Wielkich Mostach, rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka. Gdy Niemcy wkroczyli do Lwowa, można było dotrzeć do więźniów politycznych. Ojciec szedł do Lwowa 50 km piechotą, obszedł wszystkie więzienia, jednak swego brata nie znalazł.

Stało się tak, że na kilka dni przed wkroczeniem Niemców Józefa Kładnego wywieziono do lagru w Rosji, w Ufie. Dowiedzieliśmy się o tym już po wojnie. W tym lagrze stryj pracował przy wydobyciu ropy naftowej dopóki generał Władysław Sikorski nie zaczął organizować wojska polskiego. Stryj zgłosił się na ochotnika i bez żadnej pomocy dotarł do punktu zbiorczego. Po tragicznej śmierci gen. Sikorskiego dowództwo objął gen. Anders, który przeprowadził armię do Iranu, a przez Palestynę – do Egiptu.

Z Egiptu część wyszkolonych oddziałów wojska przetrzucono do Anglii, gdzie walczyli na morzu i zdobywali Narwik. Inni wyruszyli do Włoch. Wśród nich był również mój stryj. Należał do batalionu saperów, zadaniem których było rozminowanie dróg, pól, budowanie mostów przez górskie rzeki.

Droga prowadząca do Monte Cassino została nazwana Drogą Polskich Saperów. Przed wojskiem postawiono zadanie – zdobycie średniowiecznej twierdzy-klasztora na górze św. Benedykta. Na wzgórzu było sporo niemieckiej artylerii i wojska.

Przed szturmem panowała niezwykła cisza. 11 maja 1944 roku o godz. 23:00 w niebo puszczono raketę sygnałową. Rozpoczęło się natarcie. Grzmiało ponad 2 tys. dział. Ogień artylerii sprawił, że było jasno jak w dzień. Noc po nocy jednostki i oddziały polskie przesunęły się pod wzgórze do przodu. 16 maja stryj został ranny – pocisk zacerpił plecy i nogi. 18 maja 1944 roku nad twier-

dzą klasztoru załapała biało-czerwona flaga.

Po opatrzaniu i leczeniu ran stryj ruszył do dalszej walki. Z tego co opowiadał, mogliśmy sobie wyobrazić odwagę i bohaterstwo żołnierzy polskich. Pod czas budowy mostów przez górskie rzeczki zginęło kilkadziesiąt saperów, wielu z nich pochłonęły bystre wody.

Z wojskiem polskim stryj zdobył wiele wiosek i miasteczek. Wojna na terenie Włoch zakończyła się w Bolonii. Za walki pod Monte Cassino i na terenie Włoch stryj otrzymał Krzyż Zasługi i inne odznaczenia. W trakcie walk pod Monte Cassino spo-



Legitymacja upoważniająca do noszenia Krzyża Pamiątkowego Monte Cassino, który został nadany Józefowi Kładnemu

tkali się dwaj mieszkańcy Wielkich Mostów – kapelan II Korpusu 4 pułku pancernego „Skorpion” ojciec Adam Studziński i saper Józef Kładny. Gen. bryg. Adam Franciszek Studziński zmarł 2 kwietnia 2008 roku. Po zakończeniu wojny powrócił do Polski, pracował w klasztorze dominikanów w Krakowie. W latach 80. zajął się renowacją kościoła św. Idziego, kościół stał się miejscem spotkań harcerzy i kombatanów. Ojca Studzińskiego odznaczono wieloma odznaczeniami i medalami polskimi i zagranicznymi, był kawalerem srebrnego Krzyża orderu Virtuti Militari i honorowym obywatelem królewskiego stołecznego miasta Krakowa, miasta Skawiny i gminy Lubień. Zmarł w wieku 97 lat.

Jeden z placów w Krakowie nosi jego imię.

Po zakończeniu działań wojennych we Włoszech wojsko polskie przetrzucono do Anglii. Stryj bardzo chciał wrócić do Polski, do swoich dzieci, rodziny, która wówczas powróciła z Besarabii na Ziemię Odzyskane. W 1947 roku część żołnierzy, a wśród nich stryj, powróciła do Polski. Ciężko było uwierzyć, że ci bohaterowie zostaną wrogo potraktowani przez nowe władze komunistyczne. Stryj wzywano na przesłuchania do UB, w końcu został stolarzem. W opuszczonych przez Niemców „kirchach” (kościółkach) stryj przerabiał ołtarze, odnawiał i robił ławki, wykonywał różne stolarskie i budowlane prace. Rany, które otrzymał w czasie wojny, dały

te, która mówiła: na koniu jechał sowiecki żołnierz, a do konia na sznurku przywiązany był ks. Józef. Do kobiet, co pracowały w polu, zdjął kapelusz, przywitał się i pobłogosławił ich, wtedy żołnierz przyspieszył konia, a ksiądz upadł i włożył się za koniem po ziemi. Za wioską Maliniska w lasku został zastrzelony. Było to 26 czerwca 1941 roku, gdy sowieci cofali się.

W miejscu dawnej wsi Wieczorki już nie ma śladu życia ludzkiego. Na miejscu dawnego krzyża parafianie i byli mieszkańcy Mostów Wielkich ustawili nowy krzyż. Tabliczka na nim informuje: „Tu była wieś Wieczorki. Mieszkańców deportowano w 1941 roku przez NKWD do Besarabii”. Mieszkańcom Wieczorków poświęciłem wiersz.

WIECZORKI

Mieszkańcom Wieczorków
i ich potomkom poświęcam

*Pośród lasów, spośród pola
Krzyż na pamięć postawiony.
Była na to Boża wola,
Że polski naród stąd wywieziony.*

*Siał on ziarno, zbierał plony,
Pracowity to był lud,
Ale przyszli wnet Sowicci
I wywieźli go na wschód.*

*Tam w dalekim Izmaile
Wciąż o Polsce Swej marzyli
I prosili Pana Boga,
Żeby w sercu przeszła twoga.*

*I do Polski swej wrócili
O czym wspominają mile
I choć mieli moc kłopotów,
To się wzięli do roboty*

*Polskę swą odbudowują
I pracują, i świętują.
Taka ich życiowa droga,
Za co bardzo chwałą Boga.*

*Wśród mieszkańców byłej wioski,
Walczących o wolność Polski,
Był bohater bardzo ładny
Imię jego – Józef Kładny.*

*Szumi trawa... szumi las...
I stoi przy drodze samotny ten krzyż.*

Uczczono patrona miasta Lwowa – św. Jana z Dukli

2 lipca we Lwowie w byłym kościele ojców bernardynów p.w. św. Andrzeja, użytkowanym obecnie przez ojców bazylianów z Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, uczczono patrona miasta – św. Jana z Dukli (1414-84). W tym roku uroczystość, w której wzięli udział franciszkanie z Ukrainy, Polski i Stanów Zjednoczonych, odbyła się na kilka dni przed liturgicznym wspomnieniem tego świętego, które przypada 8 lipca. Mszę św. odprawił arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki, a homilię wygłosił o. Dobrosław Kopysteryński, przełożony prowincji św. Michała Archanioła Zakonu Braci Mniejszych na Ukrainie.

KONSTANTY CZAWAGA

Przed rozpoczęciem liturgii ojciec prowincjał Dobrosław Kopysteryński powiedział, że jego współbracia zakonnicy razem z wiernymi raz w roku spotykają się w tej świątyni, aby uczcić św. Jana z Dukli, który służył tu z posługą duszpasterską, służąc wszystkim ludziom, który zwracali się do niego w sprawach duchowych. Kaznodzieja prosił o wstawiennictwo patrona miasta, aby był on dla wszystkich przykładem żywej wiary, wierności Bogu i sta-

ranności w wykonywaniu swoich obowiązków.

Tegoroczną uroczystość uświetnił swoim śpiewem chór „Dzereło” („Źródło”) z parafii św. Jana z Dukli w Żytomierzu. Zabrakło jedynie pielgrzymów z rodzinnego miasta świętego – Dukli, którzy w poprzednich latach przyjeżdżali do Lwowa.

Po zakończeniu liturgii lwowski metropolita Mieczysław Mokrzycki podziękował o. Dobrosławowi Kopysteryńskiemu za to, że co roku przybywa tutaj ze swoimi współbraćmi, aby również lwowian włączyć w swoją

modlitwę, zanoszoną do Boga za pośrednictwem św. Jana z Dukli. Wypraszają w niej potrzebne łaski dla swego zakonu, modlą się o swe uświęcenie i za tych wszystkich, którzy czczą tego świętego jako swego orędownika. „W sposób szczególny św. Jan z Dukli wstawia się za mieszkańcami naszego miasta” – podkreślił metropolita lwowski. Przypomnił, że święty bardzo ukochał to miasto, „dlatego obrało go ono sobie za patrona”. Dodał, że Lwów doświadczał jego szczególnej opieki, obrony przed zarazami i kłeskami żywiołowymi, o czym świadczą

obrazy na ścianach w prezbiterium. Arcybiskup Mokrzycki zapowiedział również, że w przyszłym roku odbędą się obchody 600. rocznicy urodzin św. Jana z Dukli. Dziękując wszystkim obecny za wspólną modlitwę, życzył im, aby ten święty patron „nadał orędowną za nimi i aby spoglądał na miasto z wielką miłością i życzliwością”.

Do roku 1946 w ołtarzu lwowskiego kościoła i klasztoru bernardynów p.w. św. Andrzeja spoczywała trumna z relikwiami św. Jana z Dukli. W czasach sowieckich, aż do 1990 r. w zdevastowanej świątyni znajdował

się magazyn. Obecnie gospodarzami dawnego konwentu bernardynów są bazylianie. Po II wojnie światowej jego relikwie wywieziono do klasztoru bernardynów w Rzeszowie, a następnie do Dukli, we Lwowie władze komunistyczne usunęły nawet jego figurę z kolumny przed kościołem. W mieście wśród wiernych, zwłaszcza starszych, trwała żywa pamięć i jego głęboki kult. Uwieńczeniem szeregającej się czci tego świętego były nawiedzenie Dukli przez Jana Pawła II i kanonizowanie przezeń św. Jana w Krośnie 10 czerwca 1997 roku.

Nasz bliźni „Don Juan”

W ramach projektu „Most Kultury”, którego organizatorem jest Konsulat Generalny RP we Lwowie oraz Biuro Wystaw Artystycznych w Kielcach, po raz kolejny mogliśmy się przekonać jak sztuka swoim uniwersalnym językiem przemawia do ludzi. Tym razem Stowarzyszenie Artystyczne „Teatr Ecce Homo” z Kielc przedstawiło spektakl „Don Juan”. Za podstawę spektaklu służy tekst Moliера uzupełniony cytataми z „Don Juana” Byrona. Przedstawienie wyreżyserował Stanisław Miedziewski.

EUGENIUSZ SAŁO tekst i zdjęcia

Spektakl zrealizowany jest w stylu komedii dell'arte, gdzie ważną rolę odgrywa plastyka, maska oraz improwizacja. Wykonawcy dobrze wyczuli przestrzeń i formę, mieli ustalone maski, tworząc obrazy archetypowe, gdzie cała historia może odbywać się w kółko.

Widzimy fragmenty scen Don Juana (Michał Pustuła) i jego wiernego sługi Sganarela (Marek Kantyka), którzy popadają w różne sytuacje, z których wychodzą obronną ręką. Don Juan jest rozczerwany ciągłymi łatwymi podbojami w kolejnych związkach, znudzony życiem i wiecznie niezadowolony i boi się śmierci. Donna Elwira w wykonaniu Katarzyny Kluk w czarnym woalu z trupa czaśzką na pelerynie przypomina mu, że na każdego przychodzi czas. Memento Mori czyli pamiętaj o śmierci.

Przestrzeń sceny wypełniają jedynie czarne parawany i dwa krzesła, które tworzą aluzyjną i zarazem

funkcjonalną scenografię. Muzyka Johana Sebastiana Bacha jest motywem przewodnim i nadaje fatalizmowi całemu spektaklowi.

Don Juan w wykonaniu Michała Pustuły nie jest uwodzicielem, a filozofem i sam wybiera co wolno, a czego nie wolno. Najwyraźniej to widać w scenach z Karolcią (Agata Orłowska), Małgością (Aleksandra Styrzyc) i Piotrusiem (Mikołaj Bieda). Gardzący otoczeniem starzejący się mężczyzna o chłodnym intelekcie, w scenie z Żebrakiem (Mikołaj Bieda) rzuca wyzwanie Bogu. „Molierowski „Don Juan” – to nasz bliźni. Ktoś bardzo dzisiejszy. Wszechobecny, fotogeniczny uwodziciel, dający sfalszowane recepty na życie, jako obowiązkową zabawę. Fascynujący kłamca, podsuwający zwierciadło, w którym widzimy siebie” – pisze reżyser Stanisław Miedziewski. Do spektaklu wybrał tylko ważne sceny jakby akcentując na tym, że nawet w obliczu śmierci przy spotkaniu z Komandorem (Karol Górski) Don Juan nie zmienia się, a do swojego życia podchodzi z ironią.



Don Juan i jego wierny sługa Sganarel

Ciotunia w Przemyślu

Jedna z najbardziej zasłużonych placówek kulturalnych – działający od ponad 140 lat teatr „Fredreum” z Przemyśla – zorganizował po raz czternasty Przemyską Wiosnę Fredrowską. W trakcie Wiosny odbywają się przedstawienia teatralne i imprezy towarzyszące, związane z twórczością wielkiego komediopisarza. W roku 220 rocznicy urodzin pisarza, ogłoszonego na Podkarpaciu Rokiem Fredry, 29 czerwca br. Polski Teatr Ludowy ze Lwowa przedstawił przemyskiej publiczności swoje najnowsze przedstawienie – „Ciotunia” Aleksandra Fredry.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI tekst i zdjęcia

Tym spektaklem teatr ze Lwowa przed tygodniem uświetnił uroczystości związane z odsłonięciem pamiątkowej tablicy na dworcu Fredrów w Bełkowskiej Wiśni, a kolejny spektakl został zagrany w Przemyślu. Jest to kolejna sztuka, z którą lwowski teatr gości na scenie „Fredreum” na Zamku Kazimierzowskim. W swoim repertuarze od pierwszych lat istnienia Polski Teatr Ludowy niejednokrotnie zwracał się do twórczości Fredry. Ostatnio przygotowana „Ciotunia” jest dziełem bardzo kameralnym, które może być wystawione z minimalną ilością dekoracji. Dzięki uprzejmości teatru przemyskiego udostępniono z wyposażenia wnętrz zamkowych do przedstawienia najważniejszy rekwizyt – kanapkę – wokół której toczy się cała akcja.

Przedstawienie odbyło się w wyremontowanej sali na Zamku Przemyskim, która jest stałą siedzibą „Fredreum” od 1884 roku. Sali przywrócono pierwotny wygląd: dodano



Zbigniew Chrzanowski

balkon, obejmujący salę z trzech stron, poprawiono akustykę sali i uzupełniono teatralne wyposażenie. Znacznie poprawiło to komfort przygotowania do przedstawienia i jego realizację.

Przemyska publiczność gorąco przyjęła występ lwowiaków. W trakcie spektaklu salwami śmiechu i brawami przyjmowała akcję na scenie, a po spektaklu na stojąco długo brawami

i kwiatami nagradzała aktorów. Występ przed tak wymagającą publicznością w tych murach, dla aktorów ze Lwowa też był przeżyciem, a gorące przyjęcie najlepszą nagrodą za pracę nad spektaklem. Wyjazd do Przemyśla był też okazją do spotkań z przemyskimi kolegami. Po spektaklu snuto plany na przyszłość, omawiano koncepcje reżyserskie, roz-



Wiktor Lafarowicz i Luba Lewak

mawiano o wymianie spektakli przez oba zespoły. Zbigniew Chrzanowski zaprosił zespół „Fredreum” do Lwowa na uroczystość 55-lecia Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie, która odbędzie się we wrześniu br. Wzajemne spotkania obu teatrów są

tradycyjne, współpraca trwa już od lat, a rok jubileuszowy stał się okazją do kolejnych spotkań. Przykro, że mimo odległości niecałych 100 km pomiędzy Lwowem a Przemyślem, te spotkania są sporadyczne i nieregularne.

Róża i Kamień. Podróże na Kresy



oklip.jaroslaw.pl

Mariusz Olbromski

Niedokończone Msze

W ruinach świątyni – Koloseum ciszy,
bo ktoś jeszcze dojrzy i ktoś usłyszy
tych, co klęczeli tam wobec Miłości –
tak rozmodlonych przed ołtarzem,
tych strzelających im zniecka
w plecy,
bijących siekierami, widłami na osłep.

Głucho w świątyniach tych,
ciągle wilgotno,
gdzie wielki łopian latem chroni
piski myszy,
gdzie każdy kamień skamieniał
ponownie,
widząc – tu serca uniesione –
tam buchające
ogniem nienawiści i sceny –
które przerosły piekło dantejskie...

Nie wszystko – cząstkę prawdy
ten pochwyli,
kto w ciszy chwilę jedną
choć przykłąknie.
Któż pojmie i ogarnie
Msze niedokończone,
które wciąż trwają – w niebie –
święte –
Rosną na nowo w strumieniu
modlitwy.

Ballada wołyńska

„Jesteś tam Janku”? „No, trwam
Anuś,
choć na kawalki wtedy cały
posiekany.
Wciąż jesteś piękna, choć minęły
lata,
jak wtedy gdy szliśmy
przez brzeźniak,
a obok czeremchy stały
w stroju białym,
zmierch gęstniał i wilgi śpiewały”.

„Jeszcze je słyszę,
nadal widzę ciebie,
nasze wesele pod lipami.
Grała kapela...
Pomnisz, bociek na strzesze klekował
i rojne gwiazdy nocą nad nią drżały”

„Czemu rwiesz kwiaty z prochu mego
na tym ugorze, gdzie stał dom
błękitny
i dobra wieś serdeczna,
kwitły sady?”
„Muszę już jechać, bo autobus czeka.
Ta chwila pustki – szczęścia – tutaj
znowu rozbłyśnie między nami.
Niech polny kwiat chociaż zostanie”.

Stara kobieta chodzi w pustym polu,
z laską, zgarbiona,
płaszcz ortalionowy.
„Hej, proszę pani! Pora już nam
wracać!
Do kwiatków mówi i nie słyszy
wcale”.

MARIUSZ OLBROMSKI – polonista, filolog klasyczny, muzealnik opublikował książki poetyckie: *Dwie podróże*, *Niepojęte, niewysłowione*, *W poszukiwaniu zagubionych miejsc*, *Poemat jednej nocy* oraz *Lato w Krzemieńcu*. *Legendy znad lkwy*, a także zarys historii literatury polskiej będący zarazem bogato ilustrowanym albumem zdjęć – *Śladami słów skrzydlatych. Pomniki pisarzy i poetów polskich na Kresach południowych dawnej Rzeczypospolitej*.

Jego książki o tematyce kresowej fascynują czytelników wnikliwym opisem tej przestrzeni kulturowej związanej z naszymi dziejami, o której pisał już Mikołaj Rej, a później Juliusz Słowacki, Henryk Sienkiewicz, Zbigniew Herbert i wielu innych. Olbromski w swej twórczości kontynuuje ukraińską tematykę, wnosząc zarazem do tej bogatej panoramy bardzo osobisty i współczesny ton.

Róża i Kamień. Podróże na Kresy to najnowszy zapis peregrynacji do Lwowa, do Krzemieńca, do Drohobycza, na magiczną w ujęciu tej poezji ziemię podolską i wołyńską... To panorama nasyciona głębią przeżyć, intuicji, pamięci i wizji...

Autentyczność – kategoria, którą czytelnik poezji raczej czuje niż potrafi zdefiniować i ująć konceptualnie jest cechą wierszy Olbromskiego. Czuje się, że autor dotykał wszystkimi zmysłami świata, który czyni przestrzeń swjej liryki. Zarazem jednak doświadcza jego nieuchronnego przemijania i stąd wyraźny ton elegijny. Pobrzmiwa on zresztą nie tylko nutą osobistą, ale i głosami poetów przeszłości...

Grażyna Halkiewicz-Sojak

Wiersze są pogrupowane w działy, pewnego rodzaju opowieścią o tym, że istnieje ciągłość, mimo tego, że zazwyczaj doznajemy intensywnie tylko chwil bieżących, albo w bieżącym czasie tych pojedynczych, wylawianych z morza przeszłości, z oceanu pamięci. Bo poeta wierzy, że tak naprawdę to chwila naszego spojrzenia, poświęcenia uwagi, refleksja są zagęszczaniem w pamięci. Poezja bowiem może utrwać i ocalać, a poeta ma moc, by przeżytej chwili, doznaniu, odczuciu nadać kształt jedyny i niepowtarzalny. To mgnienie wyrzeźbione słowem czyli apoteoza chwili szczególnej...

Jan Wolski

Z okazji obchodów 70. rocznicy tragedii wołyńskiej, publikujemy wiersze Mariusza Olbromskiego z książki *Róża i Kamień. Podróże na Kresy*, z cyklu „Niedokończone Msze...”.

Silnik się grzeje, klakson się
odzywa.
Już czas wyruszać w dalszą drogę.

Nocne dumania

Nie bój się stapać po wołyńskich
drogach,
bo może niebo zasklepiło
głębie ran,
a całun ciszy pokrył morze jęków
krwawe
i wiatr już wywiał twogę pożóg w dal.

O, nie myśl ciągle, że gdy tu się
idzie,
trzeba by całą przestrzeń pokryć łą
i stawiać tutaj ciągle krzyż
za krzyżem,
ale modlitwę cichą z sercem zwiąż
za męczenników, których prochy
pokrywa łą anielska wieczorami
srebrzystą rosą z jarów, z pól i łąk.

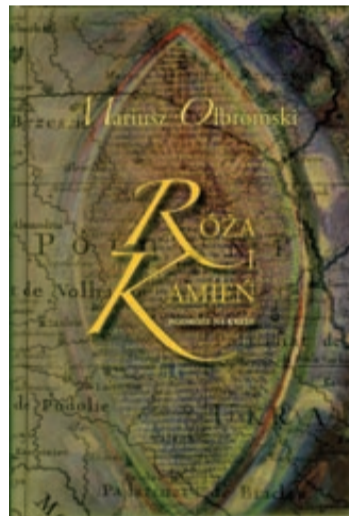
Nie jesteś sam. Nie jesteś
wszakże sam tu pośród pustki,
kiedy gwiazda spada
i gdy niebiosą drżą, a dusza jest
jak biała chusta, gdzie się odciska
zarys twarzy mgłą.

Cisza pełna obecności

Wyjechały Madonny ze swymi
wiernymi,
w bydlęcych wagonach, z płaczem
i modlitwą,
w chuście zawiniętą garstką ziemi
ojców,
z prastarym żarnem,
dziecięcą kołyską.

I tylko cisza trwa tam
pełna Obecności
wśród pogorzeliśk świątyni
i zniszczenia,
bo wszystko nadal jest tam święte:
próżna ołtarzy, kości rozwleczone,
szerniałe freski, nadpalona belka.

Pusto tam dziwnie deszcze tylko
szepczą
zdrowaśki przez dziurawe dachy,
kadzidla mgieł się rankiem
wznoszą.



Słońce odprawia drzące
podniesienia,
w organach nagle wiatr zahuczy
basem,
żywym kobiercem pachnie ziemia.

Czasem ktoś bramę tylko tam uchyli
i wtedy – drży powietrze jak serce.

Do wygnańca

Nie patrz tak ciągle w luny i pożary,
choć zgasły – w oczach twoich drżą.
Nie trwóż gdy stają wzdłuż granic
upiory
w mosiądz zastygłe
i ciekące krwią.

Wiem: nie mam prawa
młodszy o cierpienie, o otchłań
katakliczną lat.
W twych snach się jawią porabane
cienie
i czas gdy matkę twoją piłą rznął
nasz brat.
Palce miał z noży –
obłąd w oczach – jak wilk po nocy
w senność domu wpadł.

Wiem, żeś wygnańcem,
tam gdzie chwila
i każdy dzień już nie ma słońca
ciszy,
aby nie mącił go jęk tamtych chwil.
Zgasły pożary, lecz serce nadal
płonie,
bolesnym skurczem nagle drży.

Nam trzeba jednak róż naręcza
składać
i dalej z nimi w przyszłość iść.
Pomniki nienawiści
miłość w końcu stopi.
Z popiołów tryśnie bzu anielska
kiść.

Grupa „Wołyń”

Dręczyły ich sny
w sielskich krajobrazach
i znikąd – nagle –
apokaliptyczne roily się noce.
Leciały słów żurawie
z mglistych światów
i step kładł na nich przestrzeń
swej tęsknoty,
roztaczał telluryczne,
z dawnych mogił moce.

Wolność i młodość rozkwitały
jak wiosna,
w sadach wiśniowych zapodziali
serca i oczy,
kiedy pieśń polska z ukraińską
stawały się jedną
i przeplatały sto ramion czarownic
niż Stochód.

Po jarach dzwoniły
błękitne dzwoneczki,
a lipy w pogodę huczały
swą słodyczą,
dzwoniła cisza
i pachniała szczęściem,
konie przeżuwały gwiazd srebrzysty
owies,
gdy stopy wędrowca grzęzły
w mlecznej drodze,
dłonie chwytaly meteory.

We wrześniu w dymach kłęski
odlecieli,
by widzieć ciągle z dala gniazdo
swej tęsknoty
i śpiewać Wołyń – wracać
bez powrotu –
i łączyć czasy – kraje – kontynenty.

Jeszcze nad globem ciągle drżą
ich głosy
i słowa tworzą mapy święte.

Nie żebym ludziom tu nie życzył
szczęścia...
Niechaj się cieszą słońcem
i spokojem,
lecz nie odwróć też oczu
od krzyży
i tylu miejsc zarosłych
bez krzyży
w tej świętej ziemi prochów
i popiołów.

W tej ziemi skrzydłem
ognia uniesionych
wielu pałaców, setek wsi i dworów,
w tej ziemi tylu zrujnowanych
świątyni zamkniętej polskiej mowy
najśpiwniejszej,
jak puste pola są
po ściętym zbożu.

O, nie turystą tutaj jestem
zabłąkanym,
bo serce me lirnikiem ślepy,
który widzi i świetnościami
w dziejach zapodzianych
wciąż syci swoją cichą pieśń.

Dialog z żywymi rzuca tęczę blasku,
jak z wież kościelnych płyną
czysto tony,
lecz słyszę tu też dźwięki
zakopanych dzwonów
i głosy, których nie ma...
jak trzepot aniołów.

Bo to, co było wielkie –
ciągle jeszcze woła.
A to, co było czyste – jak krynica
płynie
i w innych ziemiach może wznieść
ogrody
i w oknie nagle zjawę róży wyśnić.

Ocalenie

To, co raz wzbudzi zachwyt –
pozostaje,
bo w duchu kamień trwalszy
od natury.
Na tym kamieniu gmach wyrasta
cały,
latami ogromnieje, ma kryształu
strukturę.

Tyle razy stawałem w zachwyceniu
tu, na Kresach, a niezwykle były
zwyczajne rozmowy, twarze –
zapisy losu,
żywe mapy dziejów, dialogi
z obrazami,
i zapisami nut tutaj uchwyconych.

Kresy to pól oblicza Matki
przesłonięte
jak Częstochowskiej
jedno zsiękane oblicze.
Pani Łaskawej ze Lwowa
anioły tęczą lecące w narody –
podwójnie niewidzialne,
bo zapodziane w naszym innym
życiu.

Kiedy tam staniesz – w lustrze
widzisz siebie
jakby nad Dniestrem wstały ranne
zorce,
ciszę Wawelu pojmiesz
nagle w sobie
i dwóch poetów milczących
swe wiersze
nagle inaczej i głośno je powie.

I dzwon Zygmunta dźwięków falą
tryśnie, jak pęki
wiosną rozchylone.

Obrona Huty Stepańskiej

Rzymskokatolickie parafie, Huta Stepańska i Wyrka, wraz z okolicznymi przysiółkami w dolinie rzeki Horyń, były jakby polską wyspą na ukraińskim morzu, której próbę zatopienia w krwi podjęła OUN-UPA 17 lipca 1943 roku. Dzięki roztropności i dzielności obrońców Huty, parę tysięcy Polaków uszło z życiem.

JACEK BORZECKI
tekst i zdjęcia

Huta Stepańska została założona „na surowym korzeniu” w XVIII wieku przez Jakuba Sawickiego, polskiego szlachcica przybyłego spod Żytomierza. W ciągu następnego stulecia w okolicy powstawały wioski i kolonie zasiedlone – tak jak i Huta – przez zubożałą polską szlachtę tzw. zagrodową. Stąd też mieszkańcy nosili nazwiska takie jak np.: Lipińscy, Naumowiczowie, Wiatrowie, Harewicze, Sulikowscy, Popławscy, Horoszkiewicz, Bukowscy, Kwiatkowscy, Piotrowscy, Myszakowscy, Janiccy, Kobylańscy, Domaszewicze, Chorażyczewscy, Myczewscy, Konwerscy itp. Wszystkie rody osiedlone od dawna w Hucie Stepańskiej i w okolicy były rodami szlacheckimi i dlatego mieszkańcy tych wiosek nigdy nie podlegali pańszczyźnie.

W 1943 roku Huta liczyła ponad 220 domów (gospodarstw). W latach 30. w pobliżu Huty powstało sanatorium tzw. „Słone Błota”. Parafia huciańska była bodaj największą parafią na Wołyniu – liczyła 4253 osoby, a rozciągała się na przestrzeni około 20 na 10 kilometrów.

Pierwsze mordy w Hucie

Stanisława Guzowska, z domu Roman, mieszkająca obecnie w Białej Podlaskiej, urodziła się w 1929 roku w Hucie Stepańskiej, w rodzinie właściciela restauracji, byłego legionisty. Wspomina, że gehenna Polaków w tej wiosce zaczęła się już wczesną wiosną 1943 roku od mordu w pobliskim majątku ziemskim:

- Pierwszą ofiarą w naszej miejscowości było narzeczeństwo – Jadzia Jucewiczówna z huciańskiego sanatorium w Słonach Błotach i Edward Kalus. Moja najstarsza siostra Wanda miała być pierwszą druhną na ich ślubie. Edzio był głównym księgowym w majątku ziemskim w pobliskiej wiosce Butejki i pojechał tam ze swoją narzeczoną aby przedstawić ją zarządcy majątku i zaprosić na ślub. Zasiadli się w gościach i pora była już późna, więc przyjęli propozycję przenocowania. I właśnie tej nocy banderowcy napadli na dwór i zamordowali całą rodzinę zarządcy wraz z małymi dziećmi oraz tę młodą parę. Wszystkim obcięto głowy toporem na pniu do rąbania drewna. Byłam wstrząśnięta, gdy te trumny wnoszono do kościoła w Hucie Stepańskiej. To były pierwsze ofiary banderowskich zbrodni w naszej najbliższej okolicy. Później były drugie ofiary w rodzinie Piotrowskich – i kolejne, kolejne.

Przygotowania do obrony i początek ataku

Po tych tragediach i po mordzie w Parośli, mieszkańcy Huty wiedzieli, że muszą się uzbroić i przygotować do obrony przed banderowcami.



Janusz Horoszkiewicz ze swoim synem oraz ojcem, który przeżył obronę Huty Stepańskiej

Już od kwietnia 1943 roku pomagał organizować tutejszą samoobronę porucznik Władysław Kochański („cichociemny”, pseudonim „bomba” – później okoliczne dzieci nadały mu pseudonim „wujek”), który zawiązywał w tej okolicy sieć Armii Krajowej.

Oddziały UPA, które w niedzielę 11 lipca 1943 roku dokonały masakry ludności polskiej w niespełna stu wioskach, w powiatach horochowskim i włodzimierskim, w ciągu kilku następnych dni zgrupowały się w rejonie Stepania. Pogrom rozpoczął się 16 lipca o godz. 22, kiedy to tysiące ukraińskich chłopów, zmobilizowanych i dowodzonych przez upowców,

nili się w Hucie Stepańskiej, będącej najsilniejszą samoobroną w tej okolicy, prawie dorównującą słynnej wiosce Przebraże.

Ucieczka do Huty

O ucieczce do Huty Stepańskiej opowiada Andrzej Bukowski z Wrocławia, opierając się na wspomnieniach swoich dziadków oraz stryjka Zygmunta.

Bukowscy żyli w niewielkiej (42 gospodarstwa) polskiej wiosce Stara Kamionka. Byli przygotowani, że w przypadku banderowskiego ataku uciekną do oddalonej o 3 kilometry Huty Stepańskiej. Na furmance mieli

w trakcie oblężenia następnej nocy, dziadek Bukowski zaryzykował i wyprawił się do pozostawionej furmanki, z której udało mu się przynieść nieco żywności i tytoń. W Hucie, nie mając broni palnej, trafił do oddziału tzw. kosynierów, uzbrojonych we własnej roboty piki, dzidy i kosy przekute na sztorc. Dzięki czujności nocnej warty i wcześniejszym przygotowaniom do ucieczki, większości mieszkańców Starej Kamionki udało się zbiec do Huty Stepańskiej – zginęło 11 osób. Pomnik-krzyż na miejscu nieistniejącej wioski Stara Kamionka stanął w 2010 roku. Ufundowała go rodzina Bukowskich a postawił Janusz Horoszkiewicz.

Oblężenie

Huta Stepańska, w której liczba mieszkańców i uchodźców z sąsiednich miejscowości sięgała w sumie około czterech tysięcy osób, była dobrze przygotowana do odparcia ataku. Głównym punktem obrony wewnątrz wioski była nowo zbudowana szkoła. Ten murowany, piętrowy budynek był, niczym forteca, wyposażony w gniazda karabinów maszynowych. Mury chronione były przez osłonę z desek z warstwą ziemi i specjalną siatką, od której odbijały się granaty wystrzelwane z granatników przez oblegających wioskę upowców. Budynek był też podminowany, bo w przypadku gdyby ataku banderowców nie udało się odeprzeć, obrońcy woleli wysadzić się w powietrze aniżeli dostać w ręce oprawców. W klasach szkolnych znalazły schronienie matki z dziećmi przy piersi i kobiety z zaawansowaną ciążą (zdarzyły się nawet porody). Z kolei kobiety z małymi dziećmi umieszczono w umocnionych oko-

pach wokół budynku. Na obrzeżach wioski były zbudowane bunkry stanowiące główny pierścień obronny.

Po oblężeniu Huty przez banderowców, dowództwo nad obroną wioski przejął od rannego Jana Szabelskiego doświadczony oficer Władysław Kochański. Pomagało mu w dowodzeniu kilku podoficerów rezerwy. Por. Kochański przewidział, że Ukraińcy będą pozorowali atak od strony Stepania po to, by odciągnąć obrońców od przeciwnej, najbardziej niewralgicznej strony, gdzie krzaki i drzewa podchodziły prawie do wioski. Dopilnował więc, aby rozmieszczeni w bunkrach i okopach obrońcy, pod żadnym pozorem nie opuszczali zajmowanych stanowisk. I rzeczywiście, banderowcy natarli początkowo od strony Stepania, po czym główny atak nastąpił od strony lasu. Przygotowani na to obrońcy, odparli oba ataki, zadając napastnikom dotkliwe straty.

Po trzech dniach oblężenia i odparcia kolejnych ataków, zapasy amunicji były już na ukończeniu i dalsza obrona miała coraz mniejsze szanse powodzenia. Do obrońców docierała świadomość konieczności wycofania się z wioski, przebiecia się przez oblegające siły upowskie i dotarcia do odległych o ponad 30 kilometrów stacji kolejowych, chronionych przez żołnierzy niemieckich. Gdy 18 lipca nad ranem pojawiła się gęsta mgła, część mieszkańców, bez uzgodnienia z dowództwem, podjęła decyzję o wymarszu. Około tysiąc osób – część na furmankach ustawionych w dwóch rzędach, a część pieszo – zaryzykowało opuszczenie wioski-fortecy.

Próba opuszczenia Huty

Opowiada Stanisława Guzowska: „Siedzieliśmy z młodszym o 4 lata bratem na naszym eleganckim, dużym wozie, zaprzężonym w parę pięknych koni. Kolumnę żegnał – z przyniesionym z kościoła Najświętszym Sakramentem – ksiądz proboszcz Drzepecki, który błogosławił nas i mówił: *Kochane dzieci, może wy jesteście godne u Pana Boga, módlcie się. I zaintonował „Pod Twoją obronę”*. Ale to nie był śpiew, tylko jeden wielki szloch. Wszyscy płakali. Mój dziadek Krawczyński, który nie chciał jechać, powiedział do mojej mamy: *„Franiu, ty jedź z dziećmi a ja tu zostanę, trudno, zginę to zginę”*. No i mamusia zostawiła nas na tym wozie z ludźmi i pobiegła na chwilę do dziadka. Miała zaraz wrócić, ale tymczasem czołówka dała rozkaz do wyjazdu w kierunku na Wyrkę i cała kolumna ruszyła. Mama już nie zdążyła wrócić. A wozy jechały i jechały, bo to przecież były tłumy, chyba tysiące ludzi. Mgła była niesamowita. Gdy dojeżdżaliśmy do Wyrki, banderowcy, przepuściwszy czoło kolumny, zaczęli strzelać z karabinu maszynowego. I te ich okropne



Stanisława Guzowska rozmawia z prawosławnym księdzem ze Stepania, który potępił czystkę etniczną na Wołyniu

zaczęły podpalać jednocześnie kilkadziesiąt pomniejszych polskich wiosek i kolonii, mordując mieszkańców i rabując ich dobytek. Był to łatwy łup, bo te przysiółki i kolonie były zbyt małe, aby móc się skutecznie bronić. W tę jedną noc spalonych zostało kilka tysięcy domów i zabudowań gospodarczych.

Polacy, którzy z tego zmasowanego napadu uszli z życiem, schro-

spakowane najważniejsze rzeczy niezbędne do przeżycia. Na sygnał wioskowej nocnej warty o rozpoczęciu ataku banderowskim, rodzina Bukowskich z załadowaną furmanką rzuciła się do ucieczki. Niestety, podczas przejeżdżania w bród przez rzeczkę Gołubicę, obciążony wóz ugrzązł. Trzeba było wyprząć konie i uciekać bez niczego. Szczęśliwie schroniwszy się w Hucie, już

krzyki: „Hurra! Bić Lachów! Rezać lachów! Hurra!”

W tym momencie mój 10-letni brat, który zawsze na boisku szkolnym bawił się z chłopakami w strzelców, krzyknął do mnie: *skaczymy z wozu!* I niczym mały dowódca, rozkazującym głosem mówił: *czolgać się, czolgać!* Czolgając się, uciekałam od tych strzałów. Do dzisiaj mam na kolanie szramę od drutu kolczaste-go. Nie znalazłam Wyrki. Wydawało mi się, że jestem wśród zbóż. I tylko ten straszliwy obraz: wozy poprzewracane, porozrzucane pierzyny, konie pobite. Ludzie leżący tu i tam – jedni martwi, inni ranni. Krowy chodzące dookoła i ryczące, bo nie były dojone. Zauważyłam spaloną blachę i zorientowałam się, że to resztki spalonego kościoła.

Zaczęłam uciekać taką dróżką pomiędzy zbożami, a zboża były piękne tamtego roku. Nagle usłyszałam za sobą tętent konia. Pomyślałam: to na pewno banderowiec. A więc to już koniec! Zaraz zarobie mnie siekierą albo zakłuże widłami. Zrezygnowana, nawet nie oglądając się, stanęłam przy stojącej tam małej kapliczce i zaczęłam się gorąco modlić. Nagle, w jednym momencie, jakby lotem błyskawicy, znalazłam się na grzbiecie konia. Na moje szczęście, to galopował jeden z naszych zwiadowców z czoła kolumny. Wspaniały młody mężczyzna, o proszę, mam tu jego zdjęcie. Bez zatrzymywania się, w pełnym biegu chwycił mnie za sukienkę i jednocześnie podniósł sprawnym ruchem nogi. Strzelano za nami z karabinu maszynowego, ale szczęśliwie omijały nas kule. Zajechaliśmy do lasu, gdzie była duża grupa rozbitków z czoła kolumny. Mój wybawca tam mnie zostawił mówiąc: *to jest polska dziewczynka*.

Byłam uratowana, choć bosa i w porwanej sukience. Czulałam się, jakby podarowano mi drugie życie. Z tymi rozbitkami dotarliśmy bezpiecznie do stacji kolejowej w Grabinie. Tam Niemcy podstawili wagony, bydlęce wagony, aby zawieść nas do Sam. Wszedłam do wagonu, podniosłam

głowę, spojrzałam – a tam stał mój brat! Rzuciliśmy się sobie w objęcia z wielkim płaczem, bo ludzie mówili, że Huta Stepańska już nie istnieje, że została wysadzona w powietrze. Nie wiedzieliśmy, co stało się z naszymi rodzicami i dziadkami”.

Ewakuacja

Gdy Stasia Romanówna, uratowana przez bohatera zwiadowcę, wędrowała z grupą rozbitków z czoła kolumny w kierunku linii kolejowej, reszta furmanek wracała w płochu do Huty Stepańskiej.

Obrońcy, po zebraniu informacji co do rozstawienia sił banderowskich w okolicy, przeprowadzili taktyczny atak na pozycje banderowców w okolicy Stonych Błot, po czym por. Kochański zarządził ewakuację. Wszyscy Polacy opuścili Hutę Stepańską w uporządkowanej, kilkukilometrowej kolumnie furmanek, osłanianej przez uzbrojonych obrońców, a dodatkowo także przez gwałtowną popołudniową burzę. Przed nocą dotarli do kolonii Hały, gdzie – po stoczeniu zwycięskiego boju z niewielkim oddziałem banderowców – urządzili warowny obóz i tam przemocowali. Ta polska wioska, licząca około 100 gospodarstw, miała własną dość silną samoobronę. Po odparciu ataku banderowców 16 lipca, mieszkańcy wycofali się do pobliskiej stacji kolejowej w Rafałowce. Do Rafałowki dotarli też, bez żadnych strat, kolumna uchodźców z Huty Stepańskiej. Stamtąd większość polskich rodzin dobrowolnie wyjechała na roboty do Niemiec, część znalazła schronienie u krewnych i znajomych w większych miastach, a młodzi mężczyźni stanu wolnego wstąpili do oddziału partyzanckiego, sformowanego przez porucznika Kochańskiego.

Następnego dnia (19 lipca) zaskoczeni banderowcy wkroczyli do opuszczonej przez Polaków Huty Stepańskiej. Wyszadzili w powietrze budynek szkoły i doszczętnie spalili zabudowania, nie szczędząc nawet kościoła.



Minister Andrzej Kunert trzyma obraz spalonego przez UPA kościoła w Hucie Stepańskiej

Wystąpienie Janusza Horoszkiewicza w Hucie Stepańskiej – 13 lipca 2013 r.

Bracia i siostry,
Ukraińcy i Polacy!

Bogu niech będą dzięki, że pozwolił nam się tu zebrać. Dziękuję Wam wszystkim za trud który włożyliście, aby tu przybyć, na tą uroczystość.

W tych dniach przypada, 70. rocznica „Tragedii Wołyńskiej” która na długie czasy podzieliła nasze bratnie narody. Dziś wspólnie dążymy do Ich wzajemnego zbliżenia, tą uroczystością, temu ma służyć. Więcej nas łączy niż dzieli.

Pozwólcie szanowni zebrani że przedstawię kilka faktów z trudnej historii.

Osadnictwo Polskie rozpoczęło się na tych ziemiach z woli Miłościwego Króla Polski i Wielkiego Księcia Litewskiego Władysława Jagielly – Panie święć nad Jego duszą. Wszystkie nadania potwierdził miłościwy król Stefan Batory. Nie byliśmy tu okupantami, ani kolonistami, byliśmy na tej ziemi z woli Królów od wieków, ta ziemia była nam ojczystą, innej nie mieliśmy.

Przywilej szlachectwa jaki posiadali nasi przodkowie nakładał na nas wiele obowiązków, do końca pozostaliśmy mu wierni. Trwaliśmy przy królach Polskich, wiernie Im służąc, we wszystkich wojnach uczestniczyliśmy, nasze męstwo było znane. Potem przyszły czasy zaborów, nie był już Rzeczpospolitej. Inni odstępowali tracąc wiarę, nadzieję i zatracali dusze, a my dalej trwaliśmy, zawsze wierni Polsce. Nie pozwoliliśmy się zrusyfikować, nie przeszliśmy na prawosławie, zachowaliśmy język ojczysty i tożsamość narodową. Wiedzieliśmy kim jesteśmy i znaliśmy swoje korzenie. Czekaliśmy na odrodzenie Polski.

Nastąpiła wreszcie niepodległość która trwała krótko, jedynie 20 lat, w tym czasie jednak Huta Stepańska z zapadłej wsi stała się kwitnącą osadą, znaną w całej Polsce za sprawą sanatorium Słone Błoto.

Upadek rozpoczął się wraz z wkroczeniem Sowieców w 1939 r., grabili tą ziemię, mordowali i zsyłali na Sybir, wreszcie przyszli Niemcy, Ci dokończyli śmiertelnego dzieła poprzedników. Czasy niemieckie kończyły się, a wraz z nimi zlikwidowani zostali w holokauście Żydzi, nasi sąsiedzi od wieków, którzy wcześniej stracili wszelką nadzieję.

Po nich przyszły banderowskie czasy, „wilcze czasy”, kiedy człowiek był dla człowieka śmiertelnym wrogiem. Tragizm polegał na tym, że tym razem wrogiem Polaka był sąsiad Ukrainiec, a wrogiem Ukraińca sąsiad Polak. Zagłębiając się w historię tej ziemi dowiadujemy się o rzeczach od których włosy siwieją, tu nie była już ziemia lecz przedsiónek piekła. Wszystko co złe pokazało swą moc, a prawa Boskie zostały zapomniane.

Wobec groźby biologicznego unicestwienia narodu, Polacy w Hucie Stepańskiej przygotowali się do walki, nie licząc na miłosierdzie wroga. Powołano dowództwo wojskowe na którego czele stanął sierżant Jan Szabelski i cywilnie na czele z kierownikiem szkoły Władysławem Kurkowskim, wybudowano bunkry i stanowiska bojowe, podzielono Hutę Stepańską na 6 sektorów obronnych. Wyczekując w pogotowiu nieuchronnego ataku, byliśmy przygotowani do śmiertelnej walki,



Krzyż na masowej mogile w Hucie Stepańskiej

banderowcy wiedząc o tym też się przygotowali.

Atak na rejon samoobrony Huty Stepańskiej i Wyrki rozpoczął się w nocy 16 lipca 43 roku. Rejon samoobrony Wyrki został szybko rozbity, a ludność w większości uciekła do Huty. Krwawe walki o Hutę Stepańską trwały do 18 lipca, o świcie tego dnia, grupa około 1000 osób samowolnie opuściła Hutę Stepańską, po dotarciu do Wyrki na moście, dostała się w zasadzkę gdzie kolumna poniosła wielkie straty. W obliczu nieuniknionej klęski z powodu braku amunicji, zapadła decyzja o opuszczeniu Huty Stepańskiej, co nastąpiło w południe 18 lipca 43 r. Nasz proboszcz, ksiądz doktor, rektor Bronisław Drzepecki udzielając absencji wiernym, błogosławił wyruszających w nieznaną. Świadkowie podkreślają wielką mistykę tego błogosławieństwa, które spłynęło na nasze pokolenia, tkwi w nas i daje siłę do dalszego życia.

Hucianie w śmiertelnej walce zatrzymali hordy banderowski, ocalonych zostało kilka tysięcy ludzi. Huta Stepańska nie została zdobyta, Hutę Stepańską Polacy opuścili z podniesionymi sztandarami. Wielu jednak nie dane było ująć z życiem, pozostali tu na cmentarzach, leżą też nie pochowani na polach, lasach i bagnach, czekają na naszą modlitwę. Liczba ofiar z naszej okolicy to ponad 600 zabitych – Panie zmiłuj się nad nimi.

Wszyscy Polacy którzy mogli z tej Huciańskiej ziemi poszli, Bóg miłosierny pozwolił nam znaleźć sobie miejsce w szerokim świecie.

Ta ziemia, choć piaszczysta, nieurodzajna, bogata była w ludzi. Jakże wielu wydała znamienitych obywateli: pracowitych gospodarzy, lekarzy, sędziów, profesorów, ministrów, ambasadorów, pułkowników, generałów i kapłanów. Wszyscy Oni tą ziemię bezgranicznie ukochali, tęsknili do Niej, a myślami ciągle tu byli obecni. Dziś już Ich nie ma, ale Ich duch tu pozostał.

Nieublaganie płynie czas, ubywa ostatnich parafian, wysyłając zaproszenia, otrzymałem wiele odpowiedzi „adresat zmarł”. Zaproszeń nie

odebrali, ale tu przybyli, są z nami, Ich duch unosi się tu.

Wstawiły się wszystkie dusze, wstawiła się dziś w to miejsce, Huta Stepańska, Halinówka, Wyrka, Omełanka, Grabina, Kamionka i Borek. Wstawiło się Parośle, Zadąbrowie, Koźle, Wilcze, Niemcze, Temne, Romaszkowe, Ożgowo, Tchory, Janowa Dolina, Siedlisko i wszyscy inni z naszych wsi.

Jest tu z nami nasz proboszcz, ks. Bronisław Drzepecki, jest ks. Jan Domański, ks. Konstanty Turzański, ks. Faustyn Lisicki, ks. Jan Szarek, jest tu Edward Kwiatkowski i generał Czesław Piotrowski, jest pułkownik Stefan Wawrzynowicz, przyszli polegli żołnierze Wojny Obronnej 39 r. i zmarli na Syberyjskich zesłaniach, są waleczni bracia Kopije z Zaulka, pobici Krasinkiewicz z Ziwiki, Brzozowscy z Siedliska i Chorażyczewscy z Wilczego, jest tu i kapitan Kochański, przyszli i sowieccy partyzanci z generałem Bryńskim i nasi sąsiedzi, wymordowani Żydzi. Przyszli bracia Ukraińcy, przyszedł Anton Dorofijewicz Kowalczyk, Piotr Ilkowicz Bazeluk, jest poczciwy Iwan Wołoszyn i Hryc Nowak co uratował ludzi z Mutwicy – Carstwo im niebieskie. Są tu księża męczennicy, jest ks. Biskup Ordynariusz Adolf Szelażek, jest z nami święta Teresa patronka Wołynia i Pani nasza, Matka Boska Kazimierzka.

Zeszliśmy się tu, by jeszcze raz pooddychać tym powietrzem, posłuchać tego wiatru i zatopić się w mgły poranne, pomni słów psalmu 103 „Dni człowieka są jak trawa, kwitnie jak kwiat na polu. Ledwie muśnie go wiatr, a już go nie ma, i miejsce, gdzie był, już go nie pozna”. Wiernie Ci, Panie Boże, służyliśmy, przechodząc przez dolinę Gehennon, wiarę zachowaliśmy. Dziś tu przyszliśmy, bo odeszliśmy tak nagle, bez pożegnania.

Pobłogosław nam, Panie Boże i wspomnij o nas w Miłosierdziu Swoim. Wspomnij Boże nasze zniszczone parafie, ludzi pobitych i sieroty płaczące. Wspomnij Boże Wołyńskie dzieci.

Niech imię Pańskie Będzie błogosławione!

Środowisko muzyczne Lwowa w latach 1772–1914

Lwów ma bardzo ciekawe i bogate tradycje muzyczne. W czasach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej w mieście działały kapele klasztorne, oraz prywatne zespoły muzyczne należące do kresowej magnaterii. W 1772 r., w konsekwencji pierwszego rozbioru, Lwów znalazł się poza granicami Rzeczypospolitej, stając się w rok później głównym ośrodkiem administracyjnym Galicji i Lodomerii – nowo utworzonej prowincji austriackiej. Stopniowo zaczął zmieniać się charakter miasta, na które politycznie i kulturalnie zaczął oddziaływać Wiedeń, ówczesna muzyczna stolica Europy. W mieście pojawili się Austriacy i Czesi, którzy działali tu wspólnie z Polakami i Rusinami. Z różnych zakątków imperium habsburskiego zaczęli zjeżdżać się tu kompozytorzy, muzycy i miłośnicy muzyki. Późniejsze dekady można już śmiało uznać za czas działalności na polu muzycznym i teatralnym wielu wybitnych osobistości. Wśród nich znajdowali się przedstawiciele wielu narodowości.



MICHAŁ PIEKARSKI

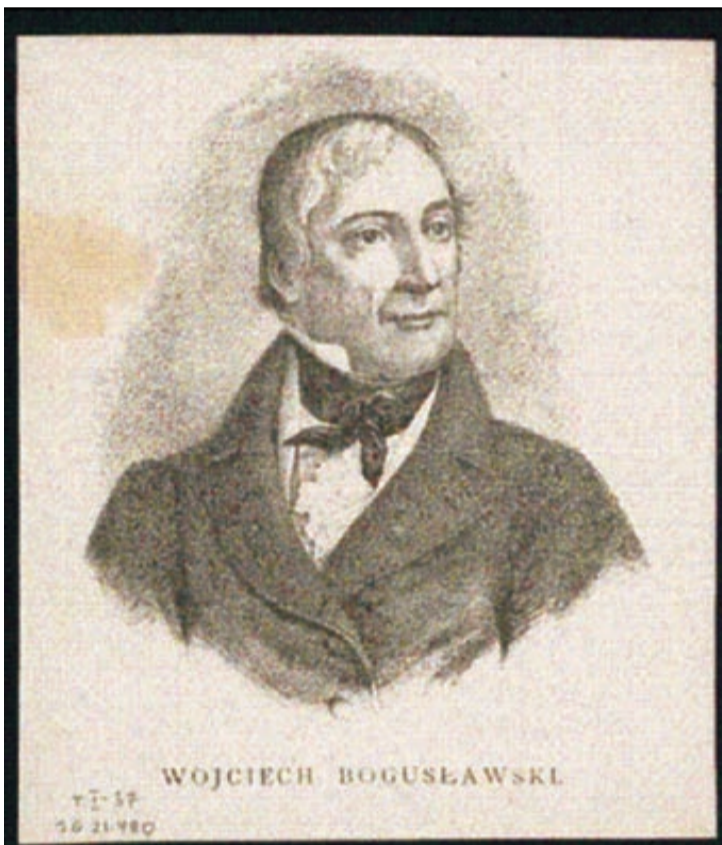
Na przełomie XVIII i XIX w. główną instytucją muzyczną we Lwowie był teatr. Od 1780 r. grano tu polskie sztuki, m.in. siłami trupy Tomasza i Agnieszki Truskolaskich. Lwowski teatr był od początku swego istnienia teatrem muzycznym, bowiem w jego repertuarze obok sztuk dramatycznych, grywanych zresztą często ze wstawkami muzycznymi, figurowały opery. W latach 1789–1818 prężnym dyrektorem lwowskiego teatru był pochodzący z Pragi Franz Heinrich Bulla, znany już wcześniej jako antreprenier wielu teatrów (m.in. w Budzie). Już w 1789 r. dzięki jego staraniom teatr zyskał nowy, solidny budynek wykorzystywany aż po rok 1842, a lwowska scena po raz pierwszy miała zapewnioną de facto, dłuższą niż dotychczas, nieprzerwaną egzystencję. W jednym gmachu działały dwa zespoły: niemiecki (ze stałą sceną operową) i polski (gdy wystawiał opery, to musiał wypożyczać orkiestrę od zespołu niemieckiego). Pomimo, że założenia miały być teatry niemieckie (wszak do miasta napłynęło wielu urzędników austriackich), to rząd tolerował także scenę polską. Była to jednak tolerancja szczególnego rodzaju, ponieważ zaborcy mieli w planach całkowitą germanizację kraju. Zbigniew Raszewski pisał, że władze austriackie „teatr polski traktowały jako rozrywkę, w zasadzie pożądaną, ale tylko dopóty, dopóki wszyscy się nie nauczą po niemiecku i nie zagustują w teatrze niemieckim”.

W latach 90. XVIII w. we lwowskim teatrze działał Wojciech Bogusławski (1795–1799), który wywarł istotny wpływ na dalszy rozwój życia muzycznego miasta, przyczyniając się zarazem do ożywienia polskiego życia kulturalnego. Wystawiono wówczas wielokrotnie m.in. operę polską „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale” Jana Stefaniego do libretta Wojciecha Bogusławskiego. W latach 1792–1799 kapelmistrzem

teatralnym był przybyły z Brna Józef Elsner. Początkowo pracował tylko dla zespołu niemieckiego, dla którego także komponował opery. Wkrótce jednak Bogusławski nawiązał z nim kontakt i namówił do pisania muzyki do librett polskich. Owocem tej współpracy były trzy dzieła sceniczne: melodramaty „Iskahar, król Guaxary” (1797) i „Sydney i Zumma, czyli moc kochania czarnej niewiasty” (1798) oraz opera „Herminia, czyli Amazonki” (1797). Następcą Bogusławskiego był Jan Nepomucen Kamiński – wieloletni dyrektor polskiej sceny w latach 1809–1842. Po śmierci Bulli w 1819 r. Jan Nepomucen Kamiński i Franz Kratter (nowy dyrektor sceny niemieckiej) zawarli umowę z władzami miasta o dzierżawę teatru. Zobowiązali się dawać minimum cztery przedstawienia niemieckie w tygodniu.

W drugim i trzecim dziesięcioleciu XIX w. z teatrem lwowskim związani byli liczni muzycy. Część z nich działała także poza teatrem. Wśród zatrudnionych muzyków do najwybitniejszych zaliczał się polski skrzypek-wirtuoz Karol Lipiński. To właśnie we Lwowie Lipiński rozpoczął swoją wiolinistyczną karierę. W latach 1810–1814 pełnił obowiązki kapelmistrza teatralnej orkiestry. W 1815 r. Lipiński wyjechał na dłużej ze Lwowa, ale ponownie dał się tu słyszeć już w latach 1817 i 1818. Podczas jednego z listopadowych wieczorów 1818 r. Lipiński wykonał Koncert Giovanniego Battisty Viottiego, Rondo Rodolpha Kreutzera oraz własne wariacje. W 1824 r. we Lwowie miało miejsce prawykonanie I Koncertu Skrzypcowego fis-moll i Poloneza-fantazji E-dur Lipińskiego. W tym samym roku z inicjatywy Lipińskiego w prywatnej sali Jakuba Lewakowskiego rozpoczęto serię abonamentowych wieczorów kwartetowych dostępnych dla wszystkich.

Karol Lipiński był jedną z kluczowych postaci w życiu muzycznym Lwowa. Ze stolicą Galicji wielki skrzypek nie zerwał kontaktów mimo, że odnosił liczne sukcesy także w innych ośrodkach. Dzięki temu był przez lwowian darzony wielkim szacunkiem. Warto nadmienić, że w 1833 r. wydano we Lwowie „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego”. Są to zebrane przez Wacława Zaleskiego (znanego jako Wacław z Oleska) pieśni ludowe w opracowa-



Wojciech Bogusławski

niu muzycznym Karola Lipińskiego. Był to bardzo ważny zbiór dla polskich i ukraińskich etnografów. W orkiestrze teatralnej działali także inni znakomici muzycy. Wśród nich warto tu chociażby wymienić dwóch wybitnych polskich skrzypków Stanisława Serwaczyńskiego i Augustyna Tomasza Brauna.

Ważną postacią działającą we Lwowie w pierwszej połowie XIX był wiedeński muzyk i kompozytor czeskiego pochodzenia Johann Mederitsch, zwany Gallusem. Kompozytor ten jeszcze w okresie gdy mieszkał w Wiedniu odbywał sporadyczne podróże do Lwowa (w latach 1803 oraz 1812). W 1803 r. dyrygował on lwowskim prawykonaniem oratorium „Die Jahreszeiten” Josepha Haydna, które wkrótce stało się jednym z najpopularniejszych dzieł w stolicy Galicji. Ostatecznie w listopadzie 1817 r. Mederitsch zamieszkał we Lwowie na stałe. Cieszył się on tutaj uznaniem, mimo, że wycofał się z aktywnego uczestnictwa w życiu muzycznym i towarzyskim. Jedną z mszy Gallusa wykonano we Lwowie w katedrze łacińskiej w święto Wniebowzięcia NMP, 15 sierpnia 1829 r., dyrygował wówczas kapelmistrz katedralny Józef Baszny.

Ważne miejsce na muzycznej mapie Lwowa stanowiły także salony lwowskiej arystokracji. Wśród nich należy koniecznie wspomnieć znany dom Józefiny Baroni-Cavalcabo z domu Castiglioni (z pochodzenia Włoszki), żony radcy gubernialnego i zasłużonej członkini działającego we Lwowie Towarzystwa św. Cecylii. Józefina Baroni-Cavalcabo w swoim pałacu urzędowała cotygodniowe koncerty, w których występowali zarówno arystokraci, jak i czołowi muzycy przebywający wówczas we Lwowie. Warto nadmienić, że zwyczaj muzykowania domowego był mocno zakorzeniony w Austrii już na początku XIX w. Przykładem był dwór cesarski, którego członkowie brali aktywny udział w wykonywaniu muzyki. We Lwowie często wyżsi rangą urzędnicy austriaccy brali udział w tego rodzaju spotkaniach. Należał do nich m.in. Ernest Bogumił Kortum, były sekretarz Stanisława Augusta Poniatowskiego, który we Lwowie pełnił funkcję austriackiego radcy stanu. Uchodził on za znawcę muzyki, także śpiewał i grał na harfie. Cenionym amatorem, muzykującym urzędnikiem był František Adam Miča Opanował on umiejętność gry na różnych instrumentach, zajmował

się też komponowaniem. Jego utwory cieszyły się uznaniem samego Wolfganga Amadeusa Mozarta i cesarza Józefa II. Jednak głównym zajęciem Miły była służba urzędnicza, którą rozpoczął po studiach prawniczych w Wiedniu. W 1803 r. został radcą nadwornym we Lwowie, a w wolnych chwilach poświęcał się muzyce.

Na temat niemieckich, austriackich i czeskich muzyków działających w Galicji pisała Luba Kyjanowska. Autorka zaznaczyła, że na początku XIX w. środowisko niemieckie i rusińskie (ukraińskie) łączyło niewiele, za to środowisko polskie dość chętnie angażowało niemieckich artystów. Do najważniejszych działaczy na polu kultury muzycznej zalicza Franza Ksavera Mozarta i Jana Ruckgabera.

Franz Xaver Wolfgang Mozart, syn wielkiego Wolfganga Amadeusa, przybył do Galicji w 1807 r. We Lwowie mieszkał w latach 1813–1818 i 1822–1838, stąd też zwano go „lwowskim Mozartem”. Był znanym kompozytorem, pedagogiem i animatorem życia muzycznego. Publiczność lwowska miała niejedną okazję usłyszeć go grającego na fortepianie. Od 1826 r. Mozart doskonalił swój warsztat kompozytorski pobierając lekcje u Johanna Mederitscha. Franz Xaver Wolfgang Mozart w 1826 r. założył we Lwowie Towarzystwo św. Cecylii (Cäcilienverein) i działający przy nim chór (Cäcilien-Chor). Obydwie instytucje działały niestety tylko przez 2 lata. Mozart wzorował się na działających wówczas w Niemczech licznych stowarzyszeniach cecylijskich, które kultywowały muzykę chóralną (m.in. wiedeńskim Cäcilien-Bündnis, które powstało już w 1725 r.). Lwowskie Towarzystwo zrzeszało muzyków i amatorów (tych głównie w chórze). Jego siłami zorganizowano kilka ciekawych koncertów. Dwa z nich odbyły się w grekokatolickiej katedrze św. Jura. Podczas pierwszego wieczoru, zorganizowanego 5 grudnia 1826 r., w trzydziestą piątą rocznicę śmierci Wolfganga Amadeusa Mozarta (ojca) zaprezentowano jego Requiem. Całość poprowadził syn wielkiego kompozytora, orkiestrą zaś dyrygował Karol Lipiński. Była to równocześnie uroczysta inauguracja działalności dopiero co założonego Towarzystwa. Dwa lata później, w Wielki Piątek, 4 kwietnia 1828 r. wykonano dzieło

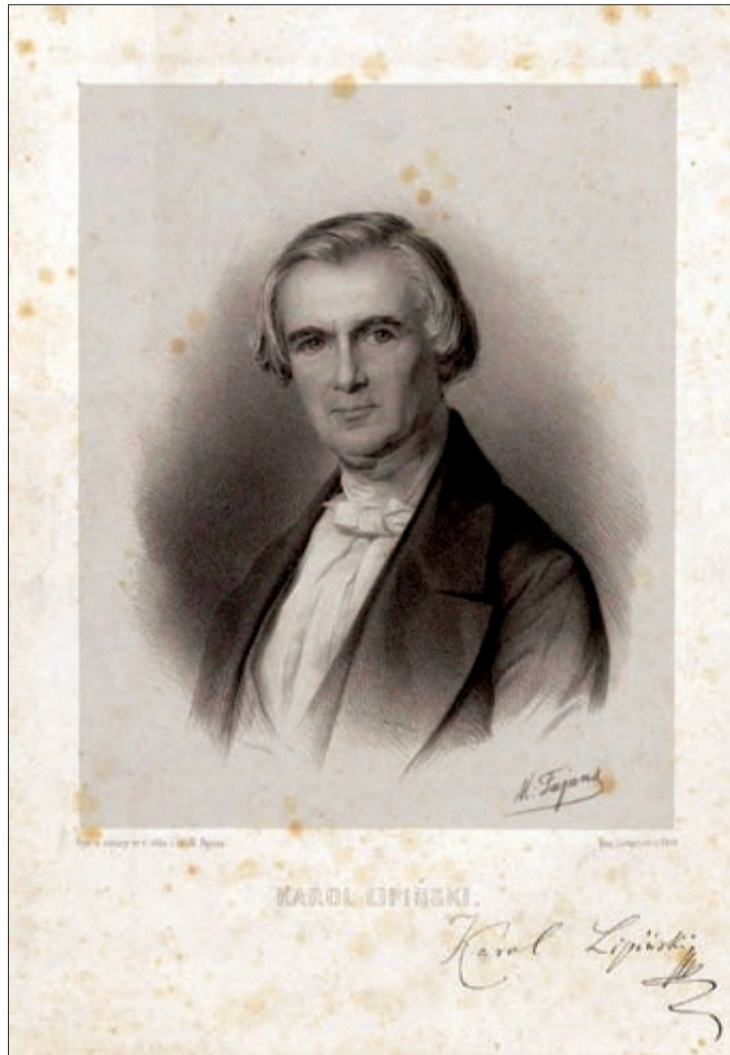
sakralne mieszkającego wówczas we Lwowie Johanna Mederitscha. Było to „Stabat Mater”. Kierownictwo wówczas także objął F.X.W. Mozart, a orkiestrę poprowadził Augustyn Tomasz Braun. Warto zaznaczyć, że w 1828 r. Wielki Piątek wypadł tego samego dnia w kościele rzymskokatolickim jak i grekokatolickim. Dzięki temu wierni obydwu obrządków mogli razem przeżywać sceny boleści Matki Boskiej pod Krzyżem. Także sam skład wykonawców był wielonarodowy, odzwierciedlając zarazem skład mieszkańców samego miasta.

Jan Ruckgaber (właśc. Jean Montalbleau) był znanym w stolicy Galicji pianistą i kompozytorem francuskiego pochodzenia. Działal on również w teatrze, biorąc udział w organizowanych tam koncertach, a także akompaniując śpiewakom na fortepianie w czasie przedstawień. Skomponował muzykę do pantomimy „Wywód Arlekina, czyli Zjawisko duchów”, wystawionej w 1826 r. Tworzył również polonezy i mazurki fortepianowe oraz inne drobne utwory. Jan Ruckgaber w 1834 r. założył we Lwowie Towarzystwo Przyjaciół Muzyki (Verein der Musikfreunden), które istniało do 1838 r. i angażowało ponad 100 amatorów. Występowało ono wielokrotnie przed publicznością wykonując dzieła symfoniczne i wokalno-instrumentalne pod kierownictwem swojego założyciela. W 1838 r. we Lwowie powstało Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne (GTM), którego dyrektorem był Jan Ruckgaber od momentu jego powstania do 1842 r. GTM odegrało ogromną rolę dla rozwoju muzycznej kultury miasta, szybko stało się obok teatru najważniejszą muzyczną instytucją. Z ramienia Towarzystwa powstała w 1839 r. muzyczna szkoła, a w 1853 r. Konserwatorium GTM. W 1840 r. w dyrektorem zakładu naukowego GTM był znany także z innej działalności Leopold von Sacher-Masoch.

W 1857 r. nowym dyrektorem GTM został Karol Mikuli, pianista, kompozytor, dyrygent i pedagog. Wywodził się z ormiańskiej rodziny kupieckiej noszącej pierwotnie nazwisko Axanian, która pochodziła z Moldawii. W 1844 r. wyjechał do Paryża, aby doskonalić się tam w grze na fortepianie pobierając lekcje u Fryderyka Chopina. Przez niemal 30 lat Mikuli pracował także w konserwatorium GTM (założonym w 1853 r.) prowadząc tam wyższy kurs gry na fortepianie oraz dyrygując utworami symfonicznymi prezentowanymi przez GTM. Za czasów jego dyrekcji (1857-1887) w GTM zaczęto wykonywać coraz więcej utworów kompozytorów polskich. Wśród nich znajdowały się m.in.: Msza i kantata „Widma” (wg II cz. Dziadów) Stanisława Moniuszki, utwory Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego i Karola Lipińskiego oraz oczywiście utwory Fryderyka Chopina (wówczas często jedne z pierwszych wykonań we Lwowie). Warto również podkreślić, że Mikuli nie zaniedbywał także dzieł kompozytorów zagranicznych, to właśnie on wprowadził orkiestrowe utwory Roberta Schumanna do programów lwowskich koncertów. W „Gazecie Lwowskiej” w 1897 r. pisano, że: „We Lwowie rozwinął Mikuli czynność nadzwyczajną, stwarzając poniekąd na nowo zmarłe poprzednio życie

muzykalne, budząc świetnym wykonaniem utworów Chopina zamiłowanie do genialnej, natchnionej pieśni polskiej. Był nie tylko świetnym wykonawcą, ale pojmował posłannictwo muzyki w szerszym stylu, a głównie w kierunku narodowym, któremu też dał wyraz w całym szeregu własnych wielce cennych kompozycji”.

Choć Karol Mikuli nie był Polakiem z pochodzenia, to przez blisko 40 lat działał na rzecz polskiej kultury muzycznej, co zresztą robił z własnego wyboru. Dlatego z całą pewnością możemy go zaliczyć do osób zasłużonych dla kultury polskiej. W „Gazecie Lwowskiej” pisano, że



Karol Lipiński

„Lwowianie nie tylko wysoce go cenili, ale rzec można prawdziwie kochali”. Karol Mikuli przekazał swym uczniom tradycję interpretacyjną utworów Fryderyka Chopina. Dzięki niemu polska szkoła pianistyczna bezpośrednio kontynuowała tradycję chopinowską. Do uczniów Mikulego należeli m.in. Stanisław Niewiadomski i Mieczysław Sołtys.

Następcą Mikulego został jego uczeń Rudolf Schwarz, a po nim stanowisko to piastowali dwaj wielcy dla Lwowa zasłużeni dyrygenci i kompozytorzy Mieczysław Sołtys (w latach 1899-1929) i jego syn Adam (w latach 1929-1939). Za dyrekcji Mieczysława Sołtysa studentką konserwatorium w klasie Waleriego Wysockiego była Janina Korolewicz (Waydowa) – wybitna polska śpiewaczka, a także Salomea Kruszelnicka – światowej sławy ukraińska śpiewaczka operowa. Do grona pedagogów konserwatorium należał Aleksander Myszuga, wybitny ukraiński śpiewak.

W drugiej połowie XIX w. intensywnie rozwijało się także ukraińskie życie muzyczne. Luba Kyjanowska podkreśla, że w tym czasie współpraca pomiędzy ukraińskimi i polskimi muzykami stopniowo nabierała coraz bardziej zorganizowanego charakteru, co wiązało się z aktywizacją i rozszerzeniem ukraińskiego środowiska muzycznego oraz z samym

przebudzeniem narodowej świadomości Rusinów. Pierwszym ukraińskim stowarzyszeniem muzycznym był Teorban założony w 1870 r. (istniejący niestety tylko przez kilka miesięcy) przez kompozytora Anatola Wachnianyna. Sam Wachnianyn był pierwszym zachodnioukraińskim kompozytorem, który napisał pełnowymiarową operę – „Kupało” (1890). W latach osiemdziesiątych piastował funkcję zastępcy przewodniczącego Towarzystwa Śpiewackiego Lutnia, do którego należeli wówczas zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. W 1890 r. powstało pierwsze ukraińskie chóralne stowarzyszenie Bojan (późniejszy

1893 r. Związek Towarzystw Muzycznych Polskich i Ruskich. Podczas szczególnych okazji, jaką było np. otwarcie Powszechnej Wystawy Krajowej w 1894 r., łączył on siły kilku istniejących w mieście zespołów (m.in. polskich – Lutni i Echa oraz ukraińskiego Bojana), które wykonywały m.in. utwory Władysława Żeleńskiego i Anatola Wachnianyna pod kierownictwem obydwu kompozytorów. Istniała także we Lwowie piękna tradycja wspólnego śpiewu polskich i ukraińskich towarzystw chóralnych podczas uroczystości pogrzebowych przedstawicieli kultury i sztuki obydwu narodów. Miało to miejsce np. w 1897 r. podczas pogrzebu Karola Mikulego, co odnotowano w „Gazecie Lwowskiej”: „Przed wyniesieniem z domu żałoby zwłok, u których nieprzeliczone złożono wieńce, odśpiewali członkowie towarzystw śpiewackich Lutni, Echa i Bojana pod batutą p. Cetwińskiego [Stanisława Cetwińskiego – założyciela Lutni] wspaniały hymn pożegnalny „Beati mortui”, poczem z ulicy Chorążczyzny [obecna Czajkowskiego] wyruszył kilkutyśięcny orszak żałobny wielki, a cichy i tą swą cichością majestatyczny, wśród bicia dzwonów ku cmentarzowi”.

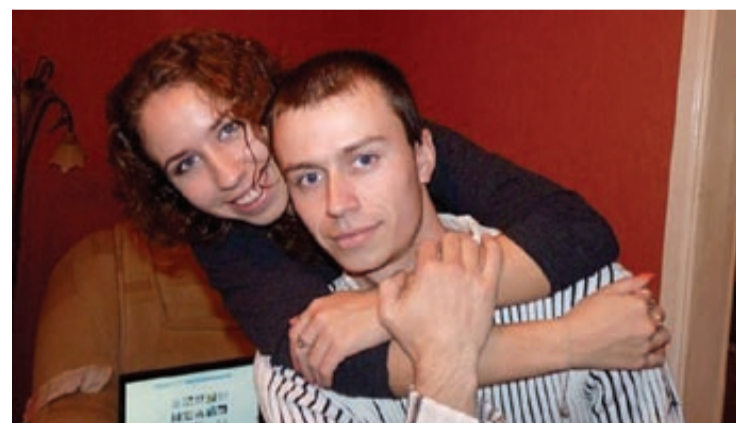
Pomimo powołania we Lwowie rozmaitych towarzystw muzycznych, w dalszym ciągu ważnym ośrodkiem był także teatr. W 1842 r. otrzymał on nową, imponującą w swymi rozmiarami siedzibę (przeznaczoną na 1460 miejsc) ufundowaną przez hr. Stanisława Skarbka, który był dyrektorem teatru do swojej śmierci w 1848 r. Oczywiście w dalszym ciągu istniały tu dwie sceny – niemiecka i polska. W latach 1857-1864 dyrekcja sceny polskiej spoczywała w rękach dwóch zasłużonych polskich aktorów – Witalisa Smochowskiego i Jana Nepomucena Nowakowskiego, po czym w 1864 przeszła w ręce Adama Miłaszewskiego. W wyniku uchwalenia autonomii Galicji w latach 60-tych XIX w. dzięki której rozwój kultury polskiej nie był już przez Austriaków ograniczany, w 1871 r. postanowieniem cesarskim zniesiono obowią-

zek utrzymywania sceny niemieckiej, co ostatecznie nastąpiło w 1872 r. W tym samym roku przedstawieniem „Halki” Stanisława Moniuszki zainaugurowała swoją działalność stała polska scena operowa. Należy dodać, że inna opera Moniuszki „Straszny dwór”, powstała w 1865 r. (po powstaniu styczniowym) już po trzecim spektaklu w Warszawie zdjeta przez rosyjską cenzurę (na 50 lat!), bez problemów wystawiana była we Lwowie, mieszcząc się stale w repertuarze teatru i przyciągając wciąż widzów. W 1872 r. z lwowskim teatrem związał się na stałe Henryk Jarecki, uczeń Stanisława Moniuszki. Pracę swoją rozpoczął jako kapelmistrz. Był także znanym kompozytorem operowym oraz propagatorem dzieł Moniuszki. Dla teatru lwowskiego powstała m.in. opera „Jadwiga królowa polska” do libretta kompozytora. Ostatnim dyrektorem teatru skarbkowskiego był Ludwik Heller (1896-1900). W 1900 r. otwarto nowy wspaniały gmach teatralny. Na uroczystość inauguracji wystawiono operę „Janek” Władysława Żeleńskiego. Nowym dyrektorem został wówczas Tadeusz Pawlikowski (1900-1906), po którym kierownictwo przejął na nowo Heller. W 1914 r. po wkroczeniu wojsk rosyjskich scena zawiesiła swoją działalność.

Przedstawiony 142-letni okres życia muzycznego Lwowa stanowi czas kształtowania się i powstawania kluczowych instytucji muzycznych. Pomimo nieistnienia Polski na mapie, instytucje te – powoływane nieraz przez władze austriackie – stawały się kluczowymi instytucjami dla kultury polskiej, która we Lwowie była tak silna, że była w stanie wpłynąć na przedstawicieli innych narodowości jak np. Jan Ruckgaber czy Karol Mikuli, stających się z czasem postaciami działającymi na rzecz swojej nowej ojczyzny. Dzięki temu Lwów mógł podczas zaborów śmiało szczyścić się mianem stolicy kultury polskiej, zwłaszcza wobec restrykcyjnych rządów rosyjskich panujących w Warszawie po powstaniu styczniowym.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

Pomóżmy Jarkowi



Jarek Jonik ma 23 lata, pochodzi z południowej Ukrainy, z Ciurupińska (woj. Chersoń). Ukończył studia polonistyczne. Niedawno wykryto u niego guz na wątrobie o średnicy – 5 cm. Operacja jest zaplanowana na wrzesień, a będzie wykonana na Ukrainie. Jej koszt, to ok. 40 000 00 zł. Rodzice Jarka wystawili już na sprzedaż mieszkanie. Rodzina nie ma innych możliwości, by zdobyć potrzebne środki.

Jeśli ktoś chciałby pomóc Jarkowi, wpłaty prosimy kierować na konto fundacji: BGŻ SA 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700 z dopiskiem – „Jarek Jonik”.

Monika Narmuntowska-Michalak
ul. Olbrychta 8/9,
65-823 Zielona Góra
www.fundacjamosinga.zgora.eu

Długa droga do ojczyzny

Mało kto wie, że pośród zdobywających Szczecin w 1945 roku żołnierzy sowieckiej armii gen. Batowa byli także Polacy. O jednym z nich, Włodzimierzu Zamborskim, pisała w swoim czasie prasa szczecińska. Niestety było tam wiele nieścisłości.



ALEKSANDER NIEWIŃSKI
aleks.niewinski@wp.pl

W artykule Tomasza Murańskiego pod tytułem „Człowiek, który zdobywał Szczecin”, autor wymienił szeregi wojennych przygód Włodzimierza Zamborskiego. Píše, że życiorys tego człowieka „mógłby posłużyć za kanwę wojennej powieści sensacyjnej”. To prawda. Nie wszystko jednak było takie proste. Gdy „wybuchła wojna” – pisze autor - Zamborski „otrzymał powołanie do Armii Czerwonej” i „pojechał na front”. Wieloletnia osobista znajomość z Włodzimierzem Zamborskim, upoważnia mnie do podania i wyjaśnienia szczegółów jego biografii.

Włodzimierz, a właściwie Władysław Zamborski, trafił na front w 1941 r. w wieku 15 lat. Zgłosił się na ochotnika po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej, oszukawszy przednio sowiecką komisję mobilizacyjną. W ten sposób uciekł z sowieckiego zesłania w Karelii, na którym przebywał od lutego 1935 r. Był obywatelem sowieckim. Owszem pochodził z polskiej rodziny, zakorzenionej na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, lecz nie tych przedwojennych, a dawnych, sprzed pierwszych jej rozbiorów.

Na froncie walczył w rozmaitych formacjach i na początku kwietnia 1945 r. był już plutonowym w 41. Samodzielnym Pułku Zmechanizowanym w zestawie 65. armii gen. Batowa, która wspólnie z II armią na odlinku od Gdyni do Stepcnicy wstrzymywała czołgi niemieckie i w ten sposób ubezpieczyła natarcie głównych wojsk sowieckich na Berlin. Władysław Zamborski był pewnie odważnym i zdyscyplinowanym żołnierzem, zdolnym do szybkich własnych decyzji, ponieważ zlecano mu też wykonanie zadań pułkowego wywiadu. Jego szlak bojowy zakończył się w Rostocku po wyzwoleniu obozu

jeńców amerykańskich i angielskich. Po wojnie pozostał w Polsce. Pod koniec lat pięćdziesiątych zamieszkał w Szczecinie i związał swoje późniejsze życie z marynarką. Na emeryturę przeszedł jako kapitan żegluga wielkiej. Pozostaje pytanie: za jakie winy ten zdolny człowiek trafił na zesłanie sowieckie w wieku 9 lat?

Zesłanie sowieckie

Deportacja tłumaczy się z łaciny jako zesłanie czyli przymusowe wygnanie. Stosowanie tego określenia do zesłańców sowieckich będzie jednak nie zawsze właściwie. W latach 30. XX stulecia Sowietci wymyślili bowiem i inne rodzaje „zesłań” np. „specjalne” czy „administracyjne”. Ludzi wraz z rodzinami wysiedlano ze stron ojczystych do miejsc pracy niewolniczej w warunkach trudnych do przeżycia. Najczęściej była to północna część Rosji, Sybir, Kazachstan. Na początku lat 30. zlikwidowano tzw. klasę „kułaków”, jednak pewna część chłopstwa, nawet po Wielkim Głodzie (1932-1933) nadal nie uległa przymusowi wstąpienia do kolchozów. Sowietcy komuniści udali się wtedy do masowego zesłania niepokonanych. Właśnie do tych ostatnich zaliczono m.in. Andrzeja Zamborskiego, ojca Władysława, który nie należał do „kułaków”, lecz do „klasy średniej” wg nomenklatury sowieckiej. Potrafił nie wstępując do kolchozu zapewnić dostatek rodzinie, umiejętnie gospodarując na własnej ziemi, podobnie jak i jego przodkowie. Na zesłanie do Karelii wyznaczono również jego brata Józefa Zamborskiego i wielu innych gospodarzy z pobliskich miejscowości. Warto zaznaczyć, że w miejscowości, gdzie mieszkali bracia Zamborscy przed zesłaniem, najbardziej ubogiej klasy chłopstwa czyli tzw. „gołoty” wcale nie było. Owszem w porównaniu z innymi, np. Kazimierzem Niewińskim (3,5 ha pola) czy Władysławem Cichockim (4,37 ha pola), których też zesłano do Karelii na początku 1935 r., braci Zamborskich można było uważać za zamożniejszych. Byli „ożenieni” z siostrami Jakuszewskimi. Jakuszewskich zaś, posiadających własny młyn, represjonowano jeszcze w 1930 roku.



Władysław Zamborski, kapitan żegluga wielkiej

Akcja przeprowadzona przez NKWD, dotyczyła przede wszystkim terenów graniczących wówczas z Polską. Była dobrze zaplanowana. Najpierw aresztowano mężczyzn. Później uprzedzono ich żony o wysiedleniu w nieznaną. Mieli jedną noc na przygotowanie i jedne sanie do załadowania dobytku życia i siebie z dziećmi. Po dotarciu do stacji kolejowej rodziny wsadzano do wagonów bydłowych i wieziono nadal w nieznaną pod konwojem uzbrojonych w karabiny żołnierzy NKWD. Po 10 dniach okazało się, że „białe niedźwiedzie”, którymi im wcześniej grozono – to Karelia.

W ten sposób z Małego Łazuczyna, gdzie urodził się Władysław Zamborski, na mocy decyzji obwodowego wydziału NKWD (wtedy obwodu winnickiego), tylko w lutym 1935 r. wysiedlono do Karelii 6 rodzin: Bobrowskich, Sturyczów, a także rodziny Władysława Cichockiego, Kazimierza Niewińskiego, Andrzeja Zamborskiego, Józefa Zamborskiego. Świadkowie pamiętają niepełną listę.

„To Polszcza...”

Wcześniej pisałem nieco o Małym Łazuczynie, zwanym częściej Łazuczynkiem, miejscowości leżącej przed wojną obok granicy z Polską. Od Ukraińców z sąsiednich wsi czasem słyszymy, że „to Polszcza”, czyli Polska. Mają rację pod względem historycznym. Pierwsze wzmianki o miejscowości znane są z czasów wielkiego księcia litewskiego Witolda (Archiwum Sławuc-

Na pewno wśród parafian tego kościoła byli wyżej wymienieni mieszkańcy Łazuczynka, skazani na zesłanie do Karelii w 1935 r., oraz inni, skazani w rok później na zesłanie do Kazachstanu, a również ci, których rozstrzelano (bez zesłania) w miejscowych więzieniach w latach 1937-1938, podczas tzw. „akcji polskiej”, przeprowadzonej przez NKWD.

Los wielu osób pozostaje nieznaną po dzień dzisiejszy. Mało kto z represjonowanych lub ich potomków wrócił w późniejszych czasach do Łazuczynka. Z wyżej wymienionych sześciu rodzin zesłanych do Karelii w lutym 1935 r., do Łazuczynka nie wrócił nikt...

Osobliwości Karelii

Na odwrocie fotografii jednej z tych rodzin, wykonanej w połowie 1935 r. i nadesłanej do Łazuczynka, można przeczytać zdanie napisane ręką dziecka w języku polskim: „...w niedzielę...Pamiętka... dla cici Loni Zalewskiej. Miasteczko Powieniec w Karelskim kraju”. Na fotografii tej samej rodziny z 8 maja 1938 r. brakuje jednego dziecka. Z opracowania I. Stasiuka dowiadujemy się, że ich syn Józef (ur. w 1927 r.) „zginął” w listopadzie 1936 r. Z relacji świadków wiadomo, że ten chłopak zmarł chory na tyfus. W tymże 1936 r. w tejże rodzinie zmarło jeszcze jedno dziecko, wkrótce po urodzeniu. Pozostało troje dzieci: Antoni, Maria, Stanisław. Warunki życia do których doprowadził zesłańców reżim sowiecki nie pozostawiały wielu szans na przetrwanie. Owszem, dzieciom pozwolono uczyć się (w szkołach rosyjskich), natomiast ich rodziców, w tym kobiety zmuszono do trudnych prac w obsługiwa-



Wnuk Józefa Zamborskiego Włodzimierz z córeczką Zosią, pozostał w Karelii (Petrozawodsk, 1994 r.)

skiego (KG nr 14 z 2009 r., s. 22). Według opracowań krajoznawcy Jana Giżyckiego z 1910 r. jeszcze na początku XX st. większą część parafian kościoła w Bazalii stanowili mieszkańcy Łazuczynka (1130 osób z pośród 6000 parafian, mieszkańców wielu innych pobliskich wsi). Wszyscy uważali się za Polaków. W tym czasie wśród mieszkańców Łazuczynka Ukraińców prawie nie było.

niu otwartego w 1933 r. BBK czyli Białomorsko-Bałtyckiego Kanału między morzem Białym a jeziorem Onieńskim w pobliżu miasteczka Powieniec. Podczas budowy tego kanału, umierało codziennie 15-20 sowieckich niewolników. Ilość zgładzonych w ten sposób zesłańców po jego otwarciu trudno obliczyć. Powiedzenie „Powieniec – to świata koniec” jest dobrze znane i znaczenie ma symboliczne.



Dzieci z Małego Łazuczynka na zesłaniu w Karelii: Antoni (od lewej), Maria, Stanisław (6.02.1940 r.)

Z informacji MSW Karelskiej ASSR (z grudnia 1991 r.) dowiadujemy się, że Zamborski Andrzej, syn Kazimierza był zesłany wraz z rodziną i przybył na *specposielenije* do miejscowości Tielekino w rejonie Miedwieżegorska w Karelii 12.02.1935 r., skąd skierowano ich na 2 powieniecki oddział, gdzie umarł 8.07.1935 r. Podano również stan jego rodziny: żona Ludwika – 37 lat, córka Apolonia – 14 lat, córka Janina – 10 lat, syn Władysław – 9 lat...

Z innego dokumentu wiadomo, że Władysław Cichocki (syn Augusta, ur. w 1901 r.) „był raniony podczas budowy domu 22.07.1935 r. i umarł 11 kwietnia 1936 roku”. Józef Zamborski umarł nieco później, jego syn Jan umarł z głodu w obłożonym przez hitlerowców Leningradzie... Ta lista ofiar zesłańców z Małego Łazu-

czyna do Karelii w 1935 r. na pewno nie jest pełna.

Dodajmy tylko, że Karelia, jako kraj o pięknej, lecz surowej przyrodzie, stał się krajem zesłańców po oderwaniu go od Szwecji w 1721 r. Sowietci przedłużyli tę „tradycję”, z wyniosłą bezczelnością nazywając go Karelo-Fińską SSR (w latach 1940-1956). Obecnie autochtoniczni mieszkańcy Karelii stanowią około 10 procent ludności kraju. W Karelii żyją również potomkowie Józefa Zamborskiego.

Powrót do ojczyzny

Szansy na ucieczkę z zesłania nie było. Wszyscy musieli regularnie meldować się na posterunkach NKWD. Po agresji hitlerowskich Niemiec na Związek Sowiecki warunki życia zesłańców w Karelii, podobnie jak i innych represjonowanych na terytorium ZSRS, bardzo się pogor-

szyły. Ograniczono racje żywnościowe. Sowietci w obawie przed atakiem ze strony Finlandii niszczyli po sobie wszystko, również magazyny ze zbożem, nie pozwalając skorzystać z nich zesłańcom. W panice wyburzono śluzę na BBK i zatopiono Powieniec, a zesłańców stopniowo ewakuowano dalej na północny wschód aż do Archangielska, oczywiście pod konwojem NKWD.

Właśnie w tych warunkach Władysław Zamborski zgłosił się na ochotnika do Armii Czerwonej. Na pewno nie on jeden w ten sposób uciekał z zesłania. Dla 15-letniego Władysława ucieczka była drogą ku wolności i ojczyźnie.

Po wojnie pozwolono mu pozostać w Polsce. Jego siostrze Janinie również, gdyż w drodze powrotnej z zesłania spotkała swego przyszłego męża Tadeusza Soję, obywatela II

Rzeczypospolitej z obwodu tarnopolskiego, Polaka, którego w tym czasie przesiedlano na „ziemie odzyskane”. Pojechali tam wspólnie do Głogowa nad Odrą...

Ten przypadek jest raczej szczęśliwym wyjątkiem wśród powojennych losów byłych zesłańców z Małego Łazuczyna. Pomimo starań i przedstawienia dokumentów o polskim pochodzeniu większości odmawiano nadania polskiego obywatelstwa. Nie zapewniono im też żadnej emerytury za lata przymusowej pracy na zesłaniu. Mogli, co prawda, w końcu wrócić do Łazuczyna, ale powrót do kolchozu był dla nich nie do przyjęcia.

Rehabilitacja tych osób po upadku Związku Sowieckiego była raczej pozorną, trzeba było się jej domagać. O rekompensacie finansowej w czasach galopującej wtedy inflacji nie warto nawet wspominać. Pod-

czas podziału ziemi po rozwiązaniu kolchozów o zesłańcach w ogóle „zapomniano”, nawet o tych rehabilitowanych. Obecnie państwowy fundusz emerytalny dopłaca „przymusowo przesiedlonym” 43 hrywny 52 kopiejki na miesiąc, czyli około 5 dol. USA. W końcu rodzinę Andrzeja Zamborskiego również rehabilitowano, w tym wdowę po nim Ludwikę, która żegnając ten świat nad Odrą, marzyła o Łazuczynku.

Na Ukrainie nie ma towarzystwa „Sybiraków”. Pozostaje jedynie pamięć, która łączy z ojczyzną przodków, tą małą i tą wielką. Pod koniec XX stulecia Władysław wraz z siostrą Janiną po raz pierwszy od czasów zesłania, odwiedzili Łazuczyn. Władysław zapatrzony na krążące po niebie bociany, powiedział wtedy: „Może to dusze naszych przodków wracają do Ojczyzny...”.

ODNALEZIONA RODZINA NA PODOLU

Od czterech lat jeżdżę na Ukrainę, szukam korzeni i organizuję sentymentalne wyjazdy na Kresy. Są to podróże zindywidualizowane, przygotowane pod konkretne zamówienie, tak abyśmy mogli dojechać do każdej, najmniejszej nawet wioski, z której pochodzą przodkowie. W ciągu tego czasu udało mi się zorganizować wyjazdy dla kilkudziesięciu osób.

MARTA CZERWIENIEC

Na wyjazd w lipcu umówiła się z mną pani Bogusia z Ostródy wraz z córką Anetą. Poznałyśmy się przez Internet, spotkałyśmy dopiero tuż przed wyjazdem. Trasa była z góry zaplanowana, noclegi zarezerwowane, nic tylko wsiąść i jechać. Program wyjazdu obejmował trasę z Warszawy przez Sarny do Małyńsk, następnie Ostróg, Husiatyn i Suchodół, Czortków, Tarnopol, Korsów i Lwów, ale najważniejszymi miejscami do odwiedzenia były: Małyńsk na Wołyniu – stąd pochodzi rodzina taty – Antoniego Stawskiego, ojca pani Bogusi; Korsów, rej. Brody – tam urodziła się mama – Zofia Kaszczyńc; Suchodół k/Husiatyna – tu przeprowadziła się w latach 20. rodzina Kaszczyńców z Korsowa.

Wyjechaliśmy z Warszawy kierując się na moje ulubione przejście graniczne w Dorohusku. Dojechaliśmy dość szybko, pogoda dopisywała. Granicę udało się nam przejechać w 25 minut, tak więc zadowolone wielce ruszyliśmy na podbój Wołynia. Nocleg mieliśmy zaplanowany u ks. Władysława w Sarnach, więc z Kowla udaliśmy się prostą drogą przez Maniewiczze. Po drodze skręciliśmy wprawdzie w bok, ale tylko na chwilę. Podjechaliśmy do Antonówki, w której bieg zaczyna znana kolejka wąskotorowa, tzw. poleski tramwaj. Grafiku jazdy dostać się nie da, ale wiemy już, że pociąg rusza ze stacji o 7:05 z rana i wraca o 17:05 po południu. Jeździ każdego dnia, o każdej porze roku, oprócz czwartku.

W końcu dotarliśmy do Sarn. Księżdzka wprawdzie jeszcze było, ale plebania stała otworem, a gospodyni – p. Wanda przyjęła nas z otwartymi ramionami. Mialiśmy tego dnia jeszcze zaplanowane pierwsze spotkanie z pewną panią, Ukrainką która pochodziła z Małyńsk. Spotkałyśmy się w centrum Sarn i z zachwytem słuchałyśmy jej pięknej polszczyzny. Dużo nam opowiedziała, pamiętała polskich sąsiadów oraz swoje wizyty w Polsce powojennej. Jako małe dziecko chodziła do polskiej szkoły i do dziś zna wiersz, który nam zadeklamowała „Kto Ty jesteś, Polak mały...”

Przenocowaliśmy w Sarnach, następnego dnia pojechaliśmy do



Małyńsk – miejscowości, w której Antoni Stawski, tata pani Bogusi urodził się w 1914 roku. Mama pani Bogusi – Zofia Kaszczyńc pojawiła się w Małyńsku w 1935 r. w wieku lat 16, kiedy to przyjechała do brata Stefana, opiekować się jego dziećmi. Antoni i Zofia poznali się, pobrali w Małyńsku, a w 1942 r. wyjechali na roboty do Niemiec. Stamtąd wrócili już do Polski, zamieszkali w Ostródzie.

Tata Antoni często wspominał swoją rodzinę, przodków. Dla niego łatwo też było rozpocząć dalsze badania genealogiczne, zwienczone wiedzą o krewnych sprzed 200 lat. Mama pani Bogusi natomiast nigdy nie wspominała rodziny. Wiadomo było, że była córką Ignacego Kaszczyńca i Eufrozyny z domu Pronyszyn, że była ich piątka dzieci i że powojenne szukanie rodziny przy pomocy Czerwonego Krzyża nie przyniosło żadnych rezultatów. W związku z tym, co roku zapalane były znicze za zmarłą rodzinę Zosi. W Małyńsku też nikt nie pamiętał już Zosi czy Stefana Kaszczyńców, jak również rodziny Antoniego Stawskiego.

Pojechaliśmy więc dalej szukać śladów rodziny Stawskich na cmentarzach w Oleksandrii, Żytyniu i Tuczynie w rówieńskiego obwodu. Znalazłyśmy tylko kilka starych polskich grobów o nic niemówiących nam nazwiskach i weszłyśmy do starego kościoła w Tuczynie, w którym najprawdopodobniej brali ślub dziadkowie Antoniego Stawskiego w 1864 r. Na nocleg zjechaliśmy do

ks. Witolda Kowalowa do Ostroga, gdzie zostałyśmy bardzo miło przyjęte, jak zawsze zresztą.

Następnego dnia rano po mszy w języku polskim i po śniadaniu ruszyliśmy na południe, na Podole. Celem naszym było odwiedzenie cmentarza w Suchodole, w którym wychowała się Zosia z domu Kaszczyńc – mama pani Bogusi. Wiadomo było, że rodzina Kaszczyńców pochodzi z Korsowa w pow. brodowskim, ale w latach 20. przeniosła się pod Husiatyn. Dziadek Ignacy wyjeżdżał kilkakrotnie do Kanady, a za zarobione pieniądze kupił ziemię na Podolu. Zofia i jej rodzeństwo urodzili się jeszcze w Korsowie, ale za młodych swych lat przeprowadzili się do Suchodołu. Jak wspominała pani Bogusia – mama śpiewała piosenki o Podolu i czuła się Podolanką.

Przyjechaliśmy wreszcie do Suchodołu. Przy głównej ulicy jest cerkiew i stary cmentarz, na którym niestety nie znalazłyśmy żadnych rodzinnych grobów. Zdecydowałyśmy się popytać, czy może żyje jeszcze ktoś kto znał Kaszczyńców. Wiadomo było, że dziadek Ignacy zmarł w 1942 r., ale może babcię Eufrozinę ktoś jeszcze pamięta. W pierwszym domu spotkałyśmy panią Stefanę, która oznajmiła nam, że w Suchodole mieszka dużo Kaszczyńców i że ona pamięta babcię Fruzię. Objaśniła nam jak trzeba dojechać do kolonii, w której mieszkają. Jedziemy, a po drodze spotykamy idące drogą dwie panie. Pytamy o Kaszczyńców. I nagle

szok!! Niedowierzenie i łzy. Jedna z pań – Orysia jest córką Mikołaja, a on sam jest synem Eufrozyny i Ignacego (Hnata). Żyje brat mamy!!!! Wujek!! A myśmy nic nie wiedziały. Czerwony Krzyż nic nie znalazł, uznano ich za zmarłych. Orysia zatem jest najbliższą kuzynką pani Bogusi. Dużo wzruszeń, ale i radości. Mikołaj dużo nie powie, bo już nie słyszy – ma 80 lat, ale wie, że ma przed sobą siostrzenicę. Eufrozyna zmarła dopiero w 1969 r. Dzieci było dziesięcioro, a nie jak zapamiętała Zosia – tylko piątka: Stefan, Filip, Jacek, Józefat i Mikołaj, a także Ola, Anastazja, Zosia, Maria i Hanna. Filip zginął w kampanii wrześniowej nad Bzurą, pochowany jest w Modłej – jego nagrobek znalazła pani Bogusia całkiem niedawno. Jacek zaginął także podczas wojny w jakichś kamieniołomach niemieckich, może w jakimś obozie na Dolnym Śląsku, nie wiadomo. Stefan z rodziną wyjechał z Małyńsk i szczęśliwie po wojnie osiadł w Polsce. Niestety stracił kontakt z Zosią i dopiero pani Bogusia odnalazła jego dzieci na Śląsku trzy lata temu. Stefan tego już nie doczekał, zmarł w 1977 r. Reszta dzieci Eufrozyny i Ignacego została na Podolu. Zosia zmarła dopiero dwa lata temu w Ostródzie, nie wiedząc, że posiada tak liczną rodzinę. Choć jej mama także szukała córki przez Czerwony Krzyż na Ukrainie, który i w tym wypadku nic nie dopomógł. Wg słów nowo poznanej rodziny, Eufrozyna do końca życia wierzyła, że Zosia przeżyła wojnę i gdzieś tam żyje.

Po pierwszych łzach szczęścia przyszedł czas na wspólne opowieści, oglądanie zdjęć, szukanie podobieństw. Odwiedziliśmy dzieci Oli, Józefatę i Mikołaja. Poznałyśmy dużo rodzinnych historii, obiecałyśmy sobie kontakt i wzajemne wizyty, a za jakiś czas może i zjazd rodzinny. U rodziny Kaszczyńców w Suchodole, tak bliskiej i dalekiej zarazem spędziliśmy prawie dwa dni, modyfikując swoje plany, bo i priorytety się zmieniły. Pani Bogusia z córką miały możliwość odwiedzenia grobów rodzinnych babci i prababci zarazem, siostr i brata matki i babci, zapalenia zniczy na rodzinnych grobach.

Wyjeżdżając, dostałyśmy namiary na rodzinę Anastazji – kolejnej z siostr Zofii, która mieszka w Korsowie. Tam również przyjęto nas z największą radością odnalezienia się krewnych, spotkałyśmy się z synową Anastazji (Nastii) – 84-letnią Marysią, której rodzina wspaniale nas ugościła, a Marysia oprowadziła po miejscowym cmentarzu. Znalazłyśmy tam groby zarówno Kaszczyńców – po dziadku Ignacym, jak i rodzinę Pronyszynów – krewnych babci Eufrozyny. Zaowocowało to spotkaniem z kuzynką Zosi, która w znacznym stopniu dopełniła naszej wiedzy dotyczącej przodków po kądzieli.

Pierwotnie planowałyśmy powrót w sobotę do kraju, ale dowiedziawszy się o zaplanowanych na ten dzień uroczystościach 70-lecia Rzezi Wołyńskiej w Hucie Stepańskiej, nie mogło nas tam zabraknąć. Ks. Władysław Łukasiewicz ponownie ugościł nas u siebie na plebanii w Samach. Dojechaliśmy w piątek wieczorem, natomiast w sobotni poranek wraz z innymi Polakami przybyłymi z kraju ruszyliśmy kolumnadą samochodów do Huty. Sama uroczystość była bardzo podniosła, uczestniczyło w niej wielu księży katolickich z okolicznych parafii, ks. biskup z Łucka, a także patriarchowie kościoła prawosławnego. Obecni byli przedstawiciele władz miejscowych z Huty i Kostopola, a także prof. Andrzej Kunert z IPNu. Najwspanialszy jednak był fakt takiej wielkiej jedności Polaków i Ukraińców przybyłych na tę uroczystość. Tak więc nie mogło tam nas zabraknąć. To było wspaniałym zwieńczeniem naszej wyprawy śladami przodków.

Sekrety słodkiej Dudu

Kobieta, która uważana była za największą piękność XVIII-wiecznej Europy, która była mile widzianym gościem na polskim, niemieckim, francuskim i wiedeńskim dworze, dla której szanowani obywatele i arystokraci wyłazili na stoły, żeby chociaż z daleka spojrzeć na nią, która w końcu usidliła najbogatszego magnata Podola – była zaledwie kurtyzaną z biednej greckiej rodziny ze Stambułu. W jaki więc sposób udało jej się zrobić tak zawrotną karierę towarzyską?

KATARZYNA ŁOZA

Urodziła się około 1760 r. Podobno w rodzinie nazywano ją Dudu. Już jako nastolatka zaczęła zarabiać wykonując najstarszy zawód świata. Dudu, tak samo jak jej koleżanki pewnie po cichu marzyła, że kiedyś, któryś z przebywających w mieście dyplomatów zapala do niej miłością i zabierze ją do lepszego świata...

Rzeczywiście, wkrótce szczęście uśmiechnęło się do naszej bohaterki. Z jej usług skorzystał Karol Boscamp, ambasador na służbie Stanisława Augusta Poniatowskiego. Najwyraźniej połączyło ich coś więcej, niż relacja klienta z prostytutką, bo opuszczając placówkę dyplomatyczną Boscamp zostawia Zofii okazałą sumę na jej przyszły posag. Nie wiemy, czym go tak urzekła, skoro sam wspominał, że nie odznaczała się właściwym Greczynkom temperamentem ani pięknym ciałem.

„Wielce bym pragnął móc ją porównać do rodaczki Dudu, jednej z dwóch Frynii, o której Kwintylian powiada, iż obwiniona i stawiona przed sądem obnażyła tylko swój tors i zaraz potem uzyskała pomyślną sentencję. Niestety jednak, gdyby Dudu nie mogła ukazać trybunałowi czegokolwiek innego, przegrałaby z pewnością proces. Pierś jej zwiotczała, czy to przez gorące kąpiele, czy z innych przyczyn, jest niekształtna i nieelastyczna. Zwisa jak gruszka na brzuch, najpiękniej za to ukształtowany, który pierś ta obwisła zdaje się wskazywać palcem i mówić: przyjdź, popatrz i zapomnij o mnie”.

Boscamp wraca do Warszawy, jednak wkrótce traci tam stanowisko i żonę; pogrążony w smutku postanawia sprowadzić Zofię do Polski, aby pełniła rolę jego pocieszycielki w tym trudnym okresie.

Ze swojego zamiaru rezygnuje jednak bardzo szybko, kiedy okazuje się, że Dudu aż nazbyt chętnie skorzystała z udzielonej jej szansy – jeszcze nie przekroczyła granic Rzeczypospolitej, kiedy wieść o skandalach z jej udziałem dotarła do Warszawy. Co gorsze, podróżująca podaje się za narzeczoną dyplomaty. W związku z takim zachowaniem „przyjaciółki” Boscamp wysyła list do komendanta twierdzy w Kamieńcu Podolskim, Jana de Witte. Kamieniec był wówczas jedną z pierwszych miejscowości przy granicy Rzeczypospolitej z Turcją. Informuje go o sytuacji i prosi o odesłanie kłopotliwej znajomej z powrotem do Stambułu.

W „areszcie domowym” w Kamieńcu Zofia czeka na okazję, która zabierze ją do domu. Nie traci czasu – gorączkowo szuka powodu, który uniemożliwiłby jej deportację z Rzecz-

pospolitej. Wtedy jej uwagę zwraca syn Jana de Witte – Józef. Dwa razy od niej starszy, odrażającej brzydoty, niepozorny, podłego charakteru cynik i karierowicz, ale zapatrzonej w nią jak w obrazek. Zofia przekonała go, że pochodzi z dobrej rodziny i jest dziewczyną. W tajemnicy przez teściem biorą szybki ślub. Zofia ma wówczas zaledwie osiemnaście lat.

Życie w Kamieńcu nie należało w tamtych czasach do najprzyjemniejszych, zwłaszcza, kiedy mieszkano się w domu komendanta twierdzy. Wokół tylko żołnierze i więźniowie, nawet do stołu usługiwali zasądzeni na ciężkie roboty i zakuci w kajdany. Taką cenę zapłaciła na pozostanie w Polsce, jednak wychodząc za mąż nie zamierzała porzucić dawnego sposobu życia. Jej skłonność do mężczyzn szybko stała się szeroko znana na Podolu.

W podróż poślubną państwo młodzi wyprawili się dopiero dwa lata po ślubie. Odwiedzili Warszawę, Berlin, Spa, Paryż, Wiedeń. Zofia wszędzie budziła zainteresowanie, a wieść o jej przybyciu docierała dużo wcześniej, niż ona sama. Poeta Stanisław Trembecki napisał na jej cześć wiersz:

*Śliczna Zofijo! Twoje nawiedziny
Wiodą mi na myśl obaloną Troję.
Z podobnej ona zginęła przyczyny:
Jakże się słusznie o Kamieniec
boją!*

*Czy mi się zdaje, czy tysiące koni
Widzę spoczone i ludy w kurzawie,
Krzyżące tłumy: do bronii! do bronii!
I już o Dniestru myślące przeprawie?*

- Tymi kilkoma linijkami Trembecki zarobił na swoją emeryturę, którą spędził przy dworze Zofii w



Tulczynie. Fryderyk II miał na jej widok powiedzieć: „Daję słowo, jeśli w jej kraju jest sporo takich buziaków, to warto tam podróżować!”.

Jej wdzięki podziwiał przebywający na Podolu książę de Ligne i donosi o tym w liście królowi. Ten odpowiada: „proszę pana jednak, abyś go [Józefa de Witte] przestrzegł, iż pod żadnym pozorem nie powinien pozwolić Turkom na oglądanie jego pięknej żony. Nie trzeba tym panom dawać jeszcze jednego powodu, dla



Zofia Wittowa-Potocka

którego mogliby płonąć żądzą zdobycia tej miejscowości. Taki motyw mógłby uczynić ich atak silniejszym od obrony, przy całej dobrej opinii, jaką mam o komendancie i garnizonie”.

Wśród jej licznych wielbicieli był także książę Potiomkin. Poznali się w kwaterze wojsk rosyjskich pod Oczakowem w 1788 r. Potiomkin, chcąc nakłonić Zofię do przyjęcia szalu kaszmińskiego olbrzymiej wartości, zorganizował wielki festyn, na którym znalazło się dwieście dam, a po obiedzie prosił, aby ciągnęły losy

na Podolu – Potockimi z Tulczyna. Na wieść jednak o tym, że Zofia wybiera się do niej z wizytą, Józefina Potocka opuściła na kilka dni pałac. Nie spodziewała się, że niebawem Zofia zajmie jej miejsce u boku Stanisława Szczęsnego Potockiego. Zofia i Szczęsny poznali się na imieninach carycy Katarzyny, obchodzonych w 1791 r. w Jassach w Mołdawii. Magnat, będący symbolem zdraycy Rzeczypospolitej, nie miał łatwego życia – wychowany przez okrutnych rodziców, z winy których zginęła jego pierwsza, ciężarna żona, ożenił się ponownie, ale nie zaznał w małżeństwie szczęścia. Józefina Potocka, podobnie jak Zofia, znana była ze swojej słabości do mężczyzn, i z jedenaścioro dzieci, które urodziła Szczęsnemu, tylko trójka była rzeczywistymi jego dziećmi.

Potocki zakochał się w Zofii bez pamięci. To dla niej kazał stworzyć słynny, istniejący do dziś, park Zofiówka koło Humania, którego budowa zajęła 9 lat i pochłonęła 15 milionów złotych. Kolejne 500 tys. kosztował rozwód Zofii z de Wittem, choć od jednej z dam lwowskich usłyszała: „Wcale już rozwód W. Pani niepotrzebny, boś się w tym już uściła, co po rozwodzie następować zwykło...”. Przed sądem przysięgała, że do małżeństwa zmuszona ją groźbami. Dożyłotnio zabezpieczyła dochodami Józefa de Witte i dorosłego już syna, Jana. Byłemu mężowi zaaranżowała nawet kolejne małżeństwo z 17-letnią Karoliną z Ostrorogów, które także nie okazało się szczęśliwym. Wychodząc

za Szczęsnego Potockiego była już matką trójki jego dzieci (niestety wszystkie wkrótce zmarły, pochowano je w Zofiówce). Miała 38 lat, 20 lat minęło od jej wyjazdu ze Stambułu.

Teraz dopiero rozpoczęło się dla Zofii życie pełne wygód i splendorów. Potocki był jednym z najbogatszych magnatów na Podolu, a w pałacu tulczyńskim żyło się jak na dworze królewskim. Zofia rodzi Szczęsnemu kolejne dzieci, z których ostatnie było faktycznie jego... wnukiem. Zaszła w ciążę z synem swego męża z poprzedniego małżeństwa, Szczęsnym Jerzym, młodszym od niej o 16 lat.

Jej mąż, dowiedziawszy się o ciąży, której nie mógł być sprawcą, załamuje się. Cierpi na manię prześladowczą, uważa, że bliscy chcą go otruć, sam sobie gotuje. Wkrótce umiera. Lekarze podczas sekcji zwłok dochodzą do wniosku, że śmierć nastąpiła z powodu niewydolności nerek, ta zaś była następstwem „zbytniego zażywania cukierków, diabolami zwanymi, do sprawy lubieżnej pobudzających”.

Szczęsny nie miał szczęścia nawet po śmierci. Pozostawionego na noc w kaplicy trupa nieznanymi sprawcami ograbili i porzucili gołego na podłodze.

Zofia przez kilka kolejnych lat żyje w związku ze Szczęsnym Jerzym, lecz jej głowę zaprzętają teraz ważniejsze sprawy. Według ówczesnego prawa rosyjskiego (Tulczyn po rozbiorach znalazł się pod zaborem rosyjskim) wdowa miała jedynie prawo do swojego posagu i części majątku ruchomego. Oznaczało to dla Zofii całkowitą ruinę – posagu nie wniosła przecież Szczęsnemu żadnego, a jego dzieci z pierwszego małżeństwa, nie licząc Jerzego, nie były do niej przychylnie nastawione. Sprawę jednak załatwiła dla siebie pomyślnie starym i wypróbowanym sposobem. Wstał się za nią poznany w Petersburgu Nowosilcow, któremu zaofiarowała w zamian swoje wdzięki. Mimo, iż była wówczas kobietą 46-letnią, która urodziła się pięć lat wcześniej, wciąż przyciągała mężczyzn jak magnes.

Nie wiemy, jak wyglądały ostatnie lata jej życia. Mieszkała początkowo w Tulczynie, później w Humaniu. Śmierć zastała ją w Berlinie w 1822 r. Pochowano ją w Humaniu, a po trzęsieniu ziemi, które nawiedziło miasto i jego konfiskacie, jej zwłoki przeniesiono do Talnego.

Spędziwszy całe swoje dorosłe życie na ziemiach polskich i wśród Polaków, nigdy nie nauczyła się polskiego. Jej postać – pięknej Greczynki – pojawia się w niedokończonej powieści Słowackiego „król Ladawy”.

OBOZY GENERAŁA SIKORSKIEGO

„Nie ma sądownictwa polskiego i ci, którzy robią intrygi, znajdują się w obozie koncentracyjnym” – cytata z przemówienia generała Sikorskiego na posiedzeniu Rady Narodowej 18 lipca 1940 roku. Sikorski nie miał wtedy jeszcze żadnego obozu, jeśli nie liczyć stadionu Glasgow Rangers, na terenie którego pozwolono mu trzymać przywiezionych właśnie z Francji więźniów obozu z Cerizay. Generał nie zabrał z Francji polskiego złota (w ilości 75 ton!), za to dopilnował, aby zabrać do Wielkiej Brytanii swoich uwięzionych we Francji przeciwników politycznych. Od razu wyjaśnijmy sprawę. To generał określał kto jest jego przeciwnikiem lub nawet wrogiem i delikwent, którego to dotyczyło nie miał w tej sprawie żadnego głosu. Wielu w ten sposób napiętnowanych nie czuło się przeciwnikami generała.



SZYMON KAZIMIERSKI

Przeciwnicy i wrogowie Sikorskiego

Polacy przedzierali się z okupowanej Polski początkowo do Francji, a później do Anglii tylko dlatego, że tak im nakazywał patriotyczny obowiązek. Dla nich nie było ważne kto aktualnie rządzi w emigracyjnym rządzie czy też kto dowodzi emigracyjnym wojskiem. Większość oficerów, a już na pewno szeregowych, w ogóle nie kojarzyła sobie osoby generała. Zlatywali się zewsząd do niego jak ćmy do ogniska tylko dlatego, że tworzył polskie wojsko. To on, ku ich zaskoczeniu, wybierał sobie spośród nich swoich wrogów. Miał zresztą całą masę pomocników, którzy mu tych wrogów chętnie wyszukiwali. Wiadomo było, że przed wojną sanacja mocno mu dokuczala, ale ilu było tych dokuczających mu sanatorów? Pięćdziesięciu? Stu? Niechby stu pięćdziesięciu. A on mszcząc się, prześladował setki, a może i tysiące. Kogo więc prześladował?

Na razie trzymał ich na stadionie, ale stadionu nie można było blokadować zbyt długo, więc utworzono dwa obozy pod namiotami. Jeden w Broughton, a drugi w Douglas na wyspie Man, położonej na Morzu Irlandzkim. Anglików zaskoczyło gdy Polacy odrzucili dużo lepsze warunki i lepszą lokalizację, które im oferowali. Nie wpadli jakoś na pomysł, że obozy

wcale nie muszą być wygodne, że nawet lepiej, jeśli będą bardzo niewygodne. Pan generał karał przecież swoich „wrogów”, a nie zabiegał o ich wygodę. Wkrótce, do obozów pod namiotami zaczęto kierować nie tylko wrogów, ale emerytów i oficerów nie posiadających przydziałów. W namiotach zrobiło się ciasno i trzeba było coś zmienić.

11 sierpnia 1940, z polecenia Sikorskiego, na podstawie tajnego rozkazu pełniącego obowiązki Dowódcy Obozów i Oddziałów WP w Szkocji generała Kukiela, w miasteczku Rothesay na szkockiej wyspie Bute, powstało „zgrupowanie oficerów nieprzydzielonych” zwane Stacją Zborną Oficerów.

Rothesay przed wojną funkcjonowało jako kurort dla niedalekiego, dużego miasta Glasgow. Teraz puste i bezлюдne domki dla kuracjuszy wynajął rząd polski i tu właśnie urządził swój obóz. Istnienie tego obozu wcale nie było dla Polaków tajemnicą, choć trzeba było się pilnować, bo w wojsku szalało donosicielstwo i rozmowy na temat obozu mogły się skończyć bardzo niemilo. Wkrótce w szeptanych gadkach zaczęto nazywać obóz Wyspą Wężów. Nie był to typowy obóz koncentracyjny. Obóz pomyślany był sprytnie. Nie było drutów, bo Rothesay leżało na wyspie i jej jedyny kontakt ze światem stanowił niewielki port. Wystarczyło zablokować port i miało się w ręku wszystkich mieszkańców wyspy. Tak też zrobiono. W porcie stały posterunki polskiej żandarmerii, które, co prawda nic nie miały do szkockich mieszkańców wyspy, ale które uniemożliwiały wyjazd Polakom. Kogo więc tu przywieziono, siedział już jak w kryminale, ale w kryminale bez ostentacyjnie wyrażonych atrybutów



Generał potrafił nienawidzić

więzienia. Nadzoru nad Polakami przywożonymi na wyspę nie dało się ukryć przed jej szkockimi mieszkańcami, wobec tego miejscowa ludność została uprzedzona, że są to celowo odizolowani od polskiego wojska ludzie w jakiś tam sposób niegodni. Pijacy, fałszerze, erotomani, złodzieje, homoseksualiści i co tylko jeszcze. Ludność wyspy natychmiast odsunęła się od tych Polaków jak najdalej. Cała ich korespondencja była kontrolowana i cenzurowana. Na wysłanie listu, czy telegramu musieli otrzymać pisemne pozwolenie władz obozu. Wszystkim

Cytat: „Nie było szans na uzyskanie przydziału wojskowego ani na jakąkolwiek pracę. Dowództwo zignorowało prośbę przetrzymywanych w obozie 100 saperów o przydział pracy w Londynie przy rozbiórce domów, naprawianiu szkód czy rozbijaniu bomb”. (Londyn był wtedy intensywnie bombardowany i każda para rąk do usuwania szkód, była na wagę złota). Osadzeni próbowali interweniować u generała. Pisali do niego błagalne listy, w których przekonywali go, że są niewinni, albo jeszcze lepiej, że nie został im przedstawiony żaden powód zamknięcia w obozie. – Generał ani myślał się tym zajmować.

Po jakimś czasie zaczęły się tragedie. Zaczęła się epidemia samobójstw. Bardzo różnie mówi się o ilości tych samobójstw. Nic dziwnego, skoro nie ma dokumentów świadczących choćby tylko o ogólnej ilości uwięzionych. Nie wiadomo, czy w ogóle prowadzono jakąś dokumentację, czy może wszystko odbywało się przysłowioowo – „na gębę”. Nie za bardzo wiadomo więc ilu było osadzonych, nie znane są prawdziwe powody ich zamknięcia i to, jak dłu-

System tworzenia wrogów generała Sikorskiego można zaobserwować na przykładzie sprawy znanego polskiego pisarza i pilota Janusza Meissnera. Wraz z dwoma kolegami Zygmuntem Wasilewskim i Arturem Horowiczem założyli satyryczne piśmiennictwo nazwane „Polski Spitfire”. Jedyny numer piśmiennictwa ukazał się 5 września 1940 roku i wywołał „burzę w szklance wody”. Śmieszne wierszyki i satyra zawarta w piśmiennictwie doprowadziła do szału generała i całe jego otoczenie. Meissner od razu został zesłany na Wyspę Wężów, bowiem generała Sikorskiego i jego dokonania wolno było tylko wielbić i podziwiać.

zarządzali „dwójkarze” [Oddział II Informacyjno-Wywiadowczy Sztabu Naczelnego Wodza (Wydział Kontrywywiadu)]. Osadzeni otrzymywali częściowe pobory. Mogli mieszkać w pomieszczeniach wynajmowanych przez polski rząd, ale najczęściej były to pokoje wieloosobowe i nie zawsze „szlafkamratom” udawało się odpowiednio dobrać. Jeśli więc mieli na to ochotę i było ich na to stać, mogli sobie wynająć prywatnie mieszkanie w miasteczku. I co dalej? Otóż chodziło o to, że dalej już nic nie było. Pan generał zastosował w stosunku do więźniów torturę nic nie robienia. Próbowano się czymś zająć, ale czym? Grali w karty, pili wódkę. Ale ile można grać w karty i pić wódkę?

go przebywali w obozie. Informacje o obozie, jakie mamy, pochodzą od tych, którzy z obozu w końcu wyszli i to tylko od tych, którzy chcieli w ogóle coś mówić. A takich było niewielu.

W sumie naliczono około 100 samobójstw. Nieboszczyków nie chowano na cmentarzu. Zakopywano ich gdzieś w dołach nie zaznaczonych mogiłą, czy krzyżem. Teraz nikt już nie może wskazać nawet przybliżonego miejsca ich pochówku. Kilkunastu oficerów nie mogąc pogodzić się z niegodziwością jaka ich spotkała, dostało zaburzeń psychicznych i wylądowało w szpitalu. „Rothesay to trupiarnia – pisał w swoim dzienniku więzień Stefan Mękowski – z której ostatnio jednego oficera na tydzień >



Rothesay na wyspie Bute

▷ wysyłają do domu wariatów”. Na samą wiadomość, że mają być odesłani na Wyspę Węzów, oficerowie popełniali samobójstwo!

Więźniowie Wyspy Węzów

Przyjmuje się, że przez Wyspę Węzów przeszło w sumie około 1500, a może i 1700 oficerów, w tym 20 generałów. W Rothesay Sikorski kazał zamknąć również panią Aleksandrę Piłsudską, żonę marszałka Piłsudskiego. Nie wiem, czy samą, czy razem z córkami. Czyżby Sikorski obawiał się tej kobiety, czy tylko przesładował nazwisko Piłsudski? Jak Państwo myślicie? Godzi się polskiemu oficerowi przesładować kobiety? Już nie mówię generalowi. Nie powiem też rycerzowi, bo takim Sikorski na pewno nie był. Czyżby ta dzika rządzą zemsty brała się u niego z jakichś zaburzeń psychicznych??

Z najbardziej znanych więźniów Rothesay można wymienić przedwojennego premiera Mariana Zyndramę Kościalkowskiego, dowódcę Armii

wiczem założyli dla zabawy satyryczne piśmiotki nazwane „Polski Spitfire”. Jedyny numer piśmiotki ukazał się 5 września 1940 roku i wywołał „burzę w szklance wody”. Śmieszne wierszyki i satyra zawarta w piśmiotce doprowadziła do szału generała i całe jego otoczenie. Meissner od razu został zesłany na Wyspę Węzów, bowiem generała Sikorskiego i jego dokonania wolno było tylko wielbić i podziwiać, a ten drań Meissner zaczął sobie robić głupie żarty.

Cytat: „Jak tylko mógł, Sikorski bezwzględnie knebłował swoją opozycję, marnując najbardziej wartościowy, patriotyczny potencjał ludzki. W sposób małostkowy, mściwy i podły rozliczał się z nienawistną mu sanacją piłsudczykowską”.

„Pensjonariusz” Rothesay generała Dąb-Biernacki słynął z tego, że bez przerwy głośno kłął i przezywał generała Sikorskiego. Często też wysyłał mu wielce obraźliwe listy pełne „wojskowych” określeń. Sprawa generała Dąb-Biernackiego trafiła do polskie-

„poczet” tych obozów, jako najmniej represyjny.

Uwięzieni bez przesłuchań i sądu

Od listopada 1940 roku powstał następny obóz w Tighnabruaich. Tighnabruaich to niewielka szkocka miejscowość położona po drugiej stronie wyspy Bute, ale już na lądzie stałym (jeśli tak można powiedzieć o wyspie Wielka Brytania). Od wysepki Bute oddziela Tighnabruaich cieśnina Kyles of Bute. Tighnabruaich, to długa, wąska ulicówka położona pomiędzy wodami cieśniny i podchodzącym do morza pasmem wzgórz. Teraz już nikt nie pamięta, gdzie znajdował się polski obóz. Prawdopodobnie zbudowano go jakby poza miasteczkiem, to jest w głębi łąki, pomiędzy wysokimi pagórkami. Nikt tam nie chodził, więc i nie została po nim żadna pamięć.

Tighnabruaich był filią obozu Rothesay i komendant obozu Tighnabruaich podlegał komendantowi

przybyłym tu, brak mi szczegółowej opinii i wyraźnie podanego rodzaju winy” (!!).

Pan Dariusz Baliszewski w artykule „Obozy Sikorskiego” przytacza listy osadzonych: „Porucznik rezerwy kawalerii Stanisław Dergiman zapisał w meldunku do naczelnego wodza: „Od roku jestem stale poniżany i krzywdzony. Mimo usilnych starań z mej strony, aby dowiedzieć się o stawiane mi zarzuty, nikt dotychczas nie tylko, że mi ich nie skonkretyzował, ale nawet nie przesłuchano mnie”. Kapitan Sergiusz Niedzielski stwierdzał: „Mam 46 lat, jestem żonaty i mam dwoje małoletnich dzieci. Oświadczono mi, że jestem przysłany tutaj dlatego, że ciąży na mnie zarzut pijactwa, karciarstwa i erotomanii. Oświadczam, że w ogóle nie piję alkoholu, w karty grać nie umiem, a co się tyczy zarzutu erotomanii, to oświadczam, że zboczenia takiego nie mam, a przypisywany mi zarzut polega widocznie na anonimowym doniesieniu, złośliwym i bezpodstawnym”.

Pisano do niego listy z prośbą o interwencję, a to przecież generał Sikorski stworzył system pozbywania się ludzi znienawidzonych, lub niewygodnych, których zamykało się w obozie bez wyroku jakiegokolwiek sądu, nawet na podstawie głupiego donosu, czy widzi mi się dowódcy. Gdy ten system już istniał, nie tylko generał pozbywał się w ten sposób ludzi, którym chciano zaszkodzić.

Sprawa obozów w Rothesay i Tighnabruaich pękła z wielkim hukiem w czerwcu 1942 roku, kiedy to obozami zainteresował się poseł Izby Gmin Henry Morrison z Partii Pracy. Poseł Morrison odwiedził kiedyś swoją siostrę, mieszkającą w Rothesay i bardzo zainteresowała go obecność w mieście wielu dziwnych polskich oficerów. Poseł sprawy nie odpuścił, aż powoli dowiedział się prawdy. Wraz z drugim posłem Gerardem McKinney'em złożył głośną interpelację w brytyjskim parlamencie. Oburzone głosy podniosła też prasa brytyjska.



Tak wygląda Kingledoors

Generał Sikorski doczekał się nareszcie druzgocącej oceny. Posłowie zmusili rząd brytyjski do likwidacji prywatnych obozów pana generała. Nikt w Wielkiej Brytanii nie życzył sobie podobnego świństwa na terenie Królestwa. Z największą odrazą mówiono wtedy między Anglikami o cudzoziemcach, budujących na angielskiej ziemi obozy koncentracyjne. Na taką reakcję parlamentu nie mógł nic poradzić nawet „wszechmocny” Churchill. To Brytyjczycy, nie Polacy doprowadzili do zamknięcia obu obozów. Obozy zostały rozwiązane. Każdemu z osadzonych wypłacono przed zwolnieniem 20 funtów i każdy mógł iść dokąd chciał, zaś pan generał do-

stał mocno po łapach, a przy okazji solidną lekcję brytyjskiej demokracji. Mimo tej głośnej akcji brytyjskiego parlamentu są poważne podejrzenia, że rozwiązane obozy istniały nadal, tyle, że zakamuflowane i w formie mocno już szczątkowej.

Prawdziwy obóz koncentracyjny

Był jeszcze trzeci obóz prowadzony, nie jak dwa poprzednie przez pracowników kontrwywiadu, a przez żandarmerię wojskową. Nazywano go obozem karnym i mieli w nim przebywać jakoby tylko skazani wyrokami sądów polowych. Może tak było, a może nie całkiem tak było. Jak się posłucha, że siedzieli w nim: fałszerze, złodzieje, alfonsi i handlarze żywym towarem, od razu przypominają się sławetne Rothesay i Tighnabruaich. Ja nie mówię, że tam nie było kryminalistów. Chciałem Państwu tylko zwrócić uwagę na fakt, że armia polska na Zachodzie nie składała się z poborowych, branych równo według rocznika, gdzie nawet o tym nie wiedząc, bierze się do wojska przyzwyczajonego człowieka i bandytę. Armia polska na Zachodzie składała się głównie z OCHOTNIKÓW, KTÓRYCH NIKT NIE ZMUSZAŁ DO SŁUŻBY, a więc ludzie jak gdyby już preselekcjonowanych zanim jeszcze założyli mundury. Margines, kryminaliści, z reguły mają w d... obowiązki wobec Ojczyzny i ani im w głowie pchać się do wojska szczególnie, gdy wymaga to wielu trudów i wyrzeczeń. Niech mi więc nikt nie mówi o konieczności powstania takiego obozu, bo w każdym wojsku znajdują się kryminaliści i psychopaci. Będę się za to upierał, że tacy żołnierze owszem bywają, ale nie w każdym wojsku.

Obóz, jak można przeczytać, początkowo znajdował się w Kingledoors. Tylko, że Kingledoors nie jest nazwą jakiejś miejscowości, a nazwą regionu, krainy. Powiedzieć, że coś było w Kingledoors, to tak samo, jakby po polsku powiedzieć, że coś



Tighnabruaich

„Prusy” gen. Stefana Dąb-Biernackiego, wojewodę śląskiego i przewodniczącego ZHP Michała Grażyńskiego, adiutanta marszałka Rydzas-Śmigłego pułkownika Tadeusza Munichy, czy generała i lotnika Ludomiła Rayskiego, kiedyś szefa polskiego lotnictwa wojskowego, którego Sikorski już raz chciał wsadzić we Francję do obozu Cerizay, ale generał Rayski mu się wtedy nie podporządkował. Rayski został zwolniony z Rothesay dopiero po ostrej i kategorycznej interwencji Brytyjczyków. Sikorski musiał wtedy Rayskiego wypuścić, ale jego nienawiść była tak ogromna, że nie przywrócił Rayskiego do służby wojskowej. Wobec tego Brytyjczycy przyjęli generała Rayskiego do lotnictwa brytyjskiego. Rayski został przywrócony do służby w Wojsku Polskim dopiero po śmierci Sikorskiego.

Na Rothesay wylądował też pułkownik Władysław Dec dowódca batalionu podhalańskiego, czyli resztek Samodzielnej Brygady Podhalańskiej, którą generał skazał na zagładę we Francji tylko dlatego, by pokazać jak żarliwym jest frankofilem. Sam pan pułkownik tak pisze: „W wyniku długo trwającej nagonki zostałem zwolniony ze stanowiska dowódcy batalionu podhalańskiego i odesłany na stację zbórny oficerów Rothesay”. Może chciano się pozbyć potencjalnego świadka strategicznych uzdolnień naszego generała?

System tworzenia wrogów generała Sikorskiego można zaobserwować na przykładzie sprawy znanego polskiego pisarza i pilota Janusza Meissnera. Meissner, może dlatego, że już nie najmłodszy, bardzo długo oczekiwał przydziału do lotnictwa i z nudów wraz z dwoma kolegami Zygmuntem Wasilewskim i Arturem Horo-

go sądu polowego. Generał został zdegradowany i wydalony z wojska. I teraz, proszę Państwa, coś naprawdę fajnego. Zdegradowanego generała Dąb-Biernackiego i już cywila, na PROŚBĘ generała Sikorskiego, Anglicy zamykają w angielskim więzieniu! Anglicy znani są z tego, że wręcz fanatycznie przestrzegają prawa, ale jak widać, gdy się ich grzecznie poprosi, gotowi są pójść na niezwykle ustępstwa. Generał Dąb-Biernacki siedział więc u Anglików aż do śmierci Sikorskiego. Potem ktoś sobie o nim przypomniał i generał Dąb, jakby nigdy nic, został przez Anglików wypuszczony.

Proszę Państwa. Bardzo poobieżnie i bardzo skrótowo przedstawiłem Państwu obóz internowania Rothesay na Wyspie Węzów. Może czujecie się Państwo trochę oszukani, bo miało być o obozach koncentracyjnych, a opisałem przymusowe nic nierobienie w warunkach raczej całkiem znośnych. Dość długo „przeżyłem się” przez sprawę obozów generała Sikorskiego i chyba poznałem istotę tego systemu. Obozów było kilka i były one zorganizowane w systemie coraz to surowszej dyscypliny i środków represji, jakie w nich panowały. Rothesay otwiera

Rothesay. Ten obóz miał już druty kolczaste otaczające namioty i baraki. Warunki w obozie były okropne. Siedzieli w nim oficerowie niższego stopnia niż ci z Rothesay. Oficjalnie byli to oczywiście, fałszerze pieniędzy, homoseksualiści, zboczeńcy seksualni, właściciel burdeli i tak dalej. Jak było naprawdę? Pan Adam Węglowski w „Tygodniku Powszechnym” pisał: „Od listopada 1940 r. „patologiczne” przypadki z Rothesay kierowano do podobozu w Tighnabruaich. Zdaniem prof. Zuziaka (prof. Janusz Zuziak, dyrektor Instytutu Nauk Humanistycznych Akademii Obrony Narodowej), żołnierze trafiali tam nawet na podstawie fałszywych donosów, bez żadnego dochodzenia i wyroku. Osadzony porucznik wojsk pancernych Henryk Halicki skarżył się: „Niemcy postąpili ze mną szlachetniej niż tutaj rodacy, bo pozwolili zatrzymać broń ręczną, traktując mnie jak rycerza, natomiast tu postąpiono ze mną jak z paskarzem lub bandytą”. Sam p.o. komendanta tego obozu, płk Władysław Spalek, meldował swemu zwierzchnikowi – gen. Bronisławowi Jacynie-Jatelnickiemu, szefowi ośrodka w Rothesay – że „odnośnie niektórych oficerów

Dariusz Baliszewski w artykule „Obozy Sikorskiego” przytacza listy osadzonych: „Porucznik rezerwy kawalerii Stanisław Dergiman zapisał w meldunku do naczelnego wodza: „Od roku jestem stale poniżany i krzywdzony. Mimo usilnych starań z mej strony, aby dowiedzieć się o stawiane mi zarzuty, nikt dotychczas nie tylko, że mi ich nie skonkretyzował, ale nawet nie przesłuchano mnie”.

W przypadku Shinafoot mamy więc też pustkowie, ale z dużo lepszym dojrzaniem niż mogło to być na Kingledoors.

Shinafoot – to już był obóz koncentracyjny pełną gębą! Otaczały go dwa rzędy ogrodzeń z drutu kolczastego. Na rogach ogrodzenia wznosiły się wieżyczki wartownicze. Dość dokładny opis obozu zawdzięczamy polskiemu pisarzowi, wtedy oficerowi prasowemu, Stanisławowi Strumph-Wojtkiewiczowi, jaki pisarz umieścił w swej książce „Wbrew rozkazowi”. Strumph-Wojtkiewicz natknął się na obóz przypadkiem, odbywając akurat staż w brytyjskiej jednostce artylerii, położonej niedaleko obozu. To co zobaczył, tak go sfrustrowało, że postanowił dowiedzieć się o tym obozie czegoś więcej. Udał się więc do obozu niiby to starając się o pozwolenie wygłoszenia więźniom patriotycznego odczytu. Po wizycie, wstrząśnięty do głębi, wysłał pisemny raport o nieludzkim traktowaniu więźniów tego obozu do (o, naiwności!!!)... generała Sikorskiego! Po jakimś czasie Sikorski miał mu podobno podziękować za ów raport i powiedzieć, że dzięki niemu zlikwidował właśnie to okropne miejsce.

Obóz w Shinafoot bardzo przypominał Stutthof, niemiecki obóz na Żulawach koło Gdańska, który też był obozem policyjnym, a państwowym obozem koncentracyjnym stał się dopiero po latach. Co bardzo dziwne, nawet zachowanie wobec więźniów było w obu obozach podobne.

Cytat: „Warunki tam panujące były bardzo podobne tym z hitlerowskich kacetów. Głodowe racje żywności, tortury i morderstwa były na porządku dziennym. Mieszkającym w okolicy Szkotom zakazano zbliżać się do ogrodzenia. Tłumaczono, że wewnątrz znajdują się niemieccy szpiegi i dywersanci”. Chirurg Adam Majewski we wspomnieniach „Wojna, ludzie, medycyna”: „Żołnierze od dawna coś przebakowali o jakimś polskim obozie koncentracyjnym na terenie Szkocji, ale nie wierzyłem w to. A jednak od przybywających stamtąd pacjentów, okazało się, że było tam wszystko, jak w Berezie Kartuskiej: i druty kolczaste, i baraki, i „żabka”, i wybijanie zębów, i dozorczy sadyści, i komendant obozu, w którego kancelarii więźniowie podczas szorowania podłogi byli bici i kopani przez specjalnie dobranych żandarmów”. Następny cytat: „...obóz Shinafoot, w którym panuje drakońska dyscyplina. Żołnierze są bici i dręczeni. Ładują tam, często za bardzo drobne przewinienia, ludzie przedzierający się brawurowo przez wiele granic, by ochotniczo walczyć w Polskim Wojsku”.

Komendantem obozu był kapitan Korkiewicz. „Bydł nad bydłaki”

- jak go określali jemu współcześni.

Pan Adam Węglowski w artykule „W obozach Sikorskiego”: „Kolejne szczegóły pojawiły się po wojnie, gdy do sprawy obozu w Kingledoors (Shinafoot) wrócono w latach 1953-54 na łamach paryskiej „Kultury”. W artykule „Rubens miał filię w Szkocji” były podoficer Maciej Feldhuzen (podchorąży z cenzurem, redaktor szkockiego „Dziennika Żołnierza” Sz. Kaz.) pisał: „Na czele obozu dyscyplinarnego w Shinafoot stanął kapitan Korkiewicz. Alkoholik, psychopata, sadysta, który własnoręcznie maltretował więźniów. Zakładano im od tyłu kajdanki na ręce i wieszano na poprzeczce u sufitu, a pan kapitan Korkiewicz sam wiszących dusił za gardło, bił po twarzach i kopał w brzuch. Działo się to w roku Pańskim 1941, a więc Lagerführer Korkiewicz nie był odosobniony w bicu skutych i bezbronnych żołnierzy polskich, bo robiło to samo, równole-



Generał Anders (od lewej) i generał Sikorski. Sikorski mocno zatroskany. Nic dziwnego. Trafiła kosa na kamień

gle z nim, w tym samym dniu i o tej samej godzinie, wielu innych jego kolegów, Lagerführerów na terenie Polski i Niemiec”.

Z kolei biskup polowy WP Józef Gawlina napisał w liście do redakcji o „najgorszym wypadku”, czyli „zastrzeleniu niewinnego strzelca Edwarda Jakubowskiego”. Stało się to 29 października 1940 r. Osadzony w obozie dr A. Skowronek przypominał, że zabił go wartownik w „areszcie spoza zasieków podwójnych z drutów kolczastych”. Za co? „Pod silną prowokacją znanej w wojsku obelgi o »matce«, – jak oględnie wyjaśnił w liście”.

Ostra interpelacja brytyjskich posłów w parlamencie dotknęła też obóz w Shinafoot. Tu nie można było załatwić sprawy wypłacając więźniom po 20 funtów. Trzeba było czegoś więcej, więc odwołano się do sądu wojkowego. Tyle, że sąd kapitana Korkiewicza uniewinnił, a w sprawie zastrzelenia więźnia przez strażnika uznano, że użycie broni było uzasadnione. Obóz na farmie Shinafoot zlikwidowano, ale go nie rozwiązano! W największej tajemnicy przeniesiono go do miejscowości Abernethy.

Tak naprawdę, wszystkie obozy zostały zlikwidowane, a więźniowie rozpuszczeni dopiero po śmierci Sikorskiego i co ciekawe, nie wpłynęło to na pogorszenie bezpieczeństwa w Wielkiej Brytanii. Tacy to w nich bowiem siedzieli „kryminaliści”. To, że obozy zlikwidowano od razu po śmierci generała dobitnie wskazuje, że nikomu innemu poza generałem, te obozy nie były potrzebne.

Tak nota bene. Kapitan Korkiewicz zginął na ulicy w niedalekim Edynburgu. Wpadł pod tramwaj!

„Zgrzyty” pomiędzy generałem Sikorskim a generałem Andersem

Proszę Państwa. To jeszcze nie koniec opowieści o obozach generała Sikorskiego. Zapomnieliście bowiem Państwo o Wojsku Polskim na Bliskim Wschodzie, czyli o tak zwanej armii generała Andersa.

negu, polskiego dowodzenia. Sam pomysł wyjścia z wojskiem ze Związku Radzieckiego też był pomysłem Andersa, któremu Sikorski stanowczo się sprzeciwiał nie zważając na rzeczowe argumenty, jakich używał generał Anders w zaciętej dyskusji pomiędzy generałami. Sikorski chciał „robić politykę” rozumianą jako walkę z Niemcami ramię w ramię z Armią Czerwoną, a Anders mu tłumaczył, że żołnierze, po tym, co ich spotkało w Związku Radzieckim nienawidzą Rosjan bardziej niż Niemców, że woj-

Sikorski chciał „robić politykę” jako walkę z Niemcami do spółki z Armią Czerwoną, a Anders mu tłumaczył, że żołnierze, po tym, co ich spotkało w Związku Radzieckim nienawidzą Rosjan bardziej niż Niemców, że wojsko zaczyna głodować, że Rosjanie obcinają i tak niewielkie racje żywnościowe, z których wojsko oddaje jeszcze prawie połowę na wyżywienie polskich cywilów.

sko zaczyna głodować, że Rosjanie obcinają i tak niewielkie racje żywnościowe, z których wojsko oddaje jeszcze prawie połowę na wyżywienie paru dziesiątków tysięcy polskich cywilów ściągających pod opiekę polskiego wojska z całego Sądu w stanie niekiedy agonialnym, schorowani i zagłodzeni prawie na śmierć. Wojsko musiało żywić tę ludzką resztkę ze swoich racji, bo Stalin nie dał na ich wyżywienie ani kromki chleba. To tych nieszczęśników generał Sikorski, nawet kiedy już pogodził się z myślą o wyprowadzeniu wojska do Iranu, chciał POZOSTAWIĆ w Związku Radzieckim!! Anders powiedział, że cywilów nie zostawi!! No i chwala Panu Bogu, nie zostawił. Takie to były „zgrzyty” pomiędzy generałami. Był jeszcze jeden „zgrzyt”, który wciąż czeka na swojego kronikarza. Podzielię się z Państwem taką plotką, nie plotką, jaka kursuje czasami pomiędzy badaczami historii Wojska Polskiego na Zachodzie.

To zaczęło się od samego początku tworzenia armii polskiej w Związku Radzieckim. Ambasador polski w Moskwie, przyjaciel, doradca, a jak mówią znawcy przedmiotu, główny zły duch generała Sikorskiego profesor Kot, w rozmowie z generałem Andersem naciskał na generała, by ten nie przyjmował do wojska dawnych piłsudczyków i sanatorów. Anders miał mu odpowiedzieć, żeby się zamknął i do armii się mu nie wtrącał. Kot oczywiście od razu powiedział o tym Sikorskiemu, a generał oczywiście nie zostawił tej sprawy niezauważonej. Wreszcie, ale to już po wyjściu Polaków ze Związku Radzieckiego, gene-

ral Sikorski spowodował utworzenie w Palestynie przez polską „dwójkę” tak zwanej Drugiej Grupy. Druga Grupa, to był tajny obóz internowania dla oficerów podpadniętych generałowi. Do tego obozu wsadzano, bywało, nawet oficerów wysyłanych do Palestyny z Wielkiej Brytanii! Przez jakiś czas udawano się utrzymać sprawę w tajemnicy, aż wreszcie Anders się o tym dowiedział i co tu dużo mówić, po prostu się wściekł!! Natychmiast aresztował wszystkich pilnujących obozu „dwójkarzy” i oddał ich pod

sąd polowy. Obóz został zlikwidowany, a więźniowie uwolnieni. Historyczna skarga na działania Andersa, jaką palestyńska „dwójka” wysłała do Londynu, miała spowodować dość nagłą, jak pamiętamy, inspekcję Sikorskiego na Bliskim Wschodzie. Sikorski był przekonany, że atak na jego Drugą Grupę zapowiada początek puczu generała Andersa. A w powrotnej drodze był Gibraltar. Myśmy o tym wszystkim nie wiedzieli. Dla nas generał Sikorski był symbolem, posagiem, ideałem, a nie żywym człowiekiem mającym obok zalet, także całą kupę fatalnych wad. Sikorski bardzo ładnie wychodził na zdjęciach, a tylko to, w dodatku tylko czasami, można było zobaczyć w okupowanym kraju. Serce rosło, gdy się widziało tego dostojnego generała w pięknym mundurze, gdy się popatrzyło w jego mądre oczy. Człowiek od razu czuł się lepiej. Wiedziało się wtedy, że nie jesteśmy sami, że na zachodzie jest nasze wojsko i że dowodzi nim nasz Wódz Naczelny. Powtarzało się wtedy jak świętą mantrę: „Im słońce wyżej, tym Sikorski bliżej”. Nikt nas nie informował, że ten Wódz przed każdą ważniejszą uroczystością, kontroluje ustawienie foteli przygotowanych dla polskich notabli. Fotel dla prezydenta stał zwyczajowo wysunięty przed inne fotele. O 20 centymetrów do przodu przed fotelom premiera. Sikorski posuwał wtedy swój fotel o tyle samo do przodu, żeby broń Boże nie stał choć trochę za fotelom prezydenta. Bo dla generała takie duperele były bardzo ważne i wydawało się, że stanowią główną jego troskę. Dopuszczał i sam inicjował represje przeciwko swoim, często wymagowanym wrogom, a to owocowało nienawistnymi wystąpieniami wielu Polaków przeciwko niemu. Dochodziło więc do walk między Polakami, jakby mało było wojny i morderczych zmagani na rozlicznych frontach. Pani Anita Prazmowska, profesor historii z London School of Economics powiedziała: „Sikorski był uważany albo za drania, albo za świętego. Po wojnie Polacy w Anglii postanowili do tych wewnętrznych bolączek nie wracać. Nie chcieli stawiać Polski w złym świetle. To była rozterka: przyznać się, że my też siebie nawzajem nienawidziliśmy”.



Abernethy. Ostatnie miejsce obozu karnego

Sprawa obozów w Rothesay i Tighnabruaich pękła z wielkim hukiem w czerwcu 1942 roku, kiedy to obozami zainteresował się poseł Izby Gmin Henry Morrison. Wraz z posłem Gerardem McKinney'em złożył głośną interpelację w brytyjskim parlamencie. Posłowie zmusili rząd brytyjski do likwidacji prywatnych obozów pana generała. Mimo głośnej akcji brytyjskiego parlamentu były poważne podejrzenia, że rozwiązane obozy istniały nadal, tyle, że zakamuflowane i w formie mocno już szczątkowej.

W 150. rocznicę śmierci Kazimierza Bogdanowicza

Bogdanowicz się nazywał

Czym zasłużył się Bogdanowicz, że już przed wykonaniem wyroku śmierci miejscowa ludność zdążyła ułożyć o nim pieśń? Nie mam zamiaru kreślić tutaj szczegółowego życiorysu Kazimierza Bogdanowicza, ale kilka faktów chciałbym z jego krótkiego życia podać. Pieśń o Bogdanowiczu była niegdyś bardzo popularna wśród ludu. Ma kilkanaście zwrotek i kilka wersji, śpiewana jest nawet współcześnie przez naszą ludową pieśniarkę, Mariannę Majówkową z Bukowy.

Pieśń o Kazimierzu Bogdanowiczu

*Już ojczyzna wolność traci,
Prawdziwego bohatera.
Może który z naszych braci
Nie wie jak Polak umiera.
Bogdanowicz się nazywał,
Liczył lat dwadzieścia parę.
W młodym wieku okazywał
Jak ojczyznę czcić i wiara.
Tam w Lubelskiem przebywał,
Na młodzieży licznym czele.
Tam Moskali on zdobywał,
Bijąc mężnie, siekając śmiele.
A gdy został już pojmany,
Smutna wieś wszędzie rozbrzmiewa.
Bogdanowicz nasz schwytyany
I stawiony przed Chruszczewa.
Gdy Chruszczew wyrok przeczytał
- Wiesz jaka cię czeka kara?
A potem go się zapytał:
- Czy się zdasz na łaskę cara?
Polak się do walki rodzi,
Wroga o życie nie prosi.
Wtedy, gdy na świat przychodzi,
Ojczyźnie sławę przynosi.
Ach wspomnij żeś jeszcze młody,
Żałuj tak krótkiego życia.
Żałuj szczęścia i swobody,
Bo zginięsz tu wśród ukrycia.
Wspomnij, że twa matka żyje,
Czego ona doczekała?
Ona tego nie przeżyje,
Tyle smutku wycierpiała.
Stałaby z dala ode mnie,
Gdybym się splamił nikczemnie.
Z kraju pewnie by uciekał,
Syna – mnie by się wyrzekła.
Jak wy pytał mozećcie
Czy to Polak łaski żąda.
Na odpowiedź jeśli chcecie
Niechaj car trupa ogląda.
Już dwunasta, już czas mija,
Czego wy dłużej czekacie.
Pragnę tego abym zginął,
A wy do mnie nie strzelajcie.
Tylko te wymówił słowa,
Dano ognia padły strzały.
Głowa zawisła na ramieniu,
Usta jęku nie wydały.*

MIROŚLAW M. DEDERKO

Bohater pieśni wywodził się z osiadłej we Lwowie szlacheckiej rodziny ormiańskiej, pieczętującej się herbem „Łada”. Rodzicami jego byli Grzegorz i Marianna z Piramowiczów. Bogdanowicze objęli majątki w Lubelskiem w początkach XIX w.

W 2013 roku obchodzimy 150. rocznicę powstania styczniowego. Był to kolejny zryw niepodległościowy Polaków skierowany głównie przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Obszar Rzeczypospolitej Obojga

Narodów mieliśmy rozdarty między trzy sąsiednie państwa: Rosję, Prusy i Austrię. Sawin i jego okolice znalazły się na długo pod zaborem rosyjskim, chociaż zanim odzyskał niepodległość, był krótko również pod zaborem austriackim. Większość Polaków nigdy nie pogodziła się z utratą niepodległości – myśleli ciągle o jej odzyskaniu, a także o tym, co zrobić, aby nie zatracić polskiej mowy, tradycji, historii, religii rytu łacińskiego czy też unickiego – jednym słowem, aby nie poddać się rusyfikacji, aby nie utracić ducha narodowego. Warto tutaj dodać, że unicy raczej nie czuli sympatii ani do Rosjan [nie mylić Rosjan z Rusinami, gdyż to dwie oddzielne nacje], ani też do prawosławia, zwłaszcza tej odmiany będącej pod wpływem Moskwy.

Położenie Polski, a w szczególności dawnych grodów czerwieńskich, później ziemi chełmskiej było takie, że jakakolwiek zawierucha wojenna między wschodem a zachodem, zawsze dotykała naszego kraju. Polacy sami nie pchali się siłą do europejskiego teatru wojennego, często to wojna porywała ich w swoje tryby. Różnie na tym Polacy wychodzili, raz dobrze, innym razem gorzej, jednak jeśli chodzi o walkę „o wolność waszą i naszą”, nigdy nie żalowali swojej krwi. Tak było i tak jest do dzisiejszego dnia.

Lubelski historyk Wiesław Śladkowski pisze, że pod koniec 1860 roku Kazimierz Bogdanowicz, dzierżawca Łowczy na Podlasiu, będąc członkiem Towarzystwa Rolniczego, wszedł w skład ściślejszego tajnego kółka dyskutującego o sposobach odzyskania niepodległości. Kółko to wraz z Bronisławem Deskurem i Teodorem Jasińskim, grupowało młodszych i bardziej światłych przedstawicieli podlaskiej szlachty, którym, jak pisze Deskur gorąco na sercu leżała sprawa narodowa. W ramach Towarzystwa przystąpili oni do gromadzenia na cele przyszłego powstania tajny pieniężny żelazny kapitał. Pewnego razu spotykali się w większym gronie młodzieży ziemiańskiej w należącej do Deskura Horostycie leżącej w ówczesnym powiecie radzyńskim [był okres, że Horostyta należała do województwa chełmskiego] lub u Jasińskiego w Rozwadówce w powiecie włodawskim. W dzień ćwiczyli się w jeździe konnej, strzelaniu, szermierce, wieczorem zaś, jak pisze Deskur, dyskutowano nad środkami, które miały zapewnić dobrą organizację i powodzenie w przyszłym powstaniu. Młodzi ziemianie byli przekonani, że aby pozyskać



Kazimierz Bogdanowicz

chłopów dla powstania konieczna jest reforma uwłaszczeniowa. Działalność ich i poglądy nie były do końca akceptowane przez ogół ziemiański, dochodziło więc niekiedy do ostrych sporów. W jednej z takich dyskusji Kazimierz Bogdanowicz dowodząc konieczności przygotowania się do powstania, które uważano za nieuniknione, otrzymał od jednego z półpanków odpowiedź mniej więcej tej treści:

„Pan nie masz prawa, jako jakiś lichy dzierżawca [tutaj dodam, że Bogdanowicz dzierżawił wówczas Łowczę], decydować o losie całego narodu, bardzo łatwo poświęcać to, czego nie ma, ale wara rozporządzać tym, co zasługą w tym kraju i wiekami zdobyły sobie rodziny, rujnować je materialnie przez zaburzenia, które w mętnej wodzie niektórym, łapać ryby pozwolą”.

Część uczestników zebrania, dotkniętych do żywego tą wypowiedzią, opuściła je manifestacyjnie, Bogdanowicz natomiast, ze spokojem odpowiedział:

„Mam życie, to do mnie należy i to złożę na ołtarzu ojczyzny. Mówisz Pan, że będę łapał ryby w mętnej wodzie, uprzedził mnie już twój przod-

tecznymi i pozostawiając na miejscu. Na dłuższą metę hasło zdobywania kosami karabinów nie miało szans powodzenia. Samo męstwo, odwaga, nawet największe poświęcenie, aby odnieść sukces, do walki nie wystarczy. Z militarnego punktu widzenia z wybuchem powstania należało jeszcze poczekać. Jednak powstańcom chodziło także o to, aby branka nie zdeorganizowała przygotowanego powstania, aby nie zabrano najlepszych przywódców, spiskowców, żołnierzy do wojska, nie zniszczono całej powstańczej sieci.

Kazimierz Bogdanowicz wywodzący się z Nadrybia, dzierżawca Łowczy, do powstania przygotowywał się już w 1861 roku, zaś w momencie wybuchu, był już dobrze przygotowany. Miał swoją kawalerię jednolicie umundurowaną, przeszkoloną i jako tako uzbrojoną. Ruszył więc Bogdanowicz ku Bukowie, gdzie w dworze Ciemińskiego wyznaczona była koncentracja oddziałów powstańczych, by stąd ruszyć na Chełm. Jednak, czy to zdrada, czy też przypadek, że zanim powstańcy się zebrali, wcześniej do Bukowy wkroczył oddział rosyjski, aresztując tych, którzy przybywali na miejsce zbiórki. Aresztowany został również sam Bogdanowicz i to z bronią w ręku. Dowódca rosyjski mający w swojej dyspozycji zbyt mało żołnierzy, bał się wyruszyć z aresztowanymi do Chełma, tym bardziej, że część drogi wiodła przez lasy. Chciał poczekać na większe posiłki, które miał sprowadzić umyślny goniec. I tutaj, doświadczony carski zawodowy oficer, przeliczył się w swoich planach, gdyż mieszkańcy Sawina, według legendy, na czele z Józefem Grzywaczewskim, ruszyli aresztowanym na odsiecz i ich odbili. Atak na Chełm nie udał się, powstańcy najpierw się rozproszyli po okolicznych lasach, potem zaczęli się koncentrować i skupiać ponownie wokół Bogdanowicza.

Pod koniec lutego 1863 roku w starciu z nieprzyjacielem pod Zezulinem [a nie w Łowczy, jak twierdzą niektórzy] dnia 26 lutego Bogdanowicz został po raz wtóry pojmany do niewoli. Tym razem nie wywinął się z rąk oprawców. Najpierw szybkie śledztwo, potem wyrok – kara śmierci przez rozstrzelanie naznaczone na dzień 5 marca tegoż samego roku. Budziła się wiosna, a Bogdanowicz kończył młode burzliwe życie.

Przed wykonaniem wyroku w obecności księdza Stanisława Feleńskiego i nadzorującego egzekucję podporucznika Czernirowskiego skazaniec sporządził testament, który po latach przytoczył Aleksander ▷

▷ Kraushar oraz W. Śladkowski. W swojej ostatniej woli, spisanej w Lublinie dnia 5 marca 1863 roku, o godzinie 6 nad ranem, czyli na krótko przed straceniem, Bogdanowicz pożegnał się pisemnie z matką, a właścicielom ze swojej wioski pozostawił znaczne kwoty pieniężne. Pisał wówczas na chwilę przed śmiercią:

„Najdrożsi moi! Ty najdroższa Matko, daruj, jeżeli kiedykolwiek obraził Cię należną. Módl się do Pana Naszego, aby nie raczył pamiętać na grzechy moje. Żegnaj was wszystkich i proszę w tej chwili, by Bóg raczył dopuścić, byśmy się jeszcze kiedyś mogli razem znajdować. Z pieniędzy moich 21500 złp, które są kaucją dzierżawną, wynagrodzić krzywdy, jakie kiedykolwiek wyrządziłem, jako to: złotych dwa tysiące dać Olesi, która u Mamy pierwszej służyła, Jaśkowi Borysowi z Majda-



W 1916 r. prochy Kazimierza Bogdanowicza i innych powstańców przeniesiono na cmentarz przy ul. Lipowej w Lublinie

na Nadrybskiego złotych tysiąc, Borowiczce złotych pięćset, żonie Powągi złotych tysiąc. Długi zapłacić, jako to: Iniańskiemu krawcowi, Henrykowi Gerliczowi złotych pięćset, Józiovi Goluchowskiemu około siedem tysięcy złotych. Z reszty przeznaczyć na ogrodzenie cmentarza w Łowczy i postawienie statui Matki Boskiej. Złotych dwa tysiące dołączyć do funduszu gromadzkiego w Łowczy, resztę zaś pieniędzy niech Mama obróci, jak się jej podobać będzie. Żegnaj Was jeszcze raz, żegnaj. Żegnaj wszystkich, którzy mi zaufali. Niech mi darują, jeżeli ich zaprowadziłem w drogę, która sprzeciwiała się ich myślom. Żegnaj Was, kochajcie milion razy mocniej naszą (w tym miejscu jeden wyraz „nieszczęśliwą” grubo zamazany) Ojczyznę Polskę, niżeli ja ją kochałem... Żegnaj Was. Wasz syn, brat, sługa „Kazimierz”. Dnia 5 marca rano o 6 godzinie roku 1863. Byłem przytomny (podp.) Ks. Stanisław Feliński, Podporucznik Czerniowski. Za zgodności sekretarza powiatu A. Wołłowicz”.

Podobno Chruszczow zwlekał z egzekucją, chcąc, aby Bogdanowicz prosił cara o łaskę, a na pewno życie będzie mu darowane. Gdyby Bogdanowicz napisał prośbę o łaskę, wówczas egzekucja byłaby odroczone do momentu odpowiedzi. Ale on, widząc o tym, nie skorzystał z propozycji. Do stojącego w obliczu plutonu egzekucyjnego Kazimierza Bogdanowicza, na chwilę przed wydaniem rozkazów, dowódca rotacji – Chruszczow rzekł:

- Proś o łaskę, jesteś młody.
- To prawda – odrzekł Bogdanowicz – ale nasza sprawa jest stara.
- Masz matkę – kusił generał.
- Wstydziliby się gdybym prosił o łaskę. Zresztą bawimy się w ko-

medię? Miałem być rozstrzelany o 6-tej, teraz jest już po 10 godzinie, jesteście panowie spóźnieni.

W parę chwil potem rozkaz został wydany, padły strzały, padł przesyty kulami Kazimierz Bogdanowicz pochodzący z Nadrybiego, związany także z naszą Łowczą. Tak zakończył życie jeden z powstańców styczniowych. I tak jak zapowiadał w dyskusji z młodzieżą ziemianką Podlasia, że gotów jest złożyć swoje życie na ołtarzu Ojczyzny, tak je faktycznie złożył. Nie chciał prosić cara o łaskę, nie chciał się poniżyć, ważniejszy dla niego był honor Polaka. Zgasła świeczka powstańczego bohatera, lecz niech mu świeci światłość wiekuista po wieczne czasy!!!

Wojował niezbyt długo, nie odniósł też znaczących zwycięstw, ale jego męstwo i nieugięta w śledztwie i w obliczu śmierci postawa, wywarły

List do redakcji

Pamiętamy. Kisielin – 1943

W lipcu 2013 roku mija 70 lat od tragicznych wydarzeń, które miały miejsce na Wołyniu i zostały nazwane „Rzezią wołyńską”.

Pamiętając o rodakach, którzy zginęli w tym strasznym czasie, 4 lipca 2013 członkowie Wołyńskiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskiego Pochodzenia uporządkowali polski cmentarz, który znajduje się we wsi Kisielin, obok parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. To właśnie na tym cmentarzu pochowane są niewinne ofiary polskiej ludności.

Do tragedii doszło w niedzielę 11 lipca 1943 r., w wigilię święta Piotra i Pawła (wg kalendarza wschodniego). Zginęło 90 Polaków. Gdy niemal cała polska ludność Kisielina przebywała na mszy świętej, kościół został otoczony upowcami. Gdy po zakończeniu mszy ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, otworzono do nich ogień. Wśród zaatakowanych wybuchła panika, większość ludzi licząc na ratunek, wróciło do środka i zaczęło szukać schronienia w kościele. Kilkadziesiąt osób zabarykadowało się na piętrze plebanii połączonej z kościołem, 4 osoby ukryły się pod dachem kościoła. Około 80 osób, które pozostały w kościele – nieludsko zamordowano. Ci parafianie, którzy uciekli na piętro domu księdza, zaczęli się



bronić, rzucając we wspinających się po drabinach upowców cegłami z rozbieranych ścian i pieców oraz odrzucając wrzucane przez okna granaty. Po 11 godzinach oblężenia upowcy odeszli.

Zbrodnie na ludności polskiej w Kisielinie miały miejsce także po 11 lipca. Dwa tygodnie później zostali porwani i zamordowani Anisja i Leopold i Dębscy. Leopold był miejscowym lekarzem, a Anisja – pielęgniarką. Informacje o tej zbrodni pochodzą od Włodzimierza Dębskiego, syna

Leopolda i Anisji, który w obronie plebanii stracił nogę. W 2006 r. opublikował monografię o Kisielinie „Było sobie miasteczko”. Na jej podstawie w 2009 r. powstał film dokumentalny o tym samym tytule, opowiadający o Kisielinie i tragedii 11 lipca 1943 roku. Kompozytorem muzyki do filmu jest syn Włodzimierza, Krzesimir Dębski.

Stowarzyszenie Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu
www.lekarz.volyn.ua

Prawda o przemilczanej zbrodni



Joanna Wieliczka-Szarkowa

Wołyń we krwi 1943

Wydawnictwo AA

Historia Rzezi Wołyńskiej – zbrodni ludobójstwa, dokonanej przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach z województwa Wołyńskiego II RP, podczas okupacji terenów II Rzeczypospolitej przez III Rzeszę, w okresie od lutego 1943 do lutego 1944. Historycy szacują, że zginęło wtedy ok. 70 tys. Polaków, a kolejne 60 tys. Polaków zamordowali ukraińscy nacjonalisci na terenie Małopolski Wschodniej. Apogeum ludobójstwa przypadło na 11 lipca 1943 roku. Na uśpione niedzielnym odpoczynkiem w pierwszych dniach żniw polskie

wsie i chutory, na wiemych zgromadzonych w katolickich świątyniach spadły pociski, granaty, butelki z zapaloną benzyną, ostrza widel, kos, noży, siekier i pogrzebaczy. Nie było obrońców, bowiem w wielu miejscowościach pozostały w większości kobiety i dzieci...

Ewa Siemaszko:

Podczas II wojny światowej naród polski był ofiarą trzech ludobójstw – niemieckiego, sowieckiego i ukraińskiego. O tym ostatnim Polacy wiedza stosunkowo najmniej. Brak

publikacji dającej ogólne pojęcie o zagładzie Polaków i polskości na Wołyniu, publikacji przeznaczonej dla każdego czytelnika, wypełnia właśnie ta książka.

ks. prof. dr hab. Józef Marecki:

To pomnik pomordowanych Polaków, milczących ofiar niespotykanego ludobójstwa, którym do dziś nikt pomników nie wystawił, w przeciwieństwie do ich morderców, którzy mają swoje pomniki i tytuły narodowych bohaterów Ukrainy, są patronami ulic, placów i szkół... Ta książka to także wyraz pamięci o polskich miejscowościach na Kresach, których nie ma już na żadnej mapie...

Dr Joanna Wieliczka-Szarkowa historyk, autorka książek: *III Rzesza. Narodziny i zmierzch szaleństwa* (Kraków 2006); *Józef Piłsudski 1867-1935. Ilustrowana biografia* (Kraków 2007); *Czarna Księga Kresów* (Kraków 2012); *Żołnierze Wykłęci. Niezłomni bohaterowie* (Kraków 2013). Współautorka książki *W cieniu czerwonej gwiazdy. Zbrodnie sowieckie na Polakach (1917-1956)* (Kraków 2010) oraz serii książek historycznych dla dzieci *Kocham Polskę*.

Korzystaj z usług polskich przewodników ze Lwowa!

Fachowe oprowadzanie po Lwowie, pilotowanie grup turystycznych po Kresach w języku polskim
tel.: 0-0380679447843, 0-380677477329, 0-380676750662, 0-380504304511, 0-380504307007, 0-380509494445, 0-380987175971

MLEKO I SŁONECZNIKI

Mleko i słoneczniki. Tak mnie pożegnał dom. I tak mnie pożegnał pokój świata, który miano niebawem utopić w morzu ludzkiej krwi. Zapach słodkiego, prażonego mleka – to przecież dzieciństwo, to bezpieczeństwo, sytość, dom... Czy możliwe, aby tamto najszcześniejsze dziecko świata, fuczące ufnie w znajomy garnuszek z obrazkiem, i ta świerbowata łachmaniarka pod biegunem – to była jedna i ta sama osoba / „W domu niewoli” Beata Obertyńska/



ELŻBIETA LEWAK

Czym jest dom? Bezpieczeństwem? Rodziną? Własnym kawałkiem przestrzeni? Czymś niepowtarzalnym, zagospodarowanym według własnych zasad i upodobań? Czymś stałym? Niepodważalnym? Jak dużo mówi się o wartości domu, o jego znaczeniu, o czymś niewyjaśnionym, kryjącym się za tymi trzema literami: d-o-m. Co jednak się dzieje, gdy dom znika? Gdy ciepło i bezpieczeństwo staje się tylko iluzją, wspomnieniem dzieciństwa, miłości i ciepła rodziców?

Takie pytania nasunęły mi się po lekturze wspomnień z lat II wojny światowej, szczególnie zaś po przeczytaniu książek Beaty Obertyńskiej. Pytania i refleksje podsycały jeszcze innymi przemyślenia – na temat mojego wyjazdu na studia, kilkuletniej większej nieobecności niż obecności we Lwowie... Spotkałam w ciągu kilku lat wiele osób, wiele różnych ciekawych ludzi, zaobserwowałam różne relacje międzyludzkie, różne stopnie przywiązania do stron rodzinnych...

W tym tekście chciałabym przede wszystkim przybliżyć Czytelnikom sylwetkę Beaty Obertyńskiej i jej sposób pisania o domu. Przyznam, że nie było to łatwe zadanie. Dzięki pomocy Przyjaciół oraz udostępnionym przez nich materiałom i kontaktom, udało mi się zebrać informacje o rodzinie Wolskich, Obertyńskich i Pawlikowskich. Kłopot w tym, że nie da się o nich pisać krótko. Z tego powodu traktuję poniższy tekst jako krótką zapowiedź i zachętę do lektury poezji i prozy, które wyszły spod pióra Beaty Obertyńskiej oraz do zgłębienia historii rodzin Pawlikowskich, wieloletnich właścicieli Medyki.

Beata Obertyńska, z domu Wolska była wybitną poetką, pamiętnikarką, autorką prozy. Urodziła się w 1898 roku pod Skolem jako trzecie z pięciorga dzieci Maryli z Młodnickich i Wacława Wolskiego. Dorastała w domu wypełnionym sztuką, książkami, obrazami, ale przede wszystkim ludźmi. Było to nie tylko szerokie grono rodziny bliższej i dalszej, ale i krąg inteligencji lwowskiej, odwiedzający często Zaświecie – dom Wolskich na przedwojennej ulicy Kaleczaj. Byli to poeci, często przyjaciele Maryli Wolskiej, m.in. Leopold Staff, Władysław Orkan, Jan Kasprówicz. Na Zaświeciu zjawiali się malarze, przyjaciele

i koledzy akademiccy ojca: Jan Matejko, Henryk Rodakowski, brat Albert (Adam Chmielowski). Niektórzy poeci i artyści stawali się szczególnie bliskimi przyjaciółmi rodziny, czego przykładem może być chociażby Władysław Belza, należący do grona rodziców chrzestnych dzieci Wolskich.

Nauki Beata pobierała w domu, egzaminy zdawała eksternistycznie. Do pisania namawiała ją od małego matka, młodopolska poetka. Przykładem i radą rzeźbiła w Dziodzi (bo tak pieszczotliwie była nazywana w rodzinnym kręgu Beata) miłość do sztuki. Miłość ta jednak przelała się nie na papier – to teatr przede wszystkim skradł jej serce. Została aktorką – ukończyła Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej we Lwowie.

W 1918 roku wyszła za mąż za Józefa Obertyńskiego i przeniosła się do Odnowy, miała zaledwie dwa-dziesiąt lat.

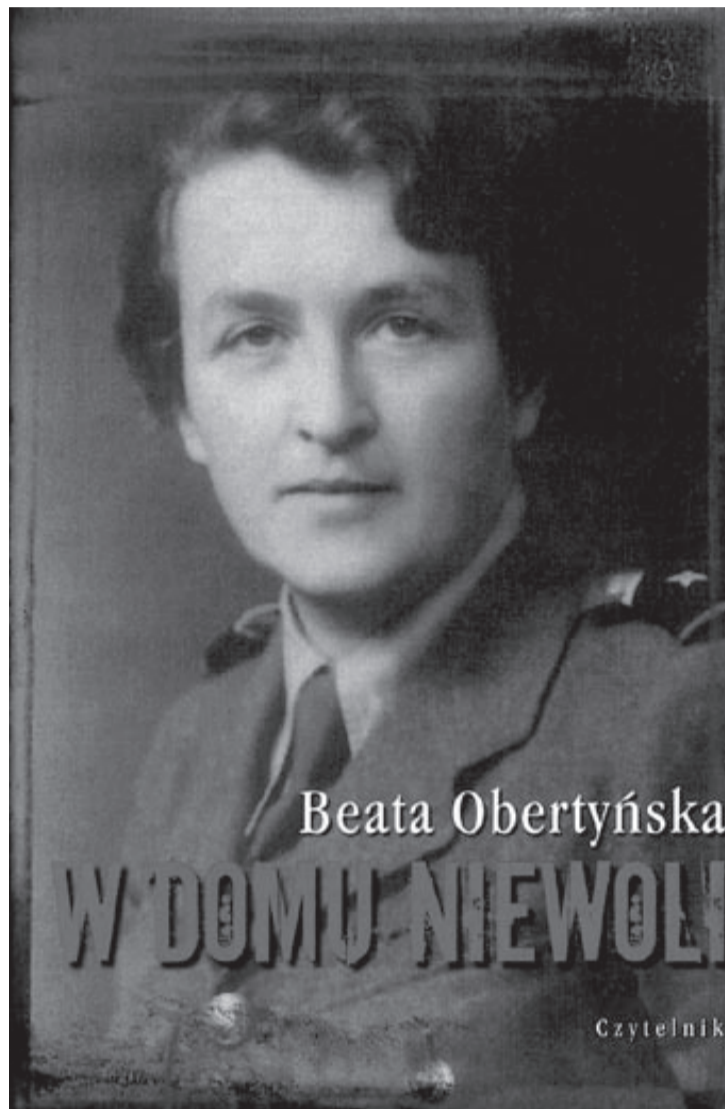
Obertyńska zadebiutowała w 1924 roku wierszami na łamach „Słowa Polskiego”. Od początku była bardzo przychylnie przyjmowana przez krytykę, co umacniało w niej wiarę, że jest człowiekiem sztuki. Doszukiwano się w jej twórczości wpływów matki oraz Bolesława Leśmiana, a porównywano ją do Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

Do jej dorobku artystycznego zaliczyć należy liczne zbiory poezji, m.in.: *Pszczoly w słoneczniku* (1927), *Głóg przydrożny* (1932), *Miód i piolun* (Londyn 1972), *Anioł w knajpie* (Londyn 1977), *Grudki kaziidła* (Londyn, Kraków 1987) oraz wspomnienia i prozę: *Gitara i tamci* (1926), *Wspomnienia (Quodlibet Maryli Wolskiej oraz Quodlibecik Beaty Obertyńskiej, 1974)*, *W domu niewoli* (Rzym 1946) oraz *Skarb Eulenburga* (1987–1988).

W domu niewoli było odpowiedzią na wezwanie wszystkich, którzy wyszli z Rosji, do spisywania swoich wspomnień. Książka ta to wspomnienia z tium, łagrów i kolchozów – z owego tytułowego domu niewoli. Jest jednak jednocześnie wspomnieniem domu oraz ludzi z nim związanych. I często właśnie dom i to, co z niego wyniosła, pomagało jej nie załamać się na zesłaniu.

W sierpniu 1939 roku Obertyńska była już wdową i prowadziła majątek w Odnowie sama. Mimo wyraźnie zbliżającej się wojny wszystko biegło swoim torem: sprzedawano rzepak, ładowano go na auta, młócono kminek. Obertyńska krótko i barwnie pisze o pracy na wsi, o nasturcjach, sady, jabłoniach. Ten wiejski, niemalże sielankowy świat za chwilę zostanie skonfrontowany z krwią i zbrodnią.

Obertyńska bardzo wyraźnie daje do zrozumienia, że wie, co spotka jej dom, o który z taką miłością dbała tyle lat: „za mojej pamięci dwa razy prze-



walała się tędy historia. (...) Za każdym razem, gdy wody opadły, zastawialiśmy dom wydrążony i pusty jak zjedzony przez robaka orzech”. I za każdym razem przywracała mu życie. Tym razem jednak miało być inaczej. I choć była świadoma, że to koniec i że ta wojna będzie straszniejsza od tych, które już mają wraz z domem za sobą, to świadomie nie potrafiła się ze swym domem pożegnać. „Może zastanę tu kiedyś tylko zwaly gruzy i zielony las pokryw i łopuchów?” – zastanawiała się w sierpniu 1939 roku Beata Obertyńska. I była bliska prawdy.

Czy wiedziała, że już nigdy do domu nie powróci? Że nie powróci do tych książek, ścian, drzew i kwiatów?

Nie. Nie mogła wiedzieć. Prze-czuwała? Być może. I żegnała się tak, jak się żegna z kimś, kogo się już nigdy nie zobaczy. Bez emocji. „Wzruszenie? Nie. Kompletny zamróz wszelkich uczuć, nic tylko oczy – dwie niezawodne soczewki i pamięć – nieubłagane czuła klisza”.

Wyjechała do Lwowa, zabierając ze sobą część rzeczy. Do Odnowy już nie wróciła, ale chłopcy przywozili jej kilkakrotnie zapasy ze wsi. „Choć wedle sowieckiej propagandy jedliśmy podobno chłopskie dzieci na śniadanie, choć szczuliśmy chłopów psami i na kolanach kazali się im człochać od bramy – dzielać się z nami

wszystkim, czym mogą, przywożą drzewo, mąkę, mleko, groch. Nocą, świtem, chyłkiem – jak kradzione. Wiedzą dobrze, co ryzykują. Nic tak nie rozwściecza Sowietów, jak twierdzenie czy zeznanie chłopów, że między dworem a wsią panowały przyjazne stosunki. Dlatego tak oni, jak my musimy się kryć z tą pomocą”. Oprócz tej pomocy dotarła do miasta również wiadomość o losach Odnowy: państwo przejęło wszystko na własność. Notuje ją w swych wspomnieniach, ale bez zbędnych opisów – bo to zbyt bolesne? zbyt osobiste? Pada tylko kronikarskie: „Mój dom splądrowany. Meble wywieźli zaraz po wkroczeniu, książki oblali naftą i spalili na gazonie. Aleja grabowa wycięta. Teraz rąbią park”.

Dom bez ludzi, dom pusty, dom bez książek i sztuki, dom – wreszcie – bez prawowitych właścicieli, którzy darowali tym białym ścianom duszę... już nie był domem. Stał się tylko ową łupinką. Tej nienaruszonej, niezłupionej, ale cichutko odchodzącej duszy Obertyńska poświęciła swój wiersz Śmierć domu.

Odkrywało się to całkiem po cichu, w mętnym zmroku jesiennej szarugi, od samych piwnic do strychu, od jednego węgla po drugi, od załomu ściany do załomu zabitego, złupionego domu... Nikt nie widział, nie słyszał, nie przeczuł

– któż by zresztą tym głowę zaproszał? – że się w mglisty, zaplakany ten wieczór wynosiła z domu – jego dusza. Ocalała jakoś do ostatka. Nikt jej w worki przy rabunku nie natkał, nikt jej w szafach czy po kufrach nie szukał, nikt siekierą zamków jej nie łupał, ram nie łamał, jak starym obrazem, z lustrem nie zbił, nie wywłócił na gazon, drapieżnymi nie skalał jej dłońmi – nikt po prostu nie pomyślał o niej.

Najcenniejsza, a nie rozpoznana, nieuchwytna, niepotrzebna nikomu, pozostała – niczyja i sama – w czarnym wnętrzu zabitego domu...

Jak dym z drzwi się wyjściowych wywłóka, jak firanka wywiała się z okna, zdartym pasem tapety na ścianie pogładziła dom na pożegnanie i w park poszła – marą nieuchwytną – między drzewa, które jutro wytną...

Wspomnienia o Odnowie zajęły zaledwie jedną kartkę w ponad trzystronicowym wydaniu *W domu niewoli*. Jednak nawet w tych kilku zdaniach udało jej się przekazać więź, która łączyła ją z tym miejscem. O wiele dłuższą jest relacja z objętego wojną Lwowa.

Lwowski dom stał się w pierwszych dniach wojny schroniskiem dla uchodźców, dla krewnych (w pewnym momencie w domu Obertyńskiej mieszkało nawet trzydzieści osób!), później – z przymusu – stacją dla osób obcych. Przez dom Obertyńskiej przewinęło się sporo różnych lokatorów: i tych meldowanych, i takich mieszkających zupełnie na dziko. Wśród nich były między innymi zwykłe szumowiny i osoby partyjne. Taki dla przykładu Habicha – nieszkodliwy dla gospodarzy, szczerze wierzący w ideę, biorący udział w wywozach ludności i czujący z tego powodu wyrzuty sumienia.

Narracja Beaty Obertyńskiej jest spokojna, szczerze jednak pisze o bulwersujących ją i innych mieszkańców wydarzeniach, o łapaniach, aresztowaniach, o wywózkach, o przesłuchaniach i więzieniach, z których najgorszą sławę miał Zamarstynów, o tym, jak Lwów na milcząco stawał opór najeźdźcom i o tym, że, mimo wszystko, zmienił twarz, stał się inny, obcy.

Zaresztowana jako burżujka w lipcu 1940 roku, po rewizji i przesłuchaniach, trafiła do Brygidek. Temu miejscu, panującej tam atmosferze, więźniarkom, sile przyjaźni, wierności Polsce, polskiemu językowi i wychowaniu oraz historiom tam za-

słyszonym i przeżyłym wydarzeniu poświęca dużo miejsca w swojej książce. Ze Lwowem pożegnała się – nieświadoma tego, że żegna się na zawsze – równo cztery miesiące później.

„Może mi się także uda nie rozplakać się. Nie chcę! Nie chcę za żadne skarby uczuć tego, co się dzieje. (...) Ważne jest tylko to, aby niczego nie zapomnieć, aby się z wszystkim pożegnać, aby porządnie pozapinać guziki. Nie! Żadnych wrzusek! To lepiej dla mnie i dla tych, którym się dzieje ta sama krzywda co mnie. (...) Wszyscy wierzymy, że każdy z nas wróci. Prędzej czy później – ale wróci! Na pewno! Pamiętam brudny, zbezczeszczonej ich obecnością kochany lwowski dworzec, od strony nie znanego mi wejścia, i podkaszana naszą babinę, myjącą okna. Kiedy zobaczyła konwój, bagnety i nas – zaczęła płakać”.

Strach przed podróżą zmieniać się będzie często w bezsilność wobec przemocy i chamstwa, które dotknęły ją w późniejszych więzieniach bardziej niż we lwowskich Brygidkach. Potem czekał ją Kijów, Charków, Starobielsk, Odessa, Workuta, Uzbekistan. Stamtąd wydostała się z armią Andersa do Pahlewi.

Była świadoma tego, z jakiego domu pochodzi, kim jest oraz w co i w kogo wierzy. Swoim wartościom pozostawała zawsze wierna. Lwowskie Zaświecie, Storożka koło Skolego, Perepelniki, Odnów – bezpieczne przystanie jej dzieciństwa i dorosłego życia – choć zostały fizycznie utraczone, to jednak przetrwały.

Do Kraju Beata Obertyńska już nigdy nie powróciła. Osiedla w Londynie. Nigdy nie chciała przyjechać do Polski. Dlaczego? Być może jak większość tych, którzy musieli opuścić swoje domy, chciała zachować w pamięci ten szczęśliwy dom, jej dom, a w nim – mleko i słoneczniki.

W Anglii pisała i była wielokrotnie za swą twórczość nagradzana – m.in. przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, pismo „Przegląd Powszechny”, Fundację Lanckoroń-

skich czy Fundację Jurzykowskiego. Zmarła w 1980 roku w Londynie.

Pochodzę ze Lwowa, zostałam wychowana przez mieszkańców polskiego miasta.

Moja Babcia, moja Mama i ja urodziłyśmy się w tym samym mieście, choć Babcia – w Polsce, Mama – w Związku Radzieckim, a ja – na Ukrainie. To nie przeszkodziło jednak żadnej z nas pochodzić z Miasta Zawsze Wiernego. Zawsze, gdy mówiłam, że pochodzę ze Lwowa, wy-



Beata z bratem Ludwikiem (Lukiem) Wolskim, który został rozstrzelany w Złoczowie w kwietniu 1919 roku, w wieku 24 lat

wywołało to zdumienie, powagę i taki charakterystyczny wyraz twarzy moich współrodziców. Czemu? – nie wiedziałam. Nauczyłam się jednak, że to coś znaczący.

Dziś, dzięki wspomnieniom osób starszych, Polaków z jeszcze polskiego Lwowa, już wiem – co.

Cztery lata temu wyjechałam na studia do Polski – jak wiele innych lwowiaków. I niestety nie mogę powiedzieć, że moi rówieśnicy w Polsce traktowali mnie od razu jak Polkę. Tylko jednostki nie potrzebowały kilkuletnich wyjaśnień, dlaczego „tak dobrze mówię po polsku” i jak to jest, że jestem Polką, bo przecież pochodzę z Ukrainy. W takich chwilach z koleżankami nie wiedziałyśmy, czy się śmiać, czy płakać. Tylko jednostki wiedziały, że na Kresach zostali Polacy. A dla niektórych wciąż jestem Ukrainką, bo mam ukraiński paszport. Prawda jest jednak taka, że dokument i obywatelstwo w ciągu życia można zmienić nie jeden raz i na szczęście nie one świadczą o narodowości, tylko język, wiara, tradycje, wartości, zasady – coś, co się wyznosi z domu i z czego powinno się być dumnym.

Wszystko marność i marność wszystko...

*Precz z zabrzeża,
gdzieś od łądów przyśnionych,
od tęsknot zarzeczny,
kirem skrzydeł się długich
nade mną rozszerza
bezkarna, ciężka krzywda
zapomnianych rzeczy...*

/M. Wolska/

Humor żydowski

Królowa angielska Wiktoria, która we wszystkich sprawach radziła się swego premiera, Żyda Disraeliego, zadała mu raz pytanie:

- Jaka jest różnica między nieszczęśliwym wypadkiem a nieszczęściem?

- To proste – odpowiedział dyplomata – Gdyby mój najzawziętszy wróg lord Gladstone wpadł do morza, byłby to nieszczęśliwy wypadek. Gdyby go jednak ktoś wyciągnął z wody, byłoby to nieszczęście!

Miłość jest słodka tak długo, jak towarzyszy jej chleb.

Wśród Żydów wileńskich kursowało takie oto powiedzonko: Chłop, gdy opowiesz mu anegdotę, śmieje się trzy razy: po raz pierwszy, gdy ją usłyszysz, po raz drugi, gdy mu ją wyjaśnisz, po raz trzeci, gdy ją zrozumie. Dziedzic śmieje się dwa razy: po raz pierwszy, gdy ją usłyszysz, po raz drugi, gdy mu ją wyjaśnisz, ale nigdy jej nie zrozumie. Oficer carski śmieje się tylko raz – gdy anegdotę usłyszysz. A choć jej nie zrozumie, nie da sobie nic wyjaśnić. Żyd słysząc anegdotę przerwie ci w połowie: „Sza, sza, to stary kawał!” – i opowie ją na swój sposób.

Lekarzowi i grabarzowi nie żyje się „szczęśliwego roku”.

Skłonny do medytacji kupiec Izrael Blau przybył do ważnego ośrodka handlowego na kresach Galicji wschodniej i pyta spotkanego na ulicy Żyda:

- Jednego nie rozumiem. Dlaczego wasze miasto nazywa się Brody?

- Nie rozumiecie, a to takie proste! Tu przecież mieszka rabin brodzki!

Krawiec damski Benis Litman, najdowcipniejszy spośród rzemieślników stanisławowskich, zwykł był powtarzać: „Nie suknia zdobi człowieka!”. Toteż partaczył jak się dało. Pewnego razu niezadowolona klientka zaskarżyła go do sądu o zwrot pieniędzy za materiał. Sędzia przesłuchuje pozwanego:

- Nazwisko?

- Litman.

- Imię?

- Proszę wysokiego sądu! U nas, Żydów, imię to sprawa bardzo skomplikowana.

- Dlaczego skomplikowana?

- Proszę tylko posłuchać! Ja się nazywam po żydowsku Bajnisz, to znaczy po polsku Benis. W chederze nazywali mnie Berel-cap, w synagodze – reb Ber. Na sztyldzie warsztatu nazywam się Bernard, a moja żona nazywa mnie idiotą...

Melamed reb Zajnwel otrzymuje list od syna.

- Co pisze nasz Awrumek – zapytuje żona.

- Ach, ach, ach! Jego teściowa, błogosławionej pamięci, umarła. Żona złamała nogę. Dziecko ciężko choruje. Chata się wali. A w kominku pustki... Ale list napisany piękną hebrajszczyzną. Serce się raduje, gdy go czytasz!

www.izrael.badacz.org

„Sprawa do załatwienia” dla wielu ostatnia

opracował
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Wielopole Skrzyńskie na Podkarpaciu. Tu 6 kwietnia 1915 r. urodził się Tadeusz Kantor – polski reżyser, malarz, scenograf, grafik, autor manifestów artystycznych, animator życia kulturalnego, założyciel Teatru Cricot 2 w Krakowie. Był synem Mariana Kantora-Mirskiego i Heleny z Bergerów. Przyszedł na świat na plebanii katolickiej, gdzie jego matka mieszkała od dzieciństwa wraz z owdowiałą matką Katarzyną, przyrodną siostrą proboszcza i dziekana Wielopola, księdzem Józefem Radoniewiczem. W 1921 roku po śmierci księdza Radoniewicza opuścili probostwo. Przenieśli się do Tarnowa, gdzie Tadeusz kontynuował naukę. Obecnie, w wyremontowanej plebanii jest muzeum Kantora. Ale nie z tym wybitnym artystą powiązane są wydarzenia z 1955 roku.

11 maja 1955 r. w Wielopolu Skrzyńskim była piękna, wiosenna pogoda. Dzieci uczyły się w drewnianym baraku, który spełniał funkcję szkoły, małej biblioteki i wiejskiej świetlicy. W największej sali, gdzie mieściła się scena, organizowano imprezy, występy artystyczne i zebrania partyjnego kolektywu. Około południa przed wejście baraku zajęchało kino objazdowe. Była to nie lada atrakcja dla mieszkańców wsi, bo kino przyjeżdżało tu rzadko. Ustalono, że projekcja filmu odbędzie się wieczorem, tuż po nabożeństwie majowym.

Salę przygotowano dość szybko – okna i drzwi ewakuacyjne zabito deskami, na wszelki wypadek – żeby nikt nie wszedł bez biletu. Ustawiono w świetlicy krzesła i zawieszono ekran. Dawno nie było tu już żadnych uroczystości, bo wisiały jeszcze pa-

pierowe girlandy i zeszcła jedlina z zeszczonego sylwestra. Projektor ustawiono inaczej niż zwykle – na stole przy wejściu. Operatorowi nie chciało się dźwigać sprzętu w głąb sali. Obok ułożono szpule z filmem i kroniką filmową. Razem było ich dziesięć, a każda z nich ważyła dwa kilogramy. Gdy ukończono przygotowania, operator, pomocnik, kierowca i strażak poszli na wódkę. Nie mieli czym zabić czasu do wieczora.

Tuż po nabożeństwie majowym, około godz. 20, mieszkańcy przyszli do kina. W sali zebrało się blisko 200 osób, w większości dzieci. Chciały zobaczyć nową polską komedię „Sprawa do załatwienia” – typowy film propagandowy w reżyserii Jana Rybkowskiego. Opowiadał o losach dziennikarza Stefana, który zostaje wysłany do prowincjonalnej fabryki obuwia, aby nakręcić reportaż o Zosi, przodownicze pracy. Przy okazji obiecuje jej pianino dla zespołu świetlicowego. Mija jakiś czas. Zosia przyjeżdża do stolicy, okazuje się jednak, że Stefan całkiem zapomniał o obietnicy. Chce się jednak zrehabilitować. Oboje natychmiast ruszają w miasto i postanawiają, pomimo trudności, zdobyć pianino. W obsadzie znaleźli się Adolf Dymśa, Hanka Bielicka, Irena Kwiatkowska, Edward Dziewoński i inni popularni aktorzy.

Raz na 10 minut projekcję przerywano, aby operator mógł zmienić szpule. W czasie takich przerw rozmawiano i wymieniano wrażenia o filmie. Przy projektorze zebrała się spora grupa gapiów. Mężczyźni palili papierosy, żartowali i rozmawiali z podpitym operatorem. Niedopałki rzucono pod nogi.

Podczas kolejnej przerwy operator zjął wyświetloną rolę filmu, a wstęga odwinętej taśmy filmowej

swobodnie zwisała do podłogi. W tym momencie dał się słyszeć trzask. Spod nóg operatora wystrzelił płomień. Mężczyzna próbował zgasić go rękoma, ale nie dał rady. Taśma celuloidowa była łatwopalna i natychmiast buchnęła płomieniem, który przerzuciła się na pozostałe rolki obok projektora.

Z palącego się celuloidu zaczął wydzielać się trujący gaz, który w parę chwil wypełnił całe pomieszczenie. Obecny na sali Józef Cebula, strażak-ochotnik, zdążył krzyknąć: „Pożar! Uciekać!”. Złapał ławkę, wybił nią okno i ludzie rzucili się do ucieczki. Większość z przyzwyczajenia odruchowo ruszyła w stronę ekranu, w przeciwną stronę od wejścia, gdzie były drzwi ewakuacyjne. Inny strażak Jan Siuśko chwycił na ręce swoją córkę i ruszył w stronę okna. Ale już po kilku krokach załamała się pod nim podłoga. Nie zdołał uwolnić nogi spomiędzy desek. Trujący dym nie oszczędził ani jego, ani dziecka.

Szukając drogi ucieczki, kilkadziesiąt osób stłoczyło się w wąskim korytarzu prowadzącym na zewnątrz. Nie można się było z niego wydostać. Na szczęście nie wytrzymała drewniana konstrukcja baraku. Napór tłumu był tak wielki, że ściana pękła, a ludzie wysypali się na ulicę. Kazimierz Gąsior, księgowy miejscowego GS-u, zobaczył przez wyłamaną ścianę 16-letniego chłopca leżącego wewnątrz baraku. Wbiegł do środka i wyniósł go na rękach. Chciał ratować następnego. Ponownie wbiegł do płonącego budynku. W ogień skoczył też Józef Para. Po chwili i on wyniósł dziecko. Miał nadzieję, że jeszcze raz uda mu się oszukać żywioł. Walały się dach zabił obu mężczyzn. Z drugiej strony budynku Stanisław Stachowicz zobaczył przy oknie gromadę dzieci. Wołały o pomoc, wyciągając ręce przez

zabite deskami okno. Podbiegł, by je wydostać. Nie dał rady – ogień był silniejszy.

Po 10 minutach barak przypominał pochodnię. Zewsząd było słychać krzyki i jęki rannych. Kilku strażaków, którym udało się wydostać, pobiegło do magazynu straży w sąsiednim budynku. Gołymi rękami wylamali drzwi i już po kilku minutach uruchomili motopompę. Trzy strumienie wody uderzyły w płonący barak.

Tego dnia nie poszedłem na film – opowiada Roman Lipa, miejscowy fotograf. – Gdy przybiegłem na miejsce, ktoś krzyczał, że w przebiegłości za sceną są ludzie. We trzech zdołaliśmy oderwać ścianę baraku. Zobaczyliśmy stos płonących ciał. Nikt już nie żył. Ogień był tak wielki, że w Wiśniowej, 10 kilometrów od Wielopola, w nocy było widać cienie drzew.

Za kilka dni kondukt pogrzebowy był tak długi, że gdy pierwsze trumny wnoszono na cmentarz, ostatnie stały jeszcze w kościele. Zginęło 56 osób. Wśród ofiar było aż 48 dzieci. Na zbiorowym pogrzebie ofiar byli obecni przedstawiciele UB i Milicji Obywatelskiej. Romanowi Lipie zakazano robienia zdjęć, gdy tylko wyciągnął aparat fotograficzny. UB pilnowało go już przez cały czas pogrzebu. Stąd też nie ma żadnej fotografii z tego wydarzenia, a jedynie obraz, który Lipa namalował 40 lat później.

Wszyscy pracownicy kina i niektórzy ich przełożeni zostali skazani na kary więzienia. Paradoksalnie – to nietrzeźwej ekipie kina udało się wyjść cało z tego piekła. W latach 1980. w miejscu tragedii odsłonięto pomnik z krzyżem i tablicą upamiętniającą ofiary pożaru.

Weekend z szamanem

WOJCIECH GRZELAK
tekst i zdjęcia

Rzeka

Nadszedł od strony słońca, które właśnie sadowiło na górskiej grani, już zmęczone po całodziennym wędrówce. Gwiazda dzienna lamowała jego sylwetkę płomienną aureolą i zdawało się, że wychodzi z żywego ognia. Było upalnie; sierpniowy skwar panował nieprawdopodobny, ziemia ledwie dyszała. Pławiąca się w straszliwym gorącu łąka roztaczała tumaniące zapachy: powietrze aż gęste było od eterycznych olejków, unoszących się nad niską trawą rozedrganą mgiełką.

Siedziałem nad brzegiem Czui, niskim lecz urwistym, mocno podmytym przez bystrze. Rzeka spływała oślepiającym blaskiem, jakby napelioną roztopionym złotem.

- Djachszlar – pozdrowił mnie po altajsku. Pochylił się nad wodą, zerkając z ciekawością w zielonkawą toń, przeszły aż do samego dna grubą smugą słonecznego światła. – Są ryby? – zadał pytanie, jakie zazwyczaj kieruje się do kogoś, kto gapi się beczynnym w wodę. – Nie ma – wzruszyłem ramionami. – A jednak! – uśmiechnął się jakoś przekornie. Spojrzałem w dół: pod skarpą kłębiły się w słonecznej strudze tłuste lipienie i pstrągi, rozpryskując na wszystkie strony iskry drobnych kropli.

Słońce, niczym porzucony szamański bęben, już do połowy osunęło się za obrębiony ostrymi konturami ośnieżonych szczytów widnokrąg.

I wtedy zobaczyłem jego oczy. Patrzył zyczliwie, ale zarazem trochę badawczo; wydawało się, że czeka na jakąś moją reakcję. Źrenice miał czarne, przepastne, jak otchłani altajskiego piekła rządzonego przez demona Erlika. Ale to nie one sprawiły największe wrażenie... Tęczówki, zwykłe ciemnobrązowe u Altajczyków, były zielone z jasnymi plamkami, które wyglądały jak płatki srebrzystego metalu. Każda z nich miała inny kształt, przypominały coś znajomego. Już wiedziałem – to były sylwetki zwierząt zodiakalnych altajskiego kalendarza. Rozpoznałem je bez trudu: bar – tygrys, czyłan – wąż, ulu – smok... Patrzyłem jak zahipnotyzowany. Zodiak w jego oczach poruszył się i z wolna zaczął obracać wokół centrum koła z lewa na prawo. Ten ruch fascynował, przyciągał z magnetyczną siłą. Krąg przyspieszył. Nie wiem, ile czasu minęło, chyba niewiele, ale zupełnie straciłem jego poczucie. Przede mną szalała, wirowała zodiakalna zamieć, cały kosmos z galaktykami mknącymi przez niezmierną pustkę, z gwiazdami skaczącymi jak piłeczki w dłoniach demiurga-zonglera.

Spotkałem na Altaju wielu szamanów. O niezwykłej mocy kilku z nich słyszałem wcześniej dużo. Ci, z którymi mówiłem na ten temat, ścisiali przezornie głos i rozglądali się niespokojnie wokół. Czasem przekonywałem się, że mieli rację. Bywało również, że ten i ów szaman cieszył się sławą na wyrost, a jego popisy, oględnie mówiąc, trąciły hochsztaplerką. „On lubi coś czasem dodać od siebie” – badacz altajskiego folkloru Władimir Ojnyaszew wydał taką lakoniczną opinię pewnemu szamanowi z Czemału i mrugnął do



Szaman Kamłak z Koszagacza

mnie porozumiewawczo. No cóż, są magowie i magicy – jak wszędzie na świecie. Kiedy indziej doświadczałem za to zadziwiającej demonstracji zagadkowej wiedzy, na własnej skórze odczuwałem dotknięcie nieznanego. Widziałem szamana Czeta podczas kamłania (transu szamańskiego): jego ruchy zdradzały, że podróżuje na gęsi do piekielnych otchłani. Widziałem również szamanek Dżanę, sunącą granatową hondą civic po szosie federalnej nr 51 z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, za jej autem ciągnął się obłok żółtego pyłu. Śledziłem szybki i zawiłe gesty Swietłany z wioski Muchor Tarchata uzdrawiającej chorego. Obserwowałem, jak Wasilij z Gornoaltajskja żmudnie odczytuje przyszłość z nadpalonej topatki barana. W Ułaganie opowiadano mi o

Wieś

W tamtą sobotę rano w Kuraju umawiałem się z Igozem na piknik. Wraz z krewnymi i przyjaciółmi zamierzał spędzić on nazajutrz wolne popołudnie na łące nad rzeką. Miałem dojechać do nich później, poprosiłem więc, aby wytłumaczył mi, jak tam trafić.

- Zobaczysz górkę i wtedy skręcisz.

- Ale tu wszędzie są góry.

- No, to będzie dokładnie ta, którą mam na myśli.

Tak się właśnie myśli po altajsku. Igor wyniósł z aitu i wręczył mi udziec sarni.

- Żeby nie zapomnieć, lepiej włóż to do bagażnika. Jutro będą szaszłyki, że palce lizać. Bez ciebie i tak nie zaczniemy.



Maska szamana telengickiego

potężnym kamie, który, aresztowany przez NKWD, kilkakrotnie uwalniał się z zamknięcia. Gdy wreszcie prześladowcy zażądali od niego demonstracji nadprzyrodzonych umiejętności, zaintonował pieśń tajgi: kiedy śpiewał, z jego ramion wyrosły zielone krzewy syberyjskich cedrów.

Nigdy jednak spotkanie z szamanem nie było dla mnie tak wielkim przeżyciem, jak wówczas, w to sierpniowe sobotnie popołudnie, gdy odpoczywałem w cieniu jodły nad rzeką Czują, a on pojawił się, cały w słońcu. Być może taka przygoda mogłaby przytrafić mi się w zupełnie innym punkcie Ziemi, zdarzyło się to jednak właśnie na południowym Altaju, w samym sercu Azji.

Podejrzliwie przyglądałem się szerniałemu polciowi surowego mięsa. Syberyjski skwar, mimo wczesnej godziny, dawał się już dobrze we znaki.

- Mam jeździć z tym prawie dwa dni? Nie popsuje się?

- Nie ma prawa. Trzymam je już cały tydzień i nie popsulo się ani razu.

Po południu tego samego dnia wróciłem do Kuraja. W głowie miałem mętlik wywołany tym, co przydarzyło mi się nad rzeką. Automatycznie prowadziłem samochód, orientując się na dwa wybujałe modrzewie. „Hotel” Olega, w którym, jak zwykle podczas odwiedzin ajmaku koszagackiego, zatrzymałem się także i tym razem,

chyba już dwudziestym z rzędu, to parterowy, drewniany budynek na skraju Kyzyl Taszu, przysiółka Kuraja, oddzielonego od wsi usianym kamieniami łóżyskiem dopływu Czui. Koryto rzeczki wypełnia się wodą tylko czasami, po większych deszczach, ale w jego zagłębieniach wielkie kałuże stoją długo. Latem tapla się w nich wiejska dzieciarnia.

Olegowa *gostinnica* to parterowa drewniana chata z kilkoma pomieszczeniami i bielonym piecem pośrodku. W obejściu stoją jeszcze dwa *czadyry*, tradycyjne altajskie szałas kryte korą zdartą z modrzewi. Panorama widoczna z tego miejsca jest olśniewająca w znaczeniu dosłownym: wiecznie ośnieżone szczyty Grzbietu Północnocyjskiego błyszczą bielą, jak wielkie głowy cukru. Tu już rozciąga się wysokogórski Step Kurajski, pełen rozćwierkanych szarańczaków, żurawi i zapomnianych kurhanów.

Oporządziłem się trochę i zaraz potem przyszedł Igor, zapraszając mnie na kolację do siebie. Ale nieśpieszno nam było – siedzieliśmy na ganku chaty, nieopodal jurty, do której każdego lata przeprowadza się sędziwa matka gospodarza („Duszno mi, gdy w gorące dni muszę spać w domu” – powtarza). Obok nas, na jabłkowitej szkapinie o przejściowej ambicji ułańskiego rysaka, przegalopowała usadowiona okrakiem, bez siodła, stara Altajka w dresie z logo Nike'a na piersi. Na przybzie sąsiedniej chaty stał starzec i ćmił fajkę.

Ze stawy powracało stado krów, rozciągnięte na dobre kilometr. Każdego ranka we wsi formowano kolektywne stado – poszczególne rodziny posiadały zazwyczaj jedną lub dwie krowy – które oplaceni pastuchowie wiodli na pastwisko i tam czuwali nad nim. Bydło szło teraz ku swoim gospodarzom majestatycznie, z jaką szczególną formą zwierzęcej godności, ujarzmioną jednak przez niewypowiedzianą rezygnację. Zdawało się, że w powietrzu wręcz słychać towarzyszące podobnej scenie dźwięki znanej kompozycji z „Obrazków z wystawy” Modesta Musorgskiego.

W domu Igora kobiety z jego rodziny zajmowały się przygotowywaniem *dziargumu*, tradycyjnego przy-

smaku, skręcając długie owcze kiszki w zgrabne warkoczyki.

- Zakuliśmy dziś barana – powiedział Igor. Rzucił jakiś ochłap laszącemu się do jego nóg kotu, a potem, okazując szacunek honorowemu gościowi, postawił przede mną talerz, na którym dymił ociekający roztopionym łojem bielutki, trochę wygięty *kurdiuk*, podobny do monsturalnej larwy. Udalo mi się – w pobliskiej Mongolii uhonorowany zostałbym baranią głową. A *kurdiuk* – to zaledwie owczy chwościk.

Przemiana

...Naraz stał się elementem krajobrazu, równie naturalnym jak góra za nim, niebo z postrzępionymi chmurami nad jego głową i ziemia pod stopami. Gdybym nie wiedział, że znajduje się tuż przede mną, na wyciągnięcie ramienia, być może nawet nie zauważyłbym go: tak bardzo wtopił się w otoczenie, ale nie był to jakiś rodzaj kamuflażu lub mimikry, lecz coś innego, trudnego do zrozumienia – i tym bardziej opisanego – jakaś tajemnicza zdolność rozplynięcia się w tym wszystkim, co mogłem dostrzec wokół siebie. Ale przecież pozostał nadal istotą fizyczną, posiadał ciało, a więc wypełniał ściśle określony fragment przestrzeni? No, niby tak – w zasadzie... Bo nie ograniczało go to, co zwykle wytycza cielesny wymiar człowieka. Inaczej może: jego widzialna postać stanowiła zaledwie centrum, rodzaj jądra, wokół którego istniał w tej chwili. Był oczywiście częścią czy też raczej składnikiem całego otoczenia. Zdawał się obecny w tym miejscu od wieków, a może nawet tysiącleci. Kamienie rozrzucone wokół, żdzbla trawy – te żółtkie i jeszcze zielone – pobliskie drzewa, ptaki w przelocie, nawet niepokojące, postrzępione chmury pochodziły z niego, a jednocześnie on wynikał z nich.

- Gdzie się kończę, a gdzie zaczynam? – zapytał cichym głosem. Nie potrafiłem znaleźć na to odpowiedzi.

- Widzisz, tacy naprawdę jesteśmy. My, ludzie. Dotykamy najgłębszych otchłani planety, najdalszych zakątków wszechświata, najodleglejszych zdarzeń. Odczuwamy je tak, jak liście brzozy odczuwają śmierć w zimnym ostrzu topora przyłożonym do białego pnia. Ale nic z tego nie rozumiemy. Rzadko tylko, jak gwiazda w nieprzeniknionej kurtylnie nieba, rozblśnie w naszym umyśle iskierka przecucia – czasem tylko raz w życiu, czasem wcale – i zaraz zgaśnie...

Droga

Szosa z Ortołyku do Beltiru, trzydzieści kilometrów kolejno: asfaltu, żwiru, ubitej ziemi z rzadkimi kociami łbami i znów asfaltu, była pusta. Właściwie od Cagan Uzun nie spotkałem żadnego pojazdu, jeźdźca ani pieszego – pora wieczorna przez Altajczyków uważana jest za niebezpieczną, na styku światła i ciemności panuje chaos, w którym *kyrmysy*, złe duchy, mogą łatwo zwieść zagubionego wędrowca.

W okolicach Beltiru zawsze bardzo mocno dmucha. Tym razem wiatr był tak silny, że od razu ogarnęła mnie nostalgia za ojczyzną, wyzwo-

lona przez nieodparcie nasuwające się wspomnienie tej jej części, jaka obecnie nazywana jest województwem świętokrzyskim.

Mijałem zapomniane kurhany, gdzie daleko w stepie migotał słaby ogień. Przeszedł gwałtowny deszcz i naraz się skończył jak nożem uciął. Potem sypnął się z nieba gruby grad, padał jakieś dwie minuty i przestał. Po chwili wyszło jeszcze raz słońce. Kawalki białobłękitnego lodu błyszczały jak pogubione diamenty, a gdy przemieniły się w wodę, pochłonięła ją wiecznie spragniona ziemia. Wjechałem na niewielką przełęcz i zatrzymałem wóz – na środku drogi siedziało stworzenie wielkości ogromnego psa. Dopiero, kiedy rozwinęło olbrzymie skrzydła, dotykając nimi nieomal krawędzi płytkiego wąwozu, którym biegła szosa, zrozumiałem: był to

kiedyś znalazł, zjawiają się w twoich wspomnieniach i snach. Tu, gdzie teraz jesteśmy, bywali kiedyś ludzie już dawno nie istniejący, jako stworzenia z krwi i kości. Ale przecież nie przepadli bez śladu, nawet ci, którzy przybyli do naszego świata tylko na krótki moment i zaraz stąd odeszli. Pozostały ich radości, smutki, wzruszenia – czasem w postaci bardzo ulotnej, ot, jak powietrze potrącone przez swawolącego skowronka, ale jednak pozostały. Ziemia pełna jest takich tropów, trzeba je tylko odczytać. Wprawny łowca wypatry drogę, którą przeszło zwierzę w tajdze, odczytując znaki niewidzialne dla innych. Altajczycy nie odwiedzają cmentarzy, na których pozostają wprawdzie fizyczne, ale niewiele znaczące szczątki, podobne do obciętych włosów lub skrawków pa-

przekonają ich obrazki wykonane mechanicznym przyrządem? A co będzie na nich widać? Tylko tyle, co z wierzchu.

Poprawił polano, które wysunęło się z ogniska.

- Widzisz ten ogień? Możesz go narysować, bardzo wiernie nawet. Możesz także nakręcić film, który pokaże, jak skaczą iskry, jak pełgają poruszane wiatrem płomienie, trzaska drewno. Ale czy poczujesz ciepło bijące od ognia? Zapach wytapianej żywicy? Śpiew tajgi wokół? Może kiedyś powstaną aparaty, które oddadzą i te wrażenia. Lecz nadal to nie będzie wszystko, nie uda się zawrzeć w jakimś wielowymiarowym choćby obrazie pełni tej chwili, którą właśnie tu i teraz doświadczamy. Bo gdzie podzięją się myśli, które w tym momencie przepływają przez twój



Step Czujski na południu Altaju

stepowy orzeł, zajęty swoją zdobyczą. Bardzo powoli poderwał się do lotu i odleciał na wschód, w kierunku osnieżonych szczytów Sajlugemu.

Nie mogłem przeoczyć tego znaku. Zjechałem z drogi w step i wyszedłem z auta. Zeschła trawa szeleściła, targana porywami wichru.

Czekał na mnie, a kiedy zbliżyłem się, ruszył bez słowa, ja zaś podążyłem za nim.

Wzgórze

Róg księżycy wbił się w ciemną grań Kara Kemu. Na zachodzie jeszcze czerwieniła poświata zmierzchu, od wschodu, od Gobi, ciągnęła noc.

Staliśmy na wzgórzu pośrodku Ere Czui, magicznej krainy południowych Altajczyków. Na szczycie wzniesienia usypany był stos kamieni, kultowe *ule*, zaznaczające miejsce święte. Wicher szarpał wstęgi *dżalama* przymocowane do długiego kija. U stóp pagóra na półpustynnym stepie, ciągnącym się hen, ku rubieży mongolskiej, nieznane mi ziele rosło skupione na obwodach wielkich regularnych kół.

A tam, na sąsiednim kurhanie? Czy to był stojący w bezruchu pasterz czy też kamień przypominający człowieka? Przy tej odległości i w mroku nie byłem w stanie tego ustalić.

- Patrzysz na głaz, którego bierziesz za istotę równą sobie, a może jest odwrotnie? Nie masz pewności. Twój wzrok jest ulomny, a twoje poznanie – zmacone. A jeśli jest jeszcze inna droga do zrozumienia? Możesz na nią wkroczyć, zwracając się w głąb siebie, bo sam jesteś kluczem do zrozumienia wszystkiego, w czym uczestniczysz.

W dali, nad Kosz Agaczem, świeciła biała gwiazda, ale tam, gdzie Czujka oddaje swoje wody Katuni, ciemność właśnie uśmierciła ostatnie światło dnia.

- A umarli?

- Umarli są z nami. Ci, których

znokci. To, co najważniejsze w człowieku, jest gdzie indziej.

- No, a ci, którzy nękają żywych?

- Masz na myśli tych zmarłych, którzy zmienili się w upiory?

- Chyba tak...

- *Po lesie Baszadaru tylko umarli chadzają...* – zanucił cicho posępna pieśń. Przeszył mnie dreszcz. Melodia była monotonna, lecz dziwnie upiorna, a jego śpiew chrapliwy i stłumiony. Przypominał sobie las baszadarski; kiedyś, gdy podróżowałem z Tuekty do Ust' Kan droga wypadła mi właśnie tamtędy, bo na Przełęczy Jabagańskiej remontowano trakt i przejazd był niemożliwy. Na uroczysku Baszadar złapała mnie straszliwa ulewa: musiałem zatrzymać samochód. Byłem sam na rozmięklej, gruntowej szosie. Po obu stronach drogi rosły modrzewie. Ich czerwone pnie lśniły wilgocią, piana bielala w załomach kory. Z gęstwiny wypelzały długie jęzory mgły, zbliżały się powoli, jak węże pewne swojej zdobyczy. Niewidoczny ptak zawodził swoją nabrzmiałą bólem skargę. W dolinie, gdzie od kilkudziesięciu wieków zmarli spoczywali pod kamiennymi kurhanami, panowały ciemność i śmierć. To był las Baszadar, co po altajsku znaczy „Martwa Głowa”.

Ogień

Płonęła *nodia*, przemysłne ognisko myśliwych z tajgi: szczególne ułożenie drewna sprawia, że płomień podsycany jest samoczynnie. Wyjąłem z torby aparat fotograficzny.

Płonęła cedrowa *nodia* i szumiał płomień, samotny ogień na pustej równinie Ere Czui.

- Po co ci zdjęcie? – zapytał.

- Chcę napisać o tobie. Dołączę fotografię, to będzie bardziej przekonujące.

- Jeśli ludzie nie uwierzą twoim słowom, nie zaufają żywemu świadkowi, to czy ucieszysz się, jeżeli

umysł? Albo tryliony kilometrów kosmosu nad nami? A to one przecież stanowią o niepowtarzalności tego, co obecnie wspólnie przeżywamy w tym miejscu świata. Każdy przekaz tego momentu, czy to w postaci opowiadania, czy w formie obrazu lub trójwymiarowego choćby filmu, zawsze będzie tylko nieudolną kopią prawdy.

Wspomnienie

W mieście Bijsku, na nizinym Altaju, mieszka szaman Makary Kastorakow.

- Namówiłem go, żeby oddał swój bęben do muzeum – opowiadał mi przyjaciel Kastorakowa. Wraz z kompanią Igora biesiadowaliśmy na zacisznej polanie, opodal rzeki. Na *manale*, blaszanej kuwecie z umieszczonym na dnie paleniskiem, spoczywały gotowe już szaszłyki; krople zastygającego tłuszczu skapywały leniwie i skwierczały w gorącym popiele. – Posłuchał mnie i odtąd duchy nie dawały mu spokoju, dręczyły bez ustanku. Rozchorował się, schudł bardzo. W końcu poszedł do dyrektora muzeum i poprosił, aby zwrócono mu bęben. „Umrę – powiedział – to i tak go sobie zabierze”. Dyrektor spełnił jego prośbę. Kastorakow, kiedy wspólnie jeździliśmy na kilkudniowe wyprawy w głąb Altaju, bardzo starannie wybierał miejsce pod nocleg. Nie wszędzie pozwalał rozbić namiot. Były takie zakątki, które napawały go lękiem, denerwował się wtedy, bladł. „Tu jest za dużo duchów” – mówił.

Ten, którego imienia nie poznałem, nie miał bębna, ani szamańskiego stroju, nie kamlał, aby odwiedzić niewidzialne krainy – może więc wcale nie był szamanem? Osiągnął zrozumienie, pogodzony z naturą w najszerszym tego słowa znaczeniu, a więc także z przemijaniem, a przecież właśnie do tego dąży każdy z nas, mniej lub bardziej świadomie.

Kim więc był?...

Szamanizm definiowany bywa jako najstarsza religia Syberii, a zatem również Altaju. Najbardziej charakterystyczną jego cechą to zdolność do kontaktu lub raczej pośredniczenia pomiędzy ludźmi i duchami uzyskiwana przy pomocy metod ekstazy. Widzialnymi elementami typowego rytuału szamańskiego są uderzenia w bęben, śpiew, taniec, grzechot blaszanych naszywek na specjalnym stroju.

Jest to centralny nerw dawnej altajskiej kultury. Próbowano go brutalnie wyrwać, nie bacząc na społeczne skutki takiej ingerencji.

Szamanienie, zwane także kamłaniem (kam – szaman), jest rodzajem obcowania z duchami osiągalnym na dwa sposoby: albo duchy wcielają się w szamana (czy też w jego bęben) albo też to szaman odprawia się w podróż w zaświaty, czyli do krainy duchów. Przypomina to bardzo dwa rodzaje opętania rozróżniane przez demonologów – opętanie właściwe, *possessi* (od wewnątrz człowieka) i opanowanie zewnętrzne (*obsessi*).

Zasadniczym instrumentem kama jest bęben, wykonany zazwyczaj ze skóry marala (odmiana jelenia) naciągniętej na cedrową obręcz. Rezyduje w nim duch Tiungur Eze Gospodarz Bębena. Przed kamłaniem należy bęben ogrzać nad ogniem. Łatwo to skojarzyć z rozgrzewaniem silnika samochodu przed daleką drogą. Z kolei strój szamański posiada analogie ze skafandrem nurka lub kosmonauty, niezbędnym do pracy w obcym i niebezpiecznym dla człowieka środowisku.

Szamani tylko w najważniejszych szczegółach opisują świat, który znajduje się za skrajem nieboskłonu. Na końcu ziemi żyje chan Solo (który nie ma naturalnie nic wspólnego ze swoim imieniem, bohaterem „Wojen gwiezdnych”) wraz ze swoją jedyną córką. Tam właśnie znajduje się sądne miejsce, gdzie Ulgen, najpotężniejszy spośród jasných duchów, zawzięty rywal Erlika, mieszka w pałacu o złotych wrotach.

Mapa szamańskiej podróży wygląda w skrócie następująco: wyrusza z jurty, gdzie rozpoczyna kam i dostaje się na szczyt góry znajdującej się w widzialnym świecie. Tam zwraca się ku jasnym duchom. Potem wędruje przez szczelinę skalną do dziedziny podziemnej. Odwiedza w niej górę, na której bawią się córki Erlika „z oczyma czarnymi jak noc”. Następnie szaman przebywa równinę, pustą, bez źdźbła trawy i dociera pod kamienny słup, gdzie gromadzą się duchy umarłych. Są wśród nich również zmarli przodkowie szamana. Tam także znajduje się jurta chana Temira, strażnika dziedziny martwych. Dalej są jeziora lez i jezioro krwi, błota, po których błądzą umarli i koński włos rozciągnięty nad topielą – tylko tędy szaman może przedostać się na drugi brzeg.

Z kolei widzialna Ziemia, zdaniem Altajczyków, którzy często ją nazywają „matką”, przypomina człowieka. Bywa antropomorfizowana jako całość, wówczas poszczególne kontynenty czy państwa postrzegane są jako oddzielne organy (na przykład Rosja to kręgosłup), ale także cechy ludzkie przypisywane są różnym obiektom geograficznym (góry rosną latami, mają głowy, ramiona itp.). Ten sposób postrzegania otoczenia znalazł swoje odzwierciedlenie w wieloznaczności pojęcia Altaj: jest to miano obszaru zamieszkiwanego przez Altajczyków, lecz jednocześnie swój Altaj ma każdy ród, a nawet rodzina, gdyż aity, tradycyjne chaty altajskie, wznoszone są na planie sześciokąta, świętej figury krainy Altaj. Tak nazywają się również duchy ziemskie.

Altajczycy wierzą, że szamanem może być tylko taki człowiek, którego przeznaczy do tego zadania Kudał Ulgen (Niebiański Bóg). W rodzie kandydata musi być obowiązkowo jakiś inny szaman, to znaczy człowiek mający „szamańską kość lub korzeń”. W linii ojca dar szamaństwa przechodził na syna lub wnuka, po kądzieli natomiast od brata matki na siostrzeńca. Przyszły szaman od najmłodszych lat wyróżnia się wśród rówieśników, jest wrażliwy, nerwowy, czasami cierpi na epilepsję. Przeważnie jako nastolatka zaczyna dręczyć go choroba szamańska, zwana *tios pasczit* (dosłownie: „duch dusi”). Jej ataki powtarzają się zazwyczaj co miesiąc podczas nowiu. Osoba nawiedzona tą dolegliwością zachowuje się dziwnie, stroni od bliźnich, cierpi na bezsenność lub śpi bardzo niespokojnie, jest wyraźnie wyobcowana, ma uczucie dławienia na piersi, odczuwa drżenie i słabość kończyn, wykonuje gorączkowe ruchy i okrzyki.

Napady powracają regularnie, a ich siła wzrasta, dopóki nawiedzony nie zdecyduje się przejść inicjację szamańską. Przyszły szaman często opowiadał bliskim, że nawiedzający duch szukał u niego „dodatkowej kości”. Pasowanie na szamana jest całą sekwencją niesamowitych zdarzeń rozgrywających się w zaświatach, rozciągniętych na całe lata (w czasie pozaziemskim, gdyż w istocie w naszym świecie upływa jedynie kilka dni). Przyszły szaman przechodzi straszliwe tortury, duchy rozrywają jego ciało na części, przekuwają je na nowo, wylizują mózg aby oczyścić go od tego, co zbyteczne.

Chorobę szamańską, towarzyszącą często szamanowi w złagodzonej formie przez całe życie, miał sprowadzać duch górski Kara Tuu (Czarna Góra). Zmuszał on przyszłego szamana do kamłania, a w razie sprzeciwu – dawał mu cierpienia fizyczne i psychiczne. Ale każdy szaman miał także czystego ducha opiekuńczego Ak Tuu. Rozróżnić mógł je tylko stary, wprawny kam, podczas specjalnego obrzędu dokonywanego trzy razy do roku.

Początkujący szaman zrazu kamlał bez bębna. Zamiast niego używał szmatki przywiązanej do kija lub pęczku gałązek brzoźowych, czasami także luku. Zastępczymi instrumentami (na przykład biczem lub wyobrażeniem bębna narysowanym na chuście) posługiwali się także szamani pozbawieni bębna – w czasach władzy sowieckiej zdarzały się rekwizycje bądź aresztowania tego zasadniczego atrybutu szamańskiego. Dopiero po pewnym czasie, gdy adept posiadał już tajniki sztuki, rodowa góra, miejsce święte dla altajskich klanów, „pozwalała” mu na przygotowanie szamańskiego instrumentu.

Czym jest podróż kama w zaświaty? Uczni przyjmują, że świadkowie seansów szamańskich ulegają hipnozie, ale jednocześnie sam szaman wprowadza się w stan autohipnozy. Badacze bez trudu dostrzegli związek szamańskich praktyk z odchyleniem od normy psychicznej (w sensie definiowanym przez współczesną medycynę). Oto kilka poglądów uczonych na tę kwestię: Ksenofontow nazywał zjawisko szamanizmu wręcz „kultem wariatów”, Łopatin odnotował u goldskich szamanów „skłonność do nerwowych zaburzeń”, Kon pisał o szamanach po prostu: „Chorzy nerwowo, cierpiący na halucynacje”.

Odeszła nasza Wychowawczyni, Nauczycielka, Katechetka i Przyjaciółka Irena Zappé



Irena Zappé wraz z siostrą Jadwigą w swoim domu, przy dawnej ulicy Potockiego, wychowały kilka pokoleń młodzieży.

Stworzyły prawdziwą oazę. Dom pełen ciepła, gdzie przychodziliśmy na naukę religii, a przy okazji spotykaliśmy rzesze ludzi, przewijających się przez mieszkanie sióstr. Był teatrzyk, lektury, gra na pianinie, spotkania oplatkowe, gry towarzyskie, dużo śmiechu i wygłupy.

Pani Irenka zawsze wysłuchała, odpowiedziała na najgłupsze pytania i utuliła nasze dziecięco-młodzieżowe dramaty.

Była jedną z osób, które nauczyły nas Polski, miłości do miasta. Miłości do Boga i drugiego człowieka, prawdy wiary, zasad i po prostu życia.

Urodziła się 5 kwietnia 1919 roku w Zaleszczykach. Po maturze w gim-

nazjum sióstr urszulanek we Lwowie rozpoczęła studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza. We wrześniu 1939 jako harcerka uczestniczyła w obronie Lwowa (pełniła służbę sanitariuszki w szpitalach lwowskich).

W czasie okupacji niemieckiej działała w konspiracji. Po ponownym zajęciu Lwowa przez Sowietów w 1944 roku studiowała na Akademii Weterynarii we Lwowie. Po wojnie, wraz z siostrą, poza pracą zawodową, zajęły się organizacją tajnych zajęć z religii i historii Polski. Uczyły tego, czego nie mogli nauczyć profesorowie w polskich szkołach we Lwowie. W pewnym momencie komplety stały się całą instytucją – zajęcia dodatkowe dla młodzieży prowadzili najlepsi ówczesni nauczyciele, którzy pozostali w mieście. Organizowano wycieczki

i wyjazdy na lotniska. Opieka obejmowała też dzieci potrzebujące szczególnego wsparcia – sieroty, dzieci z rodzin ubogich i rozbitych. Pomimo represji władz i przetrwania na coraz niższe stanowiska, nie zrezygnowała z pracy z młodzieżą. Siostry Zappé nie zrobiły tego nawet w obliczu grożącego im w czasach radzieckich procesu sądowego i wyroku.

Irena Zappé otrzymała mnóstwo rozmaitych odznaczeń z ramienia państwa polskiego. Wśród najważniejszych jest Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

W 2008 roku została nagrodzona tytułem Kustosza Pamięci Narodowej.

Cześć Jej Pamięci

Lwów, 14 lipca 2013 rok

Ciekawe strony internetowe o Kresach

www.kresy.pl
www.kresy24.pl
www.wspolnota-polska.org.pl
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie
www.wizyt.net
www.kresy.co.uk stanislawow.pl
www.kresy2000.pl

www.hanaczow.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com
www.wycieczki.pl.ua
www.lwowiacy.pl

Pełne wydanie Kuriera Galicyjskiego w PDF na: www.kuriergalicyjski.com
www.lwow.com.pl
www.duszki.pl
www.pogranicze.eu

Kantorowe kursy walut na Ukrainie 15.07.2013, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
8,12	1 USD	8,16
10,60	1 EUR	10,67
2,45	1 PLN	2,49
12,26	1 GBR	12,50
2,46	10 RUR	2,50

Sprzedam pół domu w centrum Przemysła

Sprzedam pół dwurodzinnego domu w centrum Przemysła – piętro z wydzielonym ogródkiem 1 ara. Powierzchnia użytkowa 63 m 2/3 pokoje, kuchnia, łazienka, przedpokój + piwnica, strych. Cena 66 tys.\$ – do negocjacji.

Kontakt: tel.: +48 696013242

Zapraszamy chętnych do śpiewania w polskim chórze mieszanym „ECHO”

Próby oraz spotkania towarzyskie – poniedziałki i czwartki o godz. 18:30, pod kierownictwem profesjonalnych pedagogów i animatorów muzyki.

Jeśli masz lat 30+, 40+, 50+ itd. i możesz poświęcić czas dwa razy w tygodniu na próby (2 godz.), to nauczysz się pięknego repertuaru z chóralistyki polskiej (i nie tylko). Jeśli jesteś młody i dysponujesz zapalem do nauki, to skuteczne nowoczesne pliki dźwiękowe pomogą szybko przyswoić sobie partie głosowe.

Skorzystaj z ZAPROSZENIA!

POLSKI REPREZENTACYJNY ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA ZIEMI LWOWSKIEJ „WESELI LWOWIACY”

Zaprasza młodzież od 12 lat i wzywa do nauki polskich tańców narodowych, regionalnych i lwowskich. Próby zespołu odbywają się w szkole nr 10 w środy i piątki od godz. 19:30 do 21:00. Zgłoszenia przyjmujemy podczas prób lub pod nr tel.: 261 54 87 lub 0505087433. Serdecznie zapraszamy!

Kierownik zespołu Edward Sosulski



Pani Jadwidze Zappé

Wyrazy najszczerzego współczucia z powodu odejścia najukochańszej siostry

Ireny ZAPPÉ

Kustosza Pamięci Narodowej, obrończyni polskości, która ukochała Polskę nade wszystko wspaniałego pedagoga i opiekunki artystów, która dla wielu pokoleń lwowskich Polaków była oparciem oraz wzorem niezłomnej i nieugiętej postawy wobec zła i totalitaryzmu

Pozostanie Ona w naszych sercach,
bo pamięć o Jej wspaniałym życiu towarzyszyć nam będzie na zawsze
Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie!

Pogrążony w smutku

Konsul Generalny RP we Lwowie Jarosław Drozd z Małżonką Beatą
oraz z pracownikami Konsulatu



*Ach każda chwila kryje
wieczne pytanie jedyne,
jak słodycz z życia wydobyć
i jak znieść śmierci godzinę!*

Leopold Staff

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość, że po długiej i ciężkiej chorobie 14 lipca 2013 roku odeszła

ŚP. IRENA ZAPPÉ

Urodziła się w Zaleszczykach w woj. tarnopolskim 5 kwietnia 1919 roku w wielodzietnej rodzinie urzędnika kolejowego i nauczycielki. We Lwowie po zdaniu matury w gimnazjum ss. urszulanek i podjęła studia geologiczne na wydziale przyrodniczym Uniwersytetu Lwowskiego. We wrześniu 1939 roku jako harcerka brała czynny udział w akcjach obronnych miasta i w służbie sanitarnej w szpitalach lwowskich.

W czasie okupacji niemieckiej działała w konspiracji jako kolporter prasy podziemnej. Po ponownym zajęciu Lwowa przez Sowietów w 1944 roku podjęła studia na Akademii Weterynarii we Lwowie.

W okresie sowieckim wspólnie z siostrą Jadwigą prowadziły działalność edukacyjną i religijną wśród polskiej młodzieży we Lwowie, otaczając pomocą osoby samotne i potrzebujące, w tym księży. Za tę działalność była represjonowana przez władze sowieckie.

Siostrze, Rodzinie i Bliskim wyrazy współczucia
składa redakcja Kuriera Galicyjskiego



Szczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci

ŚP. Ireny Zappé

Składamy siostrze Jadwidze,
Rodzinie i Bliskim

Zarząd i słuchacze UTW we Lwowie

JAK SŁUCHAĆ POLSKICH AUDYCJI RADIOWYCH NA UKRAINIE (czas audycji ukraiński)

Z ETERU

Radio Polonia (godz. 18:30)

- Lwów – Radio Niezależność - 106,7 FM

- Winnica – Radio TAK – 103,7 FM

- Chmielnicki – Radio Podilla Center - 104,6 FM

- Równe - Radio Kraj – 68,2 FM

- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyla – 71,1 FM i 103,4 FM

Polskie Radio Lwów – w każdą sobotę od godz. 9:00 do godz. 13:00 oraz w niedzielę od godz. 19:15 do 20:15 na fali 106,7 FM (Radio Niezależność)

Radio Lublin na 103,2 i 99,6 MHz słyhać bardzo dobrze aż po Lwów (we Lwowie już nie wszędzie).

Polskie Radio Warszawa I – na falach długich 225 kHz

RADIO PRZEZ INTERNET

Polskie Radio – www.polskieradio.pl

Lwowska Fala – autorska audycja Danuty Skalskiej jest nadawana w każdą niedzielę od godz. 9:10 na antenie Polskiego Radia Katowice – www.radio.katowice.pl. Powtórka audycji – w niedzielę o 00:00 w nocy

RMF FM – www.rmf.fm

Radio Zet – www.radiozet.pl

Radio Maryja – www.radiomaryja.pl

Radio Opole – audycje o Polakach na Ukrainie – www.radio.opole.pl

Radio Wnet – www.radiownet.pl

Polskie Radio Lwów – www.radio-n.com

Polskie Radio Rzeszów – www.radio.rzeszow.pl i w eterze (103,7FM 102,00FM 102,9FM 90,05 FM).

RADIO PRZEZ SATELITĘ

Programy **Polskiego Radia** emitowane są w systemie DVB przez satelitę HOT BIRD, a także przez platformę cyfrową Cyfra+

LWOWSKA MIEJSKA DZIECIĘCO-MŁODZIEŻOWA SPOŁECZNA ORGANIZACJA POLSKI ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA „LWOWIACY”

**ZAPRASZA do Studium Tańców Polskich,
założonego przy PZPiT „LWOWIACY”, dzieci i młodzież
w grupach wiekowych 5-8 lat, 8-12 lat, 12-15 lat
oraz do starszej grupy zespołu.**

Próby zespołu odbywają się w szkole nr 10 we wtorki i czwartki, w godzinach od 18:00 do 21:00. Zgłoszenia przyjmujemy podczas prób zespołu lub na telefon: 0-677-982-315 bądź: 233-05-70, a także udzielamy fachowych rad w dziedzinie polskiego tańca i strojów ludowych.

prezes LMDMSO Stanisław Durys,
kierownik artystyczny PZPiT „Lwowiacy”

REKLAMA W KURIERZE GALICYJSKIM

**PIERWSZA STRONA
ПЕРША СТОРІНКА**

1 cm² – 8,50 грн.
1 cm² – 8,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

**STRONY WEWNĘTRZNE
ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ**

1 cm² – 6,00 грн.
1 cm² – 6,00 UAH
pełny kolor
повноколірний

**Na zlecenie naszych klientów umieszczamy ogłoszenia również w prasie ukraińskiej
Ogłoszenia niekomercyjne, po uzgodnieniu z redakcją, mogą być drukowane nieodpłatnie**

**STRONY WEWNĘTRZNE
ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ**

1 cm² – 4,50 грн.
1 cm² – 4,50 UAH
czarno-białe
чорно-білі

**STRONA OSTATNIA
ОСТАННЯ СТОРІНКА**

1 cm² – 7,50 грн.
1 cm² – 7,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

Adresy placówek dyplomatycznych Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

01034 Kijów, ul. Jarosławiw Wai 12

tel.: +38 044 230 07 00

fax: +38 044 230 07 43

+38 044 270 63 36

e-mail:

kijow.amb.sekretariat@msz.gov.pl

http://kijow.msz.gov.pl/pl

Wydział Konsularny Ambasady RP w Kijowie

01034 Kijów, ul. B. Chmielnickiego 60

tel.: +38 044 284 00 40

faks: +38 044 234 99 89

e-mail: kijow.amb.wk@msz.gov.pl

http://www.kijow.msz.gov.pl

Wydział Promocji Handlu i Inwestycji przy Ambasadzie

01034 Kijów, ul. Wołodymyrska 45

tel.: +38 044 279 12 98, 279 18 31

+38 044 279 45 37, 279 33 40

fax.: +38 044 278 11 40

e-mail: kiev@trade.gov.pl

http://www.kijow.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Charkowie

61002 Charków, ul. Artioma 16

tel.: +38 057 75-78-801

faks: +38 057 75-78-804

e-mail:

charkow.kg.sekretariat@msz.gov.pl

http://www.charkow.msz.gov.pl



Konsulat Generalny RP we Lwowie

79011 Lwów, ul. Iwana Franki 108

tel.: +38 032 295 79 90

faks: +38 032 295 79 80

e-mail:

lwow.kg.sekretariat@msz.gov.pl

http://www.lwow.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Łucku

43016 Łuck, ul. Dubniwska 22 b

tel.: +38 0332 280 640

faks: +38 0332 280 659

e-mail:

kg.luck@msz.gov.pl

http://www.luck.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Odessie

65014 Odessa, ul. Uspienska 2/1

tel.: +38 048 722 56 96

+38 048 722 60 03

fax: +38 048 722 77 01

e-mail:

odessa.kg.sekretariat@msz.gov.pl

http://www.odessa.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Sewastopolu

99003 Sewastopol, pl. Pirogowa 3

tel.: +38 0692 539 881

fax: +38 0692 539 885

e-mail:

sevastopol.kg.sekretariat@msz.gov.pl

http://www.sevastopol.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Winnicy

21050 Winnica, ul. Kozickiego 51

– VI p.

tel.: +38 0432 507-413,

inform.wizowa +38 0432 507-411,

ws. Karty Polaka +380432 507-412

fax: +38 0432 507-414

e-mail:

winnica.kg.sekretariat@msz.gov.pl

http://www.winnica.msz.gov.pl

Instytut Polski w Kijowie

ul. B. Chmielnickiego 29/2, lok. 17,

01-030 Kijów, Ukraina

tel.: +380 44 288 03 04

fax: +380 44 288 02 86

www.polinst.kiev.ua

Stale współpracują:

Agnieszka Sawicz, Wojciech Jankowski, Iwona Boruszkowska, Joanna Demcio, Elżbieta Lewak, Włodzimierz Bartkowiak, Szymon Kazimierski, Aleksander Niewiński, Michał Piekarski, Irena Kulesza, Tadeusz Olszański, Tadeusz Kurlus, Jacek Borzęcki, Renata Kłęczańska, Wojciech Krysiński, Aleksander Szumański, Włodzimierz Osadczy, Taras Prochaśko, Dorota Jaworska, Wojciech Grzelak, Zbigniew Klimecki, Eugeniusz Niemiec, Barbara Stasiak, Katarzyna Łoza, Dmytro Antoniuk, Tadeusz Zubiński, Zbigniew Kulesza i inni.

Drukujemy również teksty autorów, z którymi się nie zgadzamy!

Projekt/Program jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych od Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą”.

Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności, nie zamówionych rękopisów nie zwraca i pozostawia sobie prawo do skrótów.

ТЗОВ Видавничий Дім «Молода Галичина».

Indeks na prenumeratę 98780
Індекс передплати 98780
Газета виходить 2 рази на місяць

Kurier Galicyjski



КУР'ЄР ГАЛІЦІЙСЬКИЙ

REDAKCJA:

Skrytka pocztowa (a/c) nr 80

Iwano-Frankiwska 76018,

абонентська скринька № 80

siedziba gazety:

Iwano-Frankiwska 76002

ul. Iwasiuka 60,

Івано-Франківськ

вул. Івасюка 60

tel. redakcji w Stanisławowie:

+38 (0342) 54-34-61

tel./faks redakcji we Lwowie:

+38 (032) 261-00-54

e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl

konto bankowe na Ukrainie:

ПП Ровіцкі М.М.

Код ЄДРПОУ 1965816635

р/р 2600001244414 в Івано-

Франківськському відділенні

ПАТ «КРЕДОБАНК»,

м. Івано-Франківськ МФО 325365

Świadectwo rejestracji

Seria KW nr 12639-1523 R

wydane 14.05.2007

Свідоцтво про державну реєстрацію

Серія KB № 12639-1523 P

від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:

Mirosław Rowicki

Засновник і видавець

М. М. Ровіцкі

Skład redakcji:

Marcin Romer:

redaktor naczelny

e-mail: zgroducevery@wp.pl

Maria Basza:

zastępca red. naczelnego,

dział fotoreportażu oraz dział grafiki

komputerowej

e-mail: mariabasza@wp.pl

Beata Kost

zastępca red. naczelnego

bkost@wp.pl

Konstanty Czawaga

e-mail: konstantyczawaga@wp.pl

Sabina Różycka

e-mail: pluglem@wp.pl

Krzysztof Szymanski

e-mail: krzszymanski@wp.pl

dział informacji regionalnej

i reportażu

Julia Łokietko

julietta.stella@gmail.com

Eugeniusz Sało

Eugene.salo@gmail.com

Natalia Kostyk

e-mail: nataliakostyk@wp.pl

administracja portalu

Jurij Smirnow:

dział kulturalno-historyczny.

Tajemnice książęcego zamku

Czym podejmowano w dawnych czasach gości w rezydencji jednego z najbogatszych magnatów Rzeczypospolitej Konstantego Ostrogi, jakie zapasy robiono w jego zamku nad Ikwą na „czarną godzinę” i jaką bronią walczone? Wszystko to można zobaczyć w zbiorach eksponowanych w muzeum zamkowym w Dubnie.



Zamek w Dubnie

AGNIESZKA RATNA

Ostatnio w kazamatach dubieńskiego zamku otwarto wystawę, która prezentują obrazki z epoki z czasów książęcych: broń, zapasy militariów i żywność. Przedstawione są tu cenne, inkrustowane klejnotami zbroje książęce, tkaniny, futra, ikony i ręcznie pisane księgi. Olbrzymią fortunę posiadał w XVII wieku zamożny magnat Rzeczypospolitej, właściciel dubieńskiego zamku Konstanty Ostrogski. Według rejestrów kosztowności, zachowanego do dziś, skarby mieściły się w 49 skrzyniach. Na liście oddzielnie wymienione są artykuły spożywcze przechowywane w kazamatach. Na czas oblężenia żywność stanowiła prawdziwy skarb. Dokumenty zaświadcza o zapasach tak wielkich, że pozwalały około tysiącu

ludzi przetrzymać kilkumiesięczne oblężenie.

„Przy budowie twierdzy wykorzystywano wapień – opowiada kierownik działu historii dubieńskiego zamku Tamara Dmytrenko. – Pochłaniał wilgoć i produkty spożywcze mogły być przetrzymywane tu przez długi czas. Apetyt dopisywał obrońcom zamku. Na przykład Jan Bohdan Susło, który na zamku księcia był pisarzem, ochroniarzem i błaznem jednocześnie. Mógł zwyciężyć trzydziestu chłopów, ale i jadł za trzydziestu. Na śniadanie zjadał pieczone prosię, gęś, głowę wieprzową i wątróbkę cielęcą w czterech sosach, 4 bochenki chleba, główkę sera i wypijał do 6 litrów kwasu i miodów. Od stołu nigdy nie wstawał pijany, a na obiad przychodził jak by nic nie miał w ustach”.

W piwnicach uwagę zwiedzających zwracają beczki ze sztuczną słoniną, śledziami, miodem, winem, wędzonymi i suszonymi rybami. Mają unaooczyć zwiedzającym życie na zamku w Dubnie w dawnych czasach.

W kolejnym podziemnym korytarzu przedstawiony jest arsenał zamkowy: armaty różnych rozmiarów i kalibrów, zapalniki do nich, kule, proch. Według słów Tamary Dmytrenko na zamku działała własna ludwisarnia, gdzie odlewano kule armatnie. Dzięki zapasom twierdza nad Ikwą stała się dla wojsk punktem nie do zdobycia.

W zamkowej zbrojowni można obejrzeć skrzydlate postacie husarzy. Elitarna konnica Rzeczypospolitej była ulubioną formacją wojskową księcia. Uczepione do siodła skrzydła w czasie pędu stwarzały szum, od którego konie wroga płoszyły się i siało to panikę w szeregach przeciwnika. Do husarzy od pierwszego dnia otwarcia ekspozycji ustawia się prawdziwa pielgrzymka. Turyści fotografują się ze skrzydlatymi postaciami. Dyrektor dubieńskiego muzeum, Leonid Kiczatj, przekonuje, że wystawa przygotowana dla zainteresowanych tematem turystów: „To, co można oglądać w murach naszego zamku jest wynikiem pracy naszego zespołu. Przez ostatni rok otworzyliśmy trzy nowe ekspozycje. Współpracujemy z firmami turystycznymi na Zachodniej Ukrainie. W ciągu roku przez nasz zamek przewinęło się około stu tys. turystów”.



Arsenał zamkowy

Kurier Galicyjski

Można zaprenumerować na poczcie!!!

KOD PRENUMERATY

УКРПОШТА 98780

Cena prenumeraty pocztowej

1 miesiąc – 5,96 hrywien

3 miesiące – 17,88 hrywien

6 miesięcy – 35,76 hrywien

12 miesięcy – 71,52 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową: kuriergalicyjski@wp.pl

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto „Kurier Galicyjski” można kupić:

w Krakowie w Księgarni „Nestor” przy ulicy Kanoniczej 15, tel. +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002); w Przemyśle – w Południowo-Wschodnim Instytucie Naukowym, przy ul. Grodzkiej 3 (kod pocztowy 37-700), tel. +48 (016) 678 73 33; w Warszawie, w Biurze Turystyki KALINKA, ul. Marszałkowska 115 (wejście od ul. Przechodniej), 00-102 Warszawa. Biuro jest czynne pn-pt w godz. 8:00-16:00 oraz w księgarni Radia WNET pod adresem Warszawa, ul. Koszykowa 8.

Kurier Galicyjski można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty”.

Ponadto:

- w kioskach „Wysoki Zamek” we Lwowie, w Drohobyczu, Truskawcu, Borystawiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku;
- w kioskach „Interpres” oraz kioskach „Presa”;
- w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” przy ul. Ruskiej 16 we Lwowie;
- w hotelu „Leopolis” – najlepszym hotelu na Ukrainie;
- w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny we Lwowie (w niedzielę po nabożeństwie), a także przy kościele w Krzemieńcu;
- pismo jest też dostępne w Instytucie Polskim w Kijowie.



Miesięcznik Polak Mały można zaprenumerować na poczcie na Ukrainie!!!

KOD

PRENUMERATY

УКРПОШТА

68416

Cena prenumeraty
pocztowej:

1 miesiąc – 3,50 hrywien,
3 miesiące – 10,50 hrywien,
6 miesięcy – 21,00 hrywien,
12 miesięcy – 42,00 hrywien.



Partnerzy medialni

